

PORTA
COELI
BRAMA SWIATÓW



SUSANA VALLEJO

Vallejo Susana

Porta Coeli 01

Brama Światów

Zakon Świętej Cekliny poszukuje i strzeże wiedzy. Jego członkowie nie stronią od informacji zawartych w księgach Greków, Rzymian, czy Arabów. W jego posiadaniu znajduje się między innymi tajemnicza księga, Porta Coeli, pełna niezwykłych rycin i dziwnych opisów obcego świata... Bernardo i Nuno, dwaj przyjaciele, a niegdyś zakonnicy-współbracia, ruszają tropem dziwnych istot, które Nuno zobaczył w trakcie swych wędrówek. Stworzenia, które nie przynależą do ludzkiego świata, zaczęły nawiedzać okolice Almacei. Skąd przybyły? W trakcie swojej wędrówki Bernardo i Nuno spotykają młodą wiedźmę, Yebrę, która wydaje się mieć informacje na temat pochodzenia obcych istot. Wspólnie wyruszają do Zakonu, który zleca im ważką dla losów świata misję...



CZĘŚĆ
I

O tym, jak Bernardo opuścił
zamek w Almacei i o jeżących włos
na głowie wydarzeniach,
które miały miejsce w Cruceiro

Mleczna mgła spowijała basztę; światło brzasku sączyło się
przez małe okienko przysłonięte grubą alabastrową płytą.

Mężczyzna, którego zwano magiem, niekiedy
czarnoksiężnikiem czy znachorem, a który w rzeczywistości
nie był żadnym z nich, sprawdził zawartość swojej torby, po
czym rozejrzał się dokoła. Obrzucił wzrokiem wszystkie
piękne przedmioty, które zdołał zgromadzić przez lata: krzesło
z orzechowca, obite skórą i nabijane srebrnymi ćwiekami, tak
wysłużone, że zdawało się, iż odcisnął w nim zarys swej
postaci; drewniany kufer, zdobiony miniaturowymi
wizerunkami fantastycznych zwierząt, szklane flakoniki z
pachnidłami i leczniczymi miksturami, traktat o geometrii
ocalony z pożaru w Santa Maria...

Jego wzrok napotkał nieruchome spojrzenie wypchanej sowy, zabalsamowanej wedle starej egipskiej receptury. Na jej piórach osiadł kurz, który gromadził się tam przez wszystkie lata, które upłynęły od czasu, gdy ktoś pozwolił sobie na ten ekstrawagancki eksperyment. Wydawało się, że ptak obserwuje w nieustannym zdumieniu kozuch podróżny, który właśnie przed nim położono.

- Bernardo! - wołanie dobiegło z góry kręconych schodków. - Jesteś gotowy?

Po raz ostatni spojrzął na pokój, który przez prawie dwadzieścia lat był jego domem i wzdrygnął się. Ogarnęło go przeczucie, że jeśli teraz porzuci to miejsce, już nigdy więcej nie wróci do zamku w Almacei.

Na szczycie schodów pojawił się Ñuño.

- Już idę - powiedział Bernardo.

Chwycił sakwę, narzucił kozuch i wyszedł, nie oglądając się więcej za siebie.

Ñuño jechał na silnej, wyjątkowo dużej mulicy, Bernardo na siwku o grubych pęcinach. Trawę i kamienie pokrywała jeszcze poranna rosa. Przyjemny chłodek poprawił im humory i natchnął energią niezbędną do podjęcia długiej drogi, jaka ich czekała. Spokojnym truchtem wjechali na ostatnie wzgórze, z którego można jeszcze było ogarnąć wzrokiem

osadę i zamek. Bernardo ściągnął cugle i spojrzął za siebie.

Gdy zobaczył fortecę, jej blanki i pociemniałe mury, znów po plecach przeszły mu ciarki. Nie potrafił uwolnić się od ponurych przeczuć. Odszukał w swoich rzeczach medalion z wygrawerowaną spiralą, przesunął po niej palcami, a znajomy dotyk podniósł go nieco na duchu.

- Mam przeczucie, że nigdy więcej tu nie wrócę. Jego towarzysz zawrócił muła i zatrzymał się obok.

- I ty to mówisz, Bernardo? Przeczucie! Do czego to doszło! Człowiek, który potrafi wszystko wyjaśnić w sposób rozumny, opowiada mi teraz o przeczuciach! Żebyś mi tu nie zaczął wierzyć w czary, wiedźmy i wróżki...

- Może jeszcze w jednorożce? - zakpił Bernardo, patrząc mu wyzywająco w oczy.

Ñuño nagle spowaźniał.

- Niech Bóg ma nas w opiece! - przeżegnał się. - W jednorożce akurat wierzę, bo widziałem... to, co widziałem! - przerwał, by rozejrzeć się na boki, jak gdyby w pobliżu mogły czaić się niepożądane uszy i zniżył głos do szeptu. - Nie przypominało to jednak tego pięknego, szlachetnego zwierzęcia, o którym mówią legendy. Wyglądał raczej jak muł o ciemnej sierści, długiej i brudnej, na czole miał róg, taki jak krowa czy wół... A do tego... cuchnął! Ale to był jednorożec! Miałem go na wyciągnięcie ręki!...

Bernardo podjechał bliżej.

- Zbadamy to... - mówił wolno i spokojnie, głosem, jakiego zwykle używa się wobec dzieci i szaleńców.

Ñuño mruknął coś pod nosem. Zaledwie przed trzema dniami odnalazł swojego starego towarzysza z zakonu Świętej Cekliny. Opowiedział mu, że w pewnej osadzie na północy natknął się na jednoroźca, stworzenie mityczne i, jak dotychczas sądzono, nieistniejące. Zdołał go przekonać, by na kilka tygodni opuścił zamek i dotrzymał mu towarzystwa w poszukiwaniach. Z początku Bernardo okazał więcej niż umiarkowane zainteresowanie przedsięwzięciem, jednak w końcu Ñuño zdołał rozpalić jego ciekawość tak, że zagłuszyła logikę i rozsądek, i rozbudziła w nim pragnienie wyjaśnienia tego fenomenu, który nie miał prawa się zdarzyć.

Ruszyli zatem i wkrótce Almacea oraz znajdujący się w niej zamek zniknęły za linią horyzontu.

- Wiesz, co myślę, Ñuño? - zapytał Bernardo, po czym ciągnął dalej, nie czekając na odpowiedź towarzysza podróży. - Myślę, że mój dziwny niepokój bierze się stąd, że już zbyt długo nie opuszczałem Almacei... Ile to już lat? Dziesięć?

- Więcej! Dwanaście! Dwanaście lat, bracie! Wróciliśmy do Świętej Cekliny z okazji Zgromadzenia Głównego, pamiętasz? Wybrano wówczas na przeora zakonu Dimasa. To już dwanaście lat, od kiedy umarł Lucas, nasz poprzedni mistrz...

- Kto by pomyślał! Dwanaście lat! Zrobiłem się za stary na takie historie. Parę godzin jazdy i jutro nie będę się mógł ruszyć. Będzie mi łupało w krzyżu, że szkoda gadać...

- Będziesz miał pośladki w siniakach, odparzone jak u noworodka! Ale póki twoja ręka będzie pewna jak dawniej... Zawsze wierzyłem w twój miecz... Bo chyba wzięłeś miecz, co?

- Nie mam już miecza - odparł dobitnie. - Nie jestem już rycerzem.

Ñuño obrzucił wzrokiem wierzchowca swojego przyjaciela, by upewnić się, czy nie ma tam jakiegoś podłużnego pakunku.

- Oczywiście! - odetchnął z ulgą, gdy dostrzegł znajomy kształt. - Ani ty nie jesteś rycerzem, ani ja trubadurem.

I nie tracąc więcej słów, Ñuño zaintonował starą balladę o monotonnym, nużącym rytmie, opiewającą pocieszne czyny rycerskie pewnej dzielnej muchy.

W tym samym czasie, o przeszło trzydzieści kilometrów na północ, w Cruceiro, jakiś kobiecy cień kulił się w ciemnościach szopy. Schwytali ją i zamknęli jeszcze rano. Mogła mieć najwyżej siedemnaście lat. Z wyczerpania padła na wiązkę siana. Kiedy dotarło do niej, że została sama, gdy wreszcie ucichły wrzaski i syknięcia „wiedźma”, „czarownica”, „znachorka”,

które ją prześladowały, mogła w końcu odetchnąć i zapadła we właściwy sobie czujny i płytki sen. Przyśniły jej się dziwne stwory, które skradały się ku niej. Znow poczuła to samo przerażenie, co w dniu, kiedy straciła Jana. Obudziła się jak zwykle po kilku ledwie godzinach z mocno walącym sercem i łzami ciekącymi po twarzy.

W wioskowym zajeździe panowały ciemność i brud, ale mieli przynajmniej dach nad głową i ciepłą strawę. Bernardo swoim dawnym zwyczajem usiadł na ławie, z której dobrze widział drzwi. Odsunął na bok talerz z resztkami bliżej nieokreślonej potrawy.

- Jesteś głodny? - Ñuño siadł naprzeciw.

- Jestem tak zmęczony, że nie czuję głodu. Marzę, żeby się wreszcie położyć i zasnąć kamiennym snem... Mam nadzieję, że do jutra mięśnie trochę przestaną boleć; wziąłem arnikę, natrę się solidnie. - Pociągnął łyk wina.

- Bardzo rozcieńczone?

- Za bardzo. Ñuño spróbował.

- Przestań narzekać. Nie jest znow takie podłe. Przywykłeś do wygodnego życia, Bernardo.

Bernardo obracał w rękach kubek z winem.

- Za parę dni wszystko ci będzie smakowało niczym rajski nektar.

- Nie wątpię.

Bernardo spojrział na palenisko, na którym dogasał ogień. W powietrzu unosiła się stęchlizna. Karczma była prawie pusta. Tylko oni i jakiś miejscowy.

- Moglibyśmy pojechać na skróty przez Trillo, zaoszczędzilibyśmy pół dnia drogi.

- Chcesz zejść z królewskiego traktu?

- Tak.

- Nie ma mowy. Nie będziemy ryzykować bez potrzeby.

- Myślałem, że nam się spieszy.

- Czy ja wiem...

Bernardo chciał dotrzeć do Cruceiro jak najszybciej, jednak ani myślał narażać się na niebezpieczeństwo. Owszem, dęczyła go ciekawość, co też czeka ich na końcu podróży, cóż to za jednorożec, którego ponoć widział jego druh, ale równie mocno pragnął wrócić do swojego pana, Rafaela, do swojej baszty, swojego domu. Upłynęły całe lata, nim zdobył jego zaufanie, i coś, na co nie liczył w najśmielszych marzeniach: przestrzeń tylko dla siebie, przestrzeń, której nie musiał dzielić ze służącymi, psami ani dziećmi. Był więcej niż pogodzony z życiem i losem, dlatego nie chciał podejmować większego ryzyka.

Od kiedy wyruszył z Almacei, towarzyszył mu jednak dziwny niepokój, jakiś nieuchwytny lęk. A że Bernardo lubił wszystko analizować, doskonale zdawał sobie sprawę, że było to dla niego doznanie

całkiem nowe. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek czuł coś takiego. Owszem, pamiętał, co to strach: głucho i pulsujące uczucie, którego doświadczał, stając naprzeciw wroga. Pamiętał czerwoną falę furii, która pojawiała się, kiedy walczył o życie, ściśnięte gardło i pustkę w żołądku, dręczące go przed walką. Ale ten lęk był inny. Bernardo stracił gdzieś dawną pewność siebie i wiarę we własne siły.

- Chyba się zestarzałem, Ñuño. Boję się.

- Boisz się? Ty?... Bernardo, jeśli jest na tym świecie ktoś, kto nie zna strachu, to właśnie ty.

- To b y 1 e m ja.

- To jesteś ty!

- Byłem, mój drogi.

- Bzdura! - Ñuño cmoknął. - Teraz widzę, że najwyższa była już pora, żeby cię ktoś wyciągnął z tej twojej jaskini. Grzybiałeś tam i nawet nie miałeś o tym pojęcia. Ja zresztą też! Ech, słuchaj! Wypijmy za nas, za zakon Świętej Cekliny, za dawne czasy i za to, co nam jeszcze los gotuje. Dalej!

Bernardo pozwolił, by letni płyn spłynął mu do żołądka. Miłe ciepło rozeszło się po jego ciele niemal natychmiast.

- Jest coś, czego ci nie powiedziałem - odezwał się wreszcie Ñuño, któremu wino dodało odwagi. - Wiesz... - Szukał odpowiednich słów, a może odwagi, nim podjął na nowo wątek. - Ten jednorożec... Rzecz w tym, że... Nikt oprócz mnie nie

mógł go zobaczyć... Nie widzieli go! Ja stałem naprzeciw niego, oglądając to niezwykle zwierzę, słyszałem, jak piasek chrząścił mu pod kopytami, a nikt inny go nie dostrzegł!

Wydawało się, że brwi Bernarda same z siebie podskoczyły do góry.

- Nie patrz tak na mnie, Bernardo... - Ñuño ściszył jeszcze bardziej głos. - I tak jeszcze nie powiedziałem ci najgorszego...

- A co może być gorszego niż to, że przejechałeś trzydzieści mil, żeby opowiedzieć mi o jednorożcu, który nie istnieje i którego nikt oprócz ciebie nie może zobaczyć? - wycedził Bernardo. - Na Boga, Ñuño! Co może być gorszego niż to, że namówiłeś mnie, bym z tobą szukał niewidzialnego stwora?

- mówił coraz donośniej, aż głos jego zaczął przypominać pisk.

- Więc... - Ñuño rozejrzał się wokół, jakby obawiał się wypowiedzieć na głos tyle nonsensów naraz.

- Widziałem nie tylko jednorożca. Było więcej zwierząt, małych i cudaczkich, nieprzypominających niczego znanego. Widziałem je z daleka, i wcale nie miałem ochoty podchodzić bliżej. Tam było więcej potworów na wolności! Coś przerażającego dzieje się w Cruceiro.

Bernardo głęboko zaczerpnął powietrza, głównie po to, by zyskać na czasie, uzbroić się w cierpliwość i nie krzyknąć na przyjaciela, do którego zawsze, aż do tej chwili, miał pełne zaufanie.

- Uspokój się, Nuño - powiedział, choć sam potrzebował tego może bardziej niż jego rozmówca. - Zawsze posługiwaliśmy się rozumem. Podsumujmy... - Bernardo znów westchnął. - Twierdzisz, że na północy jest wioska, po której wędrują sobie jednorożce i inne monstra...

- Myślę, że jednorożec jest tylko jeden, ale oprócz niego wiele innych małych dziwacznych zwierząt.

- Ach, tak. I mówisz, że tylko ty możesz zobaczyć jednorożca...

- Inne też tylko ja, Bernardo, inne też. Jedyne ja widzę te diabelskie pomioty.

Zapadła głucha cisza.

- Piłeś coś wtedy? - odezwał się nieoczekiwanie Bernardo. - Kpisz sobie ze mnie? - znów mimowolnie jego głos przeszedł w krzyk.

- Przestań! - przerwał mu urażony Nuño. - Gdyby tak było, nie ciągnąłbym cię ze sobą. Zobaczyłem... to, co zobaczyłem i... - wydawało się, że wzdrygnął się przy tych słowach. - Na to, co dzieje się w Cruceiro, nie ma wytłumaczenia.

W głosie Nuña brzmiała szczerłość, w jego oczach zaś Bernardo dostrzegł panikę.

- Tak... Dlaczego miałbym ci wierzyć?

- Przez wzgląd na naszą wieloletnią przyjaźń. Uwierz mi, Bernardo, błagam. Pojedź ze mną, obejrzyj te bestie... Jesteś mądrzejszy ode mnie, masz większe doświadczenie, ty będziesz wiedział, co to takiego.

Przez chwilę myślałem, że postradałem zmysły. Tam dzieje się coś złego! I nie mam pojęcia, co to może być!

Bernardo przyjrzał się przyjacielowi; widział, że cały drży, a jego szkliste spojrzenie wyraża przerażenie, ale nie obłąd.

- W klasztorze Świętej Cekliny, gdzie studiowaliśmy, nauczono nas nie wierzyć w magię ani w legendy, ani w żadne inne bajki. A to, co mi opowiadasz, jest... po prostu niemożliwe. I jeśli tu z tobą jestem, Nuño, w drodze do Cruceiro, to wyłącznie dlatego, że cię szanuję i wiem, że nigdy nie zmyśliłbyś czegoś podobnego.

Westchnienie ulgi wymknęło się z ust jego rozmówcy.

- Dziękuję, Bernardo. Jeśli ktoś może wyjaśnić, co się tam dzieje, to tylko ty... - głos Nuño zadrżał. - Przystudiowałeś tylu starożytnych mędrców, znasz się na roślinach i zwierzętach, zgłębiłeś tajemnice religii, zawsze umiałeś jak nikt czytać wielką księgę świata...

- Dość tych pochlebstw, Nuño! Wystarczy, żeś mnie wywłókł z Almacei... Przysiągłem wierność mojemu panu, a teraz go opuściłem. Rafael jest wściekły, że wyjechałem właśnie wtedy, gdy jego żona ma rodzić. Dobrze chociaż, że nie wie, że wyruszyliśmy na poszukiwanie niewidzialnych potworów! - zakończył z nutą desperackiej ironii.

Drzwi zajazdu otworzyły się nagle. Kilku młodych mężczyzn wtargnęło hałaśliwie do środka. Gospodarz, słysząc ten rumor, wyszedł z kuchni.

Na widok nowo przybyłych zaniemówił.

Gromada rozsiadła się hałaśliwie na kilku ławach naprzeciw niemal już wygasłego paleniska.

Bernardo i Nuño, nie zwracając uwagi na ich wrzaski, zajęli się rosółem z kluskami i chlebem, które wcześniej ledwo tknęli. Makaron okazał się dużo lepszy, niż mogli się spodziewać po takiej gospodzie i niemal zapomnieli o obecności hałaśliwej bandy, aż nagle, kiedy już kończyli, gliniany dzban przeleciał nad ich głowami i roztrzaskał się o ścianę.

- Karczmaaaaaarz! Wina zbrakło! - wrzasnął jeden z młodych.

- Wina! Wina! - poparli go inni.

Gospodarz pojawił się, niosąc dwa dzbany, ale nim zdążył podejść do stołu, postawny blondyn, ten sam, który wcześniej cisnął dzbanem i który zapewne był przywódcą gromady, wstał i zastąpił mu drogę.

- Nie, nie, Eduardo. Nie tego! - to rzekłszy, jednym ciosem wytrącił mu dzban z ręki.

Wino opryskało wszystko łącznie z jego pludrami. W gospodzie zapadła cisza.

- Przynieś nam to drugie, wiesz które... - Chłopak podszedł do Nuña i Bernarda. - To, które trzymasz dla paniczyków z miasta, takich jak ci - dokończył

z pogardą. - A ty? Na co się gapisz? - wrzasnął wściekle na Nuña.

Nuño odwrócił wzrok. Bernardo obracał łyżkę w dłoniach, wpatrując się w nią w skupieniu.

Gospodarz, wciąż jeszcze trzymając w ręku drugi dzban, podszedł z pojednawczym uśmiechem.

- Pedro, to spokojni podróżni. Nie róbcie dziś rozróby.

Blondyn odwrócił się do niego i bez słowa wytrącił mu z ręki kolejny dzban wina.

Woń rozlanego alkoholu niczym gęsta zasłona uniosła się w powietrzu i podrażniła nozdrza Bernarda, który ścisnął mocniej łyżkę.

- Powiedziałem, że chcę to drugie... to, które dałeś im - zażądał młokos.

- Sądzę... - wtrącił się Bernardo, wstając z mięśniami napiętymi w gotowości - że nasze wino to ten sam sikacz co wasze. - I nie dając mu czasu na odpowiedź, wziął swój dzban i podstawił mu pod nos.

- Czujesz? Ten sam cienkusz! - zaśmiał się. Pedro, poirytowany, odsunął dzban, wylewając przy

tym część jego zawartości na koszulę Bernarda.

- Nie lubię paniczków - wycedził, wbijając w niego spojrzenie.

Nuño dyskretnie zanurzył rękę pod połę płaszcza. Przygotowywał się na to, co musiało nastąpić. Bernardo westchnął. Zapadła pełna napięcia cisza.

Wtem Bernardo wybuchnął śmiechem. Był to śmiech ponury i nieco teatralny, wydobywający się z głębi trzewi.

- Ja też nie lubię paniczyków - powiedział, a w jego głosie pobrzmiwał jeszcze ów śmiech. - I nie myśl sobie, ciężko jest ich znosić, żeby zarobić na chleb.

Na wargi Pedro wpłynął ironiczny uśmieszek.

- Tchórz!

Bernardo pokiwał głową.

- Owszem, to prawda... Czasami - rzekł powoli najbardziej niewinnym tonem, na jaki go było stać.

Blondyn popatrzył na niego raz jeszcze, jakby licząc na coś więcej.

Gospodarz postawił na stole, przy którym siedzieli młodzieńcy, kilka nowych dzbanów. Odgłos stawianych naczyń rozładował napięcie wiszące w powietrzu.

Pedro odwrócił się w stronę przyjaciół.

- Miejskie paniczyki! Tchórze! - rzucił. Następnie splunął pod nogi podróżnym i wrócił do swojego stołu.

Bernardo podszedł do przyjaciela, który siedział zgarbiony.

- Przysięgłbym, że napluje ci w twarz... Co byś wtedy zrobił?
- zapytał Nuño szeptem.

- Nic. Pewnie bym się wytarł.

- Bernardo! Kiedyś rozniósłbyś go na strzępy i to niemal natychmiast.

Bernardo westchnął.

- Bardzo możliwe, mój przyjacielu. Żałosny chłopak. Ale popatrz tylko na niego. Żałosny chłopak! Co go czeka? Zapewne jeszcze kilka lat fanfaronady, potem spłodzi gromadkę dzieci, dalej będzie tyrał na polach swojego pana jak wół, zobaczy, jak wymiera jego potomstwo, będzie się upijał, kiedy tylko będzie miał parę groszy przy duszy, wreszcie zrukuje sobie zdrowie i skona, jeśli szczęście mu dopisze, już za kilka lat. Niech się nacieszy swoimi mizernymi zwycięstwami i młodością.

Nuño wpatrywał się w przyjaciela, a oczy zaokrągliły mu się jak spodki.

- Nie pozwoliłbym, aby mi ubliżał prosty wieśniak.

- Oj, oj, kochany Nuño! - Teraz Bernardo już otwarcie się uśmiechnął. - Powinniśmy powściągać nasze emocje. Mogą mnie nazywać tchórzem czy głupcem... Ja wiem, że nie jestem żadnym z nich i nie muszę tego udowadniać takiemu nieszczęśnikowi jak ten młokos. Po prostu nie warto!

- Nie poznaję cię, Bernardo.

- Może się postarzałem... - wyjaśnił jego przyjaciel, kpiąco mrużąc oko - albo może rzeczywiście stałem się tchórzem.

I jednym łykiem Bernardo opróżnił swój kubek.

Dziewczyną znów zasnęła. Świtało i promienie słońca przedzierały się przez szpary w drzwiach. Ktoś

na pewno ją odwiedził, bo znalazła kawałek chleba i miskę zupy, która na szczęście jeszcze parowała. Obudziła się ze zdętwiałymi mięśniami. Wilgoć szopy przeniknęła ją do szpiku kości. Przeciągnęła się i pochyliła nad miską z rosółem. Pachniał ładnie. Podniosła naczynie do ust i zaczęła smakować płyn. Rozpoznała w nim znajome przyprawy. Uśmiechnęła się lekko. To od Marii. To na pewno ona ugotowała tę zupę. Maria nie zapomniała o niej, miała przecież wobec niej dług wdzięczności. Zupa z karczochów była tego najlepszym dowodem.

Smakowała każdy łyk i czekała, aż ciepło rozejdzie się po zdętwiałych członkach.

Jej zmęczone ciało, drżące z zimna niczym topola na wietrze, natychmiast zareagowało na ciepło posiłku. Dziewczyna pomyślała o urodzie i sile dębu, wyprostowała się.

Kiedy skończyła zupę i kromkę chleba, poczuła przyływ sił. Nie chciała siedzieć dalej w tej wilgotnej norze. Musiała uciec.

O tym, jak naszym bohaterom
ukazała się wiedźma z Cruceiro
i tajemnicze stwory z lasu

Słuchaj, Ñuño, jeszcze raz zaśpiewasz o tej dzielnej muszce i wracam do domu.

- Przecież już prawie dojeżdżamy. Jakoś wytrzymasz.

- Nie byłbym taki pewien! - zaśmiał się Bernardo. Od dnia, gdy wyruszyli w drogę, minęło już kilka tygodni. Okolica stała się bardziej zielona i wilgotna. Równiny znikły, ustępując miejsca łagodnym wzgórzom. Mech porastający pobocze drogi tłumił odgłos ich rozmowy i stukot kopyt. Śpiewy Nuña płoszyły ptactwo, które milkło, gdy wędrowcy się zbliżali.

Nagle na tle naturalnych odgłosów lasu dał się słyszeć jakiś obcy dźwięk, daleki pomruk, który zdawał się być coraz bliżej.

Ñuño i Bernardo jednocześnie ściągnęli lejce.

Dotąd podróż upływała im podejrzanie spokojnie. Mijali niekiedy kupców, pielgrzymów i dość często wieśniaków. Odpoczywali w gospodach, ubogich zajazdach lub dziwnych oberżach, w skromnych szałasach węglarzy i szopach. Czasem spali w szczerym polu, w zrobionej przez siebie ze skór imitacji namiotu. W Pedrafita zaskoczyła ich burza, więc musieli zatrzymać się tam na kilka dni. Mulica Nuña okazała się bardziej uparta, niż się spodziewali, co również opóźniło ich podróż. W sumie najpoważniejszym problemem, jakiemu musieli dotąd stawić czoło, były obolałe pośladki Bernarda. Wreszcie jednak przyzwyczał się on do jazdy w siodle i dolegliwości pierwszych dni pozostały jedynie przykrym wspomnieniem.

Nagle zza odległego zakrętu drogi wyłoniła się grupa mężczyzn.

Na wszelki wypadek dłoń Bernarda odruchowo poszukała pod ubraniem chłodnej rękojeści sztyletu. Ñuño ostrożnie ustawił się za koniem przyjaciela. Dojrzał jednak kogoś znajomego i uspokoił się.

- To mieszkańcy Cruceiro. Porządni ludzie.

Kiedy podjechali bliżej, mogli się im dokładniej przyjrzeć. Była to gromada wieśniaków, ubogich, zmęczonych i brudnych.

Ñuño przywitał ich pierwszy. Odezwał się po galicyjsku.

- *Bos dias...*

Zanim zdążył dodać coś więcej, przerwał mu wysoki krzepki mężczyzna:

- Nie widzieliście małego chłopca? - Bernardo rozpoznał charakterystyczny galicyjski dialekt, którego od wielu już lat nie słyszał.

- Pięć lat, dość jasne włosy, gdzieś takiego wzrostu... - Uniósł dłoń na wysokość biodra.

- Wiedźma porwała mu syna! - wyjaśnił inny z brunatną brodą.

- Wiedźma? - zapytał Bernardo, starając się nie okazać zdumienia.

- Porwała mojego syna! Moją chłopaczkę i uciekła!

- Nie widzieliśmy żadnego dziecka - wtrącił się Nuño. - Przez całą drogę nie minęliśmy nikogo - dodał.

Ojciec chłopca spojrzał na niego, jakby coś sobie przypomniawszy.

- Znam was?

- Spędziłem tu kiedyś w pobliżu parę dni, w zajezdzie Pod Dębem.

Bernardo nie odzywał się, jego wzrok błędził po leśnej gęstwinie.

- Więc twój syn zaginął? - zapytał Nuño.

- Nazywa się Martin, ma jasne włosy, porwała go wiedźma - powtórzył ze znużeniem tamten. - Złapaliśmy ją, ale ona uciekła i porwała chłopca... Ona ma

długie białe włosy... Jesteście pewni, że ich nie widzieliście? Ñuño pokręcił głową.

Wieśniacy, przerywając sobie co chwila, w chaotyczny sposób opowiedzieli całą historię. Z ich słów wynikało, że złapali i uwięzili czarownicę o białych włosach. Poprzedniego dnia wiedźma uciekła i zabrała ze sobą małego Martina, pięcioletniego chłopaczka, uwielbianego przez ojca, silnego, postawnego mężczyznę, który teraz odchodził od zmysłów.

Ñuño powstrzymał się od pytań o wiedźmę i przyczyny jej uwięzienia. Doświadczenie podpowiadało mu, że lepiej nie mieszać się w takie sprawy.

Wreszcie wieśniacy pożegnali się i pojechali dalej swoją drogą w poszukiwaniu chłopca i wiedźmy.

Ñuño miał także ruszyć, kiedy spostrzegł, że Bernardo, z oczami okrągłymi ze zdumienia, wpatruje się w jakiś punkt drogi. Dopiero wtedy uświadomił sobie, że jego towarzysz przez dłuższą chwilę nie odezwał się ani słowem. Popatrzył w kierunku miejsca, które tak bardzo zaabsorbowało uwagę tamtego, ale zobaczył jedynie tuż przy ziemi jakiś niewyraźny cień, który z szybkością błyskawicy umknął w zarośla.

- Widziałeś to? - zapytał Bernardo nieswoim głosem.

Ñuño uważnie obserwował gęste zarośla.

- Widziałeś to? - powtórzył jego towarzysz.
- Nic nie widziałem. Co to było?
- Jakieś włochate zwierzę z długą sierścią, podobne do myszy... - przerwał mu Bernardo. - Ale dużo większe i pokryte czymś w rodzaju niebieskawej skorupy. Przebiegło między nogami tego wysokiego wieśniaka. Nie widziałeś tego?
- Nie zdołałem. Patrzyłem tamtemu w twarz. Widać, że serce biedakowi pęka z bólu.
- Chyba nikt go nie widział! Było czarne niczym noc. Miało błyszczącą skorupę jak owad - wyjaśniał pospiesznie. - Co za dziwaczne zwierzę! Nigdy nie widziałem czegoś takiego... Boże w niebiesiech!
- Pięknie, teraz ty widzisz stwory dla innych niewidzialne - zadrwił Ñuño.
- Tam! - Bernardo wyciągnął rękę, wskazując wystające z ziemi korzenie dębu.
- Kolejny stwór, beznogi, szary i błyszczący, czołgał się tamtędy, zostawiając za sobą pasmo śluzu.
- A niech to! - Ñuño stanął jak wryty. - Tego jeszcze nie spotkałem... Nawet wtedy.
- Stwór, obojętny na ich zainteresowanie, z niespotykaną prędkością prześliznął się na pobocze drogi. Bernardo patrzył za nim ostrożnie, starając się go nie spłoszyć. Zwierzę zniknęło w gąszczu.
- Umknął w tę samą stronę, co tamten. Chodźmy za nim!
- Przez las? - zapytał Ñuño bez przekonania.

- Już dwa tam poszły... Pewnie właśnie tam mają swoje schronienie i tam znajdziemy odpowiedź na nasze pytanie.

Ñuño rozważył słowa Bernarda. Było wcześniej, mieli jeszcze parę godzin do zapadnięcia zmierzchu. Może rzeczywiście znajdowała się tu ostoja tych dziwnych zwierząt. Łącznie z jednorożcem, którego widział dwa miesiące temu!

- Chodźmy zatem!... Ale wcale mi się nie podoba łażenie po tych lasach. Sam wiesz... - Ñuño zeskoczył na ziemię i wziął swoją mulicę za uzdę. - Zobaczmy, któredy moglibyśmy się przedrzeć.

Nieco dalej natrafili na ścieżkę, która wiodła w las. Ruszyli więc pieszo, prowadząc wierzchowce za sobą.

Las nie był tak gęsty, jak się z początku spodziewali; ścieżka wiła się wśród paproci i niskich krzaków. Marsz utrudniało jedynie gęste, ciężkie błoto.

- Nic nie ma - przerwał milczenie Ñuño. - Nie widać żadnych stworów.

- Musiały iść tędy. Pójdźmy jeszcze kawałek...

W ciszy czekali, czy nie pojawi się jakiś cień, ale nic nie wskazywało na to, że w lesie kryje się coś niezwykłego.

Ñuño zatrzymał się na chwilę, by odetchnąć. Węszył w powietrzu, ale nic nie przyciągnęło jego uwagi.

Wyteżył słuch, próbując wychwycić jakiś szmer czy inny odgłos. Na ziemi wypatrywał śladów stworzenia, które widział Bernardo.

- Nic nie ma... - powtórzył.

Bernardo westchnął; musiał przyjąć do wiadomości, że ten las w niczym się nie różni od innych. Cóż powszedniejszego niż ta niska roślinność, suche, bezlistne krzaki, dęby, których liście zaczynały już opadać, szare granitowe głazy, wystające tu i ówdzie. Niektóre z nich pokrywał mech, układający się w kapryśne wzory.

Ñuño wpatrywał się w nie oniemiały.

- Bernardo!

Jego przyjaciel aż podskoczył, słysząc ten okrzyk.

- Bernardo! Mówisz, że te stwory poszły tam - wyciągnął rękę przed siebie.

- Tak.

- Tam... - powtórzył sam do siebie. - Wróćmy na drogę!

- Przecież straciłem je z oczu, kiedy szły w tę stronę...

- Wróćmy na drogę - rzekł Ñuño, a widząc niedowierzanie na twarzy przyjaciela, dorzucił. - Zaufaj mi, Bernardo. Zobaczysz... Chodź za mną.

Ñuño obrócił się i zaczął wracać po własnych śladach, ciągnąc za sobą mulicę, która najwyraźniej nie miała ochoty iść za nim.

- To musi być gdzieś tutaj...

Bernardo szedł za nim, nie przestając uważnie lustrować wrokiem mijanych zarośli.

W milczeniu przeszli kilkaset metrów, aż dróżka doprowadziła ich do niewielkiej doliny. Ñuño zatrzymał się na zakręcie ścieżki. Przywołał Bernarda gestem i bez słowa pokazał mu widok, który się przed nimi rozciągał.

Okolica aż kipiała soczystą zielenią. W głębi doliny widać było wioskę z chatami krytymi drewnem i słomą, choć zdarzały się też czasem domy kamienne z czarnymi dachówkami z łupka. Wokół rozciągały się łąki, a dalej niskopienny las, który w miarę jak oddalał się od osady, stopniowo gęstniał.

- To Cruceiro - powiedział Ñuño.

Ale Bernardo patrzył gdzie indziej. Dolinę otaczały łagodne wzgórza, zaś stok, którym biegła ich ścieżka, stawał się stopniowo coraz bardziej stromy i kończył się nagim, pozbawionym roślinności szczytem, górującym nad okolicą. Bernardowi zdawało się, że wśród głazów dostrzegął skalne półki. Był to idealny punkt widokowy.

- To *A Chan D'Arquiña*. Miejsce mocy...

Tego jednak Ñuño nie musiał mówić. Bernardo sam to zauważył. W takich właśnie miejscach, wysoko nad łagodnymi dolinami, starożytni stawiali menhiry i dolmeny. Potem pradawne ośrodki kultu zastępowano pogańskimi świątyniami, a jeszcze później pustelniami lub kościołami. Kolejne pokolenia po-

wracały w takie miejsca, szukając czegoś, czego same do końca nie rozumiały. Czuły tam po prostu pierwotne siły natury.

Bernardo i Nuño, zorientowali się, że stwory musiały tędy przechodzić.

- Jest tu ścieżka, która prowadzi na szczyt. Kiedy byłem w Cruceiro, słyszałem o tym miejscu. Ludzie we wsi powiedzieli mi, że na kamieniach można znaleźć dziwne rysunki i znaki. Mówili też, że raz do roku, na Świętej Klaudii, przychodzą tutaj i odprawiają jakieś ceremonie. - Nuño, nie przestając mówić, pogonił swoją mulicę. - Przynoszą tu jadło, napoje. Jak tyle innych ludów pielgrzymują do miejsc mocy pod pretekstem tych obchodów. Nie zdają sobie sprawy, że w istocie przyciąga ich samo miejsce...

- Chodźmy - odparł krótko Bernardo.

I ruszyli w poszukiwaniu ścieżki, która miała zaprowadzić ich na szczyt.

Ścieżka nie należała najwyraźniej do często używanych, jednak nie wydawała się też całkiem opuszczona. Czasem się rozgałęziała; w takim wypadku wybierali tę odnogę, która pięła się w kierunku nagiego wierzchołka. Kilka razy musieli zawrócić i dalej wspinać się wcześniejszą drogą, w sumie jednak dotarcie na szczyt góry nie okazało się zbyt trudne.

W końcu las się przerzedził i ich oczom ukazał się niewielki płaskowyż, pokryty zielskiem i paprociami. Przywiązali wierzchowce do krzaków, a Bernardo zaczął wypatrywać wśród roślinności kamiennych bloków, jakie zwykle znajdują się w miejscach mocy.

Nie musiał długo szukać. Po kilku chwilach zobaczył wśród paproci kilka płaskich głazów. Wspięli się na nie i potoczyli spojrzeniem po dolinie. Ogarnęła ich cisza. Dusze wypełnił niezwykle spokój.

- Natura jest dziełem Boga... - Bernardo głęboko odetchnął; powietrze w tym miejscu zdawało się mieć oczyszczające właściwości. Potem zmówił szeptem modlitwę.

- Popatrz tutaj - Nuño pokazał mu spiralny kształt wyrzeźbiony w skale.

Bernardo przeciągnął palcem po pradawnym reliefie. Potem odruchowo pogłodził swój medalion, na którym wygrawerowano podobny symbol.

Na głazie widniało też coś w rodzaju prymitywnej podkowy, częściowo porośniętej mchem.

Zaczęli przeskakiwać z kamienia na kamień. Znaleźli więcej spiralnych znaków i otworów o różnych rozmiarach. Bernardo był pod wrażeniem ilości znalezionych symboli.

- Nawet w Świętej Ceklinie nie ma tylu. Niesamowite...

Wtem ich uwagę przyciągnęło dziwne rzenie.

Bernardo zastygł w bezruchu. Dźwięk miał wysoki, osobliwy ton i długo wibrował w powietrzu. Czegoś takiego nie mogłoby z siebie wydać żadne znane mu zwierzę.

- To nie jest mój koń... Ani twoja mulica...

- To jednorozec! - Nuño zeskoczył z wielkiego głazu, na którym stał, i ruszył za ogromnym kształtem, który nieoczekiwanie mignął między drzewami.

Bernardo pobiegł za nim.

Pędzili na złamanie karku w szaleńczym pościgu, rozsuwając w miarę możliwości gałęzie, które zagradzały im drogę; przeskakiwali kamienie i zwalone pnie. Biegli za zwierzęciem, które ledwie widzieli między drzewami.

Nagle powietrze przeszył wyrazisty trzask, jakby ktoś za ich plecami nadepnął na wysuszoną gałąź.

Bernardo zatrzymał się w miejscu, Nuño nadal ścigał wśród drzew jednorozca.

Bernardo odwrócił się, kierowany instynktem starego żołnierza, który czuje, że wróg czai się w pobliżu. Jego mięśnie napięły się w oczekiwaniu na to, co miało nastąpić.

Trzasnęła kolejna gałązka. Ten dźwięk oddzielił przeszłość od przyszłości.

Czas się zatrzymał. Pośród zarośli zamajaczyła przed nim biała postać. Bernardo poczuł, jak nogi wrastają mu w ziemię. Miał wrażenie, że stoi na dwóch zdrewniałych pniach. Głowa i ręce również ciążyły,

jakby odlane z ołowiu. Gdy tak stał jak sparaliżowany, przypomniawszy sobie o mieczu pozostawionym w jukach konia. Przeklął w duszy własną lekkomyślność.

Chciał się poruszyć, ale ciało nadal go nie słuchało. Zebrał całą siłę woli, żeby zmobilizować się do dalszego pościgu. Nie od razu mu się to udało, w końcu jednak zdał sobie sprawę z absurdalności tej sytuacji i wtedy najzwyczajniej w świecie ruszył biegiem za cieniem, który mignął mu w gąszczu.

Jakiś czas przedzierał się przez krzaki, aż nagle zdał sobie sprawę, że wokół panuje absolutna cisza.

Miał wrażenie, jakby nagle znalazł się pod wodą, w której dźwięk się nie rozchodzi. Tyle że nie był w wodzie, lecz w lesie, a tam zawsze słychać jakieś, choćby drobne, szmery.

Coś było nie tak. Coś, co sprawiało, że Bernardo nie potrafił w pełni zapanować nad swoim ciałem. Coś tak sprzecznego z naturą, że zaczynał wątpić we wszystko, co widział: drzewa wokół, janowiec splatający się w gęste chaszczki, pierwsze suche liście na ziemi... Szedł po nich, 'a one nie szeleściły. Nie usłyszał żadnego dźwięku, kiedy po nich stapał. A przecież powinny szeleścić!

Rozum buntował się przeciw temu, czego nie rozumiał i nagle... Bach! Jakby wynurzył się na powierzchnię wody. Wszystkie dźwięki wróciły: suche liście zaczęły szeleścić pod stopami, wiatr szumiał między gałęziami, w oddali rozlegało się wysokie

rzenie, a jakiś trzask ponad nim kazał mu podnieść głowę.

Na drzewo wspinała się, obejmując jedną ręką pień, a drugą chwytając się gałęzi, jakaś kobieta. Widział ją od tyłu. Miała ciemne ubranie, zaś włosy zebrane w bardzo gruby i długi warkocz, tak biały, że wydawało się niemal nieprawdopodobieństwem, by istniał równie jasny kolor.

„Wiedzma”, pomyślał.

Wtedy odwróciła się i zobaczył jej twarz. Skamieniał na moment.

W ogorzałej od słońca twarzy, niczym dwa ciemne węgielki, błyszczały oczy. Jednak była to twarz młoda, tak młoda, że koło oczu dostrzegł zaledwie kilka cieniutkich kurzych łapek.

Siwe włosy, niczym aureola wokół twarzy, kontrastowały tak bardzo z rysami, że dawały jej wygląd fantastycznej zjawy.

- Chodź - przemówił po kastylijsku Bernardo, po czym wbił wzrok w dziewczynę i wyciągnął rękę w kierunku gałęzi, którą kurczowo ścisnęła. - Nie zrobię ci krzywdy - starał się nadać swojemu głosowi spokojne i ciepłe brzmienie, w nadziei, że nawet jeśli dziewczyna nie rozumie tego języka, to przekona ją ton jego głosu.

Przyjrzała mu się uważnie, wreszcie odwróciła się powoli, nie spuszczać go ani na chwilę z oczu.

Bernardo jeszcze bardziej wyciągnął rękę.

- Zejdź. Nie zrobię ci krzywdy... - powtórzył.

Dziewczyna wreszcie zdecydowała się i podała mu rękę. Oparła się na nim delikatnie, by zejść z drzewa. Wtedy Bernardo złapał ją mocno za nadgarstek i pociągnął na ziemię.

Nie upadła, choć tego się spodziewał. Z głuchym warknięciem wyrwała mu się, fiknęła kozła w powietrzu i wylądowała na równe nogi. Następnie przyjęła bojową postawę, która zmusiła Bernarda do zmiany taktyki.

Nie musiał się zastanawiać - jego instynkt mnicha-żołnierza przed laty wielokrotnie poddawany próbom, kazał mu stanąć bokiem, tak by wystawić na cios jak najmniejszą powierzchnię ciała. Ramiona odruchowo podniosły się do obrony.

„Kobiety nie walczą, kobieta nie może tak walczyć... Nikt tak nie walczy! Powinna była upaść na ziemię”.

Wymierzyła mu kopniaka w krocze. Zdażył odskoczyć.

Z ust wiedźmy wyrwał się okrzyk zdziwienia, kiedy zdała sobie sprawę, że i on umie walczyć.

Mierzyli się nawzajem wzrokiem, czekając, kto zrobi następny ruch. Pierwszy zdecydował się Bernardo. Rzucił się na nią, chcąc jej podciąć nogę. Przewidziała to i odskoczyła w porę, po czym natychmiast zaatakowała go, choć zupełnie się tego nie spodziewał. Uderzenie było tak silne, że stęknął z bólu, ale nie ruszył się z miejsca.

Znów zaatakowała. Tym razem zablokował cios i błyskawicznie chwycił ją za ramię. Teraz ją miał. Nagle za plecami usłyszał głos Nuña.

- Bernardo! Jednoro...!

Okrzyk przyjaciela nawet na chwilę nie odwrócił jego uwagi, przeciwnie, zacisnął jeszcze mocniej pięść, aż poczuł jej szczupłe ramiona, które nagle zwiotczały. Przestała się wyrywać.

- Wiedźma?! - krzyknął Nufio.

Bernardo zaciągnął dziewczynę do ogromnego drzewa. Odetchnął dopiero wtedy, gdy przyparł swoją ofiarę do pnia.

Dziewczyna szeroko otworzyła oczy i utkwiała wzrok w Bernardzie. Zauważył wtedy, że to twarde spojrzenie nie było czarne, jak wcześniej sądził. Miała oczy ciemnobrązowe, tyle że źrenic niemal nie dawało się dostrzec.

- Wy też możecie go zobaczyć... - odezwała się po kastylijsku zachrypłym głosem, który sprawiał wrażenie, jakby dobywał się z dawno nieużywanego instrumentu. - Możecie zobaczyć jednorożca!

Mimowolnie Bernardo zwolnił uścisk. Wiedźma nawet nie drgnęła, nie zrobiła najmniejszego ruchu, by uciec.

- Umie walczyć. Została przeszkolona - powiedział do Nuña.

- Jak to?

Nuño popatrzył na nią z głupią miną.

- Żadna kobieta nie umie walczyć.

- Puść mnie - poprosiła łagodnie. - Proszę, puść mnie. Chcę wam coś pokazać...

Bernardo zawahał się. Jej głos, niezwykle słodki, wydawał się szczery. Rycerz rozluźnił uchwyt. Wyprostowała się powoli. Podniosła rękę do serca i, nie przestając wbijać swojego mrocznego spojrzenia w miodowe oczy Bernarda, zanurzyła dłoń między fałdy ubrania, skąd wyciągnęła medalion.

Bernardo z niedowierzaniem wpatrywał się w wygrawerowaną na nim spiralę.

- Medalion zakonu! - wykrzyknął Nuño. Wszyscy troje popatrzyli na siebie w bezbrzeżnym zdumieniu.

- W Świętej Ceklinie nie ma kobiet - Nuño wypowiedział na głos myśl, która przemknęła przez głowę Bernardowi.

- Należał do mojego brata... - szepnęła dziewczyna. - To on mnie wszystkiego nauczył, włącznie ze sztuką walki.

Dopiero wtedy Bernardo naprawdę się uspokoił.

- Twój brat był w Świętej Ceklinie? Kiwnęła głową.

- Teraz rozumiem.

- Wy też możecie go zobaczyć... Tak jak ja... - spojrzała na nich z nadzieją w oczach.

Wiedzieli, że mówi o jednorożcu.

- Prawdę mówiąc, ja go nie widziałem... jeszcze
- wyznał Bernardo. - Ale przyjechaliśmy tu, by go odnaleźć.
Jego i inne dziwne stwory, które Nuño napotkał tu dwa miesiące temu.

- Tak... przypominam sobie twoją twarz. Widziałam cię w Cruceiro...

- Nie znam cię. - Nuño przyjrzał jej się uważnie. Był pewien, że nigdy wcześniej jej nie widział. Na pewno by jej nie zapomniał.

- Mieszkam w lesie. I nie pozwalałam się zobaczyć... A już zwłaszcza obcym.

Nuño nagle jakby ocknął się z letargu i niemal krzyknął:

- A chłopiec? Gdzie on jest? Przecież to ty jesteś tą wiedźmą, której szukali!

- Jaki chłopiec? - spojrzała na niego zdumiona.

- Martin - sprecyzował Bernardo, któremu udało się przypomnieć sobie imię dziecka.

- Mały Martin z Cruceiro? Gdzie jest? Co się stało z tym nicponiem?

- Szukają go. Powiedzieli nam, że go porwałaś, uciekając.

- Naprawdę uciekłam. Ale nikogo nie porwałam!

- Jej zaskoczenie wydawało się szczere.

- Uciekłaś?

Już miał na końcu języka kolejne pytanie: „Skąd?”, „Dlaczego?”, gdy kobieta westchnęła i skierowała spojrzenie swoich ciemnych oczu na Nuña.

- To długa historia. Zrobiłam coś... co się komuś nie spodobało. To wystarczyło, żeby mnie uwieźć. Nie znoszę, kiedy mnie zamykają... Uciekłam i schowałam się w lesie. Tutaj... - Szerokim gestem potoczyła wokół siebie - tutaj mi dobrze. To mój dom

- mówiła wolno i zdawało się, że nie może znaleźć właściwych słów, jak gdyby zbyt wiele myśli naraz kłębiło się jej w głowie. - Martin... to żywe srebro, wszędzie go pełno. Jego matka musi odchodzić od zmysłów...

Bernardo nie mógł oprzeć się wrażeniu, że czegoś nie rozumie, że coś mu się wymyka jak piasek przelatujący między palcami.

- Jak się nazywa twój brat? - odezwał się nagle.

- Jan, Jan de Coiro - powiedziała nieśmiało.

- Jan de Coiro! Słyszałem o nim w Świętej Ceklinie! To autor rycin botanicznych, które tam oglądałem

- zawołał Nuño.

- Tak, mój brat mógł być ich autorem.

- Mógł? - przerwał Nuño.

- Umarł.

Odpowiedź była tak krótka i sucha, że nie odważyli się pytać dalej.

Wszyscy troje umilkli. Wreszcie na twarz Nuña wpłynął ciepły i szczerzy uśmiech. Kiedy wspomnieli imię towarzysza z Zakonu, poczuł nagle, że dziwna dziewczyna o białych włosach nie jest już całkiem obca.

- Nazywam się Nuño, byłem w Świętej Ceklinie z mistrzem Lucasem. A to Bernardo, z którym razem studiowaliśmy... - wskazał na przyjaciela.

- Wiele, wiele lat temu - dorzucił tamten. Dziewczyna przyjrzała się ich świeckim strojom podróżnym.

- Jesteście mnichami? Nuño pokręcił głową.

- Wybraliśmy inną drogę. Jesteśmy braćmi Świętej Cekliny, uczniami...

- Ach! Woleliście działać niż kontemplować. Jeśli nie jesteście mnichami, to na pewno żołnierzami lub nauczycielami. Ludzie ze Świętej Cekliny nie mogą być po prostu uczniami...

Bernardo uśmiechnął się, słysząc ton, jakim wypowiedziała te słowa. Przyzwyczajony był, że rzucono mu je w twarz z lękiem, gniewem lub pogardą, ale nikt jeszcze nie mówił tego z taką słodyczą.

- Ja nadal bywam w klasztorze. Lubię odwiedzać dawnych mistrzów i współbraci. Choć ostatnio nie najlepiej im się wiedzie...

- Nuño chwili nie usiedzi w miejscu, nigdzie nie może zapaść korzeni - zaśmiał się Bernardo. - Ma duszę trubadura, niestety jego rymy wprawiają w panikę wszelkie żywe stworzenie.

Dziewczyna uśmiechnęła się nieśmiało na ten ironiczny komentarz.

- A ja jestem Bernardo. Jak wielu uczniów Świętej Cekliny nazywa się mnie magiem, czarnoksiężnikiem albo mnichem-nigromantą. Sam wolę się przedstawiać jako skromny sługa boży, poddany Zakonu i mojego pana Rafaela z Almacei.

- Bernardo za to zapuścił w Almacei takie korzenie, że bardziej przypomina jakieś drzewo... - odparował Ñuño ze zgryźliwym uśmiechem na wargach.

Wzmianka dotycząca bezruchu przypomniała nagle Bernardowi to, czego doznał chwilę wcześniej, tamto wrażenie, że jego nogi wrosły w ziemię niczym pnie drzew.

- Cóż, z niejakim zdumieniem odkryłem - odezwał się - że moje mięśnie nie całkiem zardzewiały. Zdołałem nawet jakoś się obronić przed „bezbronną białogłową”!

Nie umknęła jej drwina, jaka zabrzmiała w jego słowach.

- Kobiety są słabsze z natury... - odparła ze skromnością, która zabrzmiała nieco fałszywie - ale Jan nauczył mnie, jak się bronić... A ty mnie okłamałeś! - zwróciła się do Bernarda. - Powiedziałeś, że nie zrobisz mi krzywdy, a potem ściągnąłeś z drzewa na ziemię. Nie lubię, gdy ktoś mnie okłamuje.

Bernardo wzruszył ramionami.

- Przykro mi. Ale... - Sam nie wiedział, jak wyjaśnić poczucie zagrożenia, które go wtedy ogarnęło; teraz wydało mu się ono śmieszne i nierzeczywiste.

- Na imię mi Yebra, Yebra de Coiro - przedstawiła się wiedźma. - Ale już dawno temu opuściłam mój dom.

Bernardo obrzucił ją uważnym spojrzeniem, zastanawiając się, co też znaczy „dawno” dla tak młodej istoty.

- Przecież nazywają mnie wiedźmą lub czarownicą...

Kiedy to powiedziała, oboje poczuli, że coś ich łączy niczym starych znajomych. Święta Ceklina uważana była za kolebkę ludzi pobożnych, mędrców i świetnych żołnierzy. Jednak nauki, które studiowano w klasztorze, wielu wydawały się tajemnicze i podejrzane. Od swego powstania Święta Ceklina nie raz musiała stawiać czoła oskarżeniom, które czasem docierały aż przed oblicze papieża, w Rzymie lub, jak ostatnio, w Awinionie.

Braci z Zakonu nazywano „wojującymi mnichami” lub czasami „mnichami czarnoksiężnikami” i wszyscy, którzy przewinęli się przez klasztor, w ten czy inny sposób spotykali się z niezrozumieniem i wrogością. Żyli oskarżani o czarną magię, co w najlepszym razie oznaczało podejrzliwe spojrzenia, a w gorszym więzienie, wymyślne tortury lub nawet śmierć.

Wtem wysokie rzenie znów wypełniło powietrze, przerywając ich rozmowę.

- Jednorożec! - krzyknął Nuño - Bernardo! Przedtem widziałem go w...

Bernardo wpatrywał się w dziewczynę; Jej bezwiedny, ulotny gest kazał mu myśleć, że chciała powiedzieć im coś ważnego, ale wrażenie to znikło równie szybko.

Dziewczyna odczytała jego spojrzenie jako pytanie.

- Mieszka tu ze mną - powiedziała, jakby to wszystko wyjaśniało, i ruszyła w kierunku półki skalnej, dając tym samym do zrozumienia, żeby poszli za nią.

Skierowała się do miejsca, w którym zostawili wierzchowce. Yebra zerknęła na zwierzęta, nie zaprzestając przeskakiwać z jednego głazu na drugi. Nuño z Bernardem szli za nią.

W pewnym momencie Yebra zaczęła wydawać dziwny odgłos przypominający cmokanie i dała im znak, by się zatrzymali. Sama szła dalej.

Nagle poczuli dziwny intensywny zapach. Przed nimi stanął jednorożec.

Bernardo omal nie krzyknął z wrażenia.

Tak jak mówił Nuño, zwierzę przypominało perszerona kasztanowej maści. Pokażne rozmiary nie przeszkadzały mu poruszać się ze szczególną gracją. Nogi miało długie, ciemne, pokryte kręconym włosiem. Z czoła sterczał róg o barwie kości słoniowej, spiralnie skręcony, podobnie jak u byków.

Yebra zbliżyła się do niego. Pozwoliła, by powąchał jej dłoń, pogłaskała go i poklepała przyjaźnie po pysku. Szepnęła mu do ucha kilka słów, których nie dosłyszeli.

Bernardo miał wrażenie, że śni. Tuż przed nim białowłosa dziewczyna głaskała mityczne zwierzę, którego nie miało prawa tu być. Niczym dziewica z legendy poskromiła jednoroźca.

- Jest raczej spokojny - wyjaśniła im. - Lubi marchew, jak konie.

Bernardo zaniemówił z wrażenia.

- Naprawdę istnieją - szepnął Nuño. - Mówiłem ci.

- Jest ich więcej? - Bernardo musiał przełknąć ślinę, by wydobyć z siebie głos.

- Jednoroźców? Wątpię - wyszeptała Yebra.

- A te małe stwory? Widzieliśmy dziwne małe zwierzęta, które...

- Żyją tu. - Szerokim gestem wskazała otaczający ich las. - Lubią to miejsce. - Znów popatrzyła na jednoroźca.

- Naprawdę nikt inny nie może go zobaczyć?

- zapytał Bernardo cichym głosem, jakby obawiał się, że ktoś usłyszy.

Yebra i Nuño potwierdzili.

- Wcale nie byłam pewna, czy go zobaczycie

- powiedziała.

Bernardo zbliżył się do jednoroźca, by go dotknąć. Szedł bardzo powoli i cicho. Wyciągnął rękę gestem, który zaobserwował u Yebry. Zdołał jednak zrobić ledwie kilka kroków, kiedy jednorożec odskoczył. Bernardo patrzył, jak truchtem znika wśród drzew.

- A mówi się, że te zwierzęta nie istnieją... - Bernardo wciąż nie mógł uwierzyć własnym zmysłom.

Yebra wzruszyła ramionami. Umysł Bernarda nie potrafił powstrzymać się przed zadawaniem pytań.

- Dlaczego my go widzimy, a inni nie?

- W Cruceiro nie ma nikogo więcej, kto mógłby go zobaczyć, jestem tego pewna.

- Mówiłem ci przecież - potwierdził Nuño.

- Co to za dziwne zwierzęta? Skąd się wzięły? Dlaczego tu żyją? - dorzucił Bernardo szeptem, jakby myślał na głos.

- Może to miejsce mocy... - zaryzykował jego towarzysz.

Yebra wbiła wzrok w ziemię.

- To prawda. Ale Święta Ceklina też znajduje się w takim miejscu, a nie dzieje się tam nic nadzwyczajnego. Miejsc mocy jest wiele, lecz nigdy nie słyszałem o czymś podobnym...

Yebra milczała.

- Cieszę się, że je widzicie, naprawdę - powiedziała wreszcie cicho. - To dziwne, ale cieszę się. Przez długi czas myślałam, że tylko ja mogę je ujrzeć. - Uśmiechnęła się lekko, a w jej rozchylnych wargach błysnęły białe drobne zęby.

O odnalezieniu Martina,
mocach wiedźmy i
podróży do Świętej Cekliny

Yeبرا zaprowadziła ich do miejsca, gdzie urządziła sobie mieszkanie. Pod osłoną kamiennej ściany, na wpół ukryte w zaroślach, znajdowało się wejście do jaskini. Właściwie trudno tu było mówić o jaskini, naturalne wgłębienie w skale mogło zmieścić co najwyżej dwa konie stojące obok siebie.

Na jednej ze ścian Bernardo zauważył czerwone geometryczne rysunki. Z pewnością były bardzo stare, zapewne wykonane niegdyś przez ludzi tu pielgrzymujących, tak dawno temu, że wspomnienie o nich zatarło się w pomroce wieków.

Wzdłuż ścian leżała niezliczona ilość bukłaków, małych pakunków, woreczków ze skóry i płótna oraz liści. U powały zwisały suszące się zioła i gałązki.

W ich rozlokowaniu Bernardo dostrzegł pewną prawidłowość: ususzone płatki maków leżały obok nasion anyżku i oregano, wszystkie rośliny znane między innymi jako środki przeciw kaszlowi; kłosa owsa obok żołądźci i parzydła, dobrych na biegunkę, przypadłość, która doprowadziła do śmierci niejedno dziecko. Zioła ułożone zostały niemal dokładnie tak, jak on sam niegdyś to robił, więc poczuł naturalną sympatię do dziewczyny.

Yebra podsyciła ogień kilkoma gałęziami, wciąż jeszcze zielonymi. Paliły się powoli, trzeszcząc i piszcząc.

Bernardo patrzył na jej drobne dłonie, zdolne z zadziwiającą sprawnością wykonać czynność, która jemu, przy odrobinie szczęścia, zajęłaby parę godzin: rozpały ogień bez hubki i krzemienia, jedynie z pomocą zwykłego patyka, owiniętego wokół niego sznurka i kilku suchych ziół.

- Mogę was ugościć tylko kilkoma marchewkami...

Nuño pogrzebał trochę w swoich torbach i wyciągnął solidny kawał sera i bochenek chleba.

Obserwując nędzną siedzibę Yebry i zniszczoną odzież, którą miała na sobie, Bernardo domyślił się, że rzeczy, które zabrał w podróż, a które uważał za nader skromne, na dziewczynie robią imponujące wrażenie. Kościste ręce świadczyły, że głód często zaglądał jej w oczy, a ser będzie dla niej prawdziwą uczcią.

- Wiesz pewnie... - zaczął - że nie wolno nam pokazywać pewnych... ehm... - zawahał się chwilę nad doborem odpowiedniego słowa - pewnych sposobów osobom, które nie trafiły nigdy do Świętej Cekliny. Twój brat powinien być o tym wiedzieć.

Nie podniosła głowy. Jedyne lekkie uniesienie brwi świadczyło, że go usłyszała.

- Dla mojego brata nie było to problemem - przerwała na chwilę, by zaraz kontynuować. - Wrócił ze Świętej Cekliny całe lata po tym, jak go tam zabrali. A wrócił tylko po to, by mnie odszukać... Byłam jeszcze dzieckiem, ale on wrócił właśnie dla mnie, i pokazał mi wszystko, czego się nauczył... Właściwie nie wszystko. Nigdy nie chciał mnie nauczyć czytać. Mówił, że to może być dla mnie niebezpieczne...

Yebra przyjrzała im się badawczo, niepewna, czego można się po nich spodziewać.

- Możesz nam zaufać - uspokoił ją Bernardo. Opatuliła się w swoje szaty, jakby szukała w nich schronienia.

Bernardo zastanawiał się, czy przysięga, zobowiązująca ich do obrony wszystkich uczniów Świętej Cekliny, dotyczyła także tej dziewczyny. Nosila wprawdzie medalion, ale nie studiowała tam, a na dodatek była kobietą.

Na chwilę Bernardo pozwolił się porwać wspomnieniom. Minęło już wiele lat od dnia, w którym

opuścił klasztor, ale wciąż umiał opisać w najdrobniejszych szczegółach przebytą tyle razy drogę między omszałymi skałami. Pamiętał doskonale, jak gdyby właśnie miał go przed oczami, zakręt pnącej się w górę drogi, zza którego wyłaniała się nieoczekiwanie brama klasztoru: okazała, imponująca, majestatyczna. Na wrotach widniał symbol spirali. Po przejściu przez nie czuł się jak w domu, gdyż w Świętej Ceklince zawsze był mile widziany.

- Jednorożec cię słucha? - zapytał nagle Bernardo.

- Nie... - odparła zaskoczona pytaniem.

- Musimy go zaprowadzić do Świętej Ceklince - oznajmił z determinacją kogoś, kto właśnie podjął decyzję.

Ñuño i Yebra aż drgnęli.

- Do Świętej Ceklince?

- Tylko tam będą go mogli należycie zbadać myśliciele, którzy naprawdę znają obyczaje zwierząt i umieją czytać wielką księgę natury. Być może wyjaśnią, dlaczego nie wszyscy widzą te stworzenia... Muszę to zrozumieć! Na Boga! Tyle lat wszyscy nam wmawiali, że magia nie istnieje, że wszystko da się wyjaśnić rozumnie, że nie ma czarnoksiężników, więdźm ani czarów. A dziś...Wprost nie mogę w to uwierzyć!

W jakiejś mierze czuł się oszukany.

- Niełatwo będzie go gdziekolwiek zaprowadzić. To dzikie zwierzę i robi, co chce - odparła ze spokojem Yebra.

- Nie wyglądał na takie przed chwilą.

- Czasem za mną chodzi - wyjaśniła. - Lubi, gdy go głaszczę, gdy go karmię marchwią... Jest trochę jak kot, chadza własnymi drogami - powtórzyła.

- Posłuchaj, Bernardo. Jeśli już mamy coś zabrać do Świętej Cekliny, to łatwiej byłoby wziąć jednego z tych małych - stwierdził Ñuño. - Jakoś byśmy go złapali, wrzucili do worka i gotowe!

- Może i tak, Ñuño. Nie powiem nie. Ale sam chyba przyznasz, że to nie to samo: mityczna bestia, co do której zapewniali nas, że nie istnieje i jakiś stworek, dziwaczny i paskudny...

- Nie wszystkie są paskudne... - wtrąciła nieśmiało Yebra.

- Nie mamy pewności, że w Świętej Ceklinie go zobaczą - dodał Ñuño.

- Myślałem już o tym... Wszyscy troje zamilkli na chwilę.

Blask ognia sprawiał, że włosy Yebry lśniły niezwykłym, różowo-pomarańczowym blaskiem. Bernardo nie mógł oderwać wzroku od jej profilu rysującego się na tle pełgających płomieni. Była śliczna, o niecodziennej urodzie, ale śliczna. Miała szerokie czyste czoło, wydatne kości policzkowe i wystającą brodę, zmysłowe wargi, prosty mały nos. Ilekroć na nią jednak spoglądał, odnosił wrażenie, że jest w niej coś dziwnego i niepokojącego. Coś, co mu się wymykało.

Gdy zapadła noc, rozmowa stopniowo zaczęła zamierać. Ogarnęło ich ogromne zmęczenie, tak że w końcu poukładali się do snu wokół ogniska.

Bernardo długo nie mógł jednak zasnąć. Wciąż roztrząsał wydarzenia minionego dnia. Był podekscytowany i zdenerwowany, i dopiero nad ranem zapadł w błogosławioną drzemkę.

Kiedy otworzył oczy, słońce stało już wysoko. Rozejrzył się. Był w jaskini sam. Palenisko już dawno wygasło. Wstał i poczuł, że ma nogi zdrętwiałe z zimna.

Pokręcił się trochę po okolicy, zajrzał na półkę skalną, gdzie zostawili wierzchowce; pasły się tam teraz spokojnie. Nic nie zakłócało spokoju poranka. Nasłuchiwał w nadziei, że usłyszy Nuña lub Yebrę. Sam nie wiedząc po co, postanowił pójść w kierunku głazów, które poprzedniego dnia oglądali z Nuñem.

Zobaczył ją z daleka. Białe włosy wyraźnie odbijały się na tle leśnych zieleni i żółci. Odwróciła się i pomachała mu ręką. Zaskoczyło go to. Był pewien, że szedł bardzo cicho. Miał wrażenie, że intuicyjnie odgadła jego obecność.

Kiedy podszedł bliżej, zobaczył, że Yebra układa na skalnej płycie kwiaty. Był to jesienny bukiet przetykany suchymi liśćmi, złotymi i purpurowymi. Miała zaczerwienione oczy, Bernardo był pewny, że płakała.

- Dzień dobry - powiedział, starając się, by jego głos zabrzmiał ciepło.

- Twój przyjaciel ma obsesję na punkcie jednoroźca. Poszedł go szukać...

Bernardo znów poczuł, że dziewczyna nie mówi mu wszystkiego.

- I...? - zachęcił ją.

- Niepotrzebnie szedł. Zawsze przychodzi tu o określonych porach. Ma swoje obyczaje.

Bernardo uśmiechnął się na myśl o Nuńu. Mógł go sobie doskonale wyobrazić, jak krąży po lesie, próbując złapać zwierzę i spętać je.

- Pomyślałam... - powiedziała - że istnieje pewien sposób...

Zamilkła na chwilę, jakby czekała na jego reakcję.

- Można by mu dać cykuty...

To nie był zły pomysł. Oszołomiony cykutą jednorożec na pewno byłby posłuszniejszy.

- Te małe zwierzątka to zupełnie co innego. Patrz...

Zaprowadziła go znów do jaskini. Przed wejściem stała mała drewniana klatka.

- Zrobiłam ją dziś rano... Wiem, gdzie jest ich dużo i które chodzą. Niektóre są powolne i chyba będzie łatwo je złapać. Weź to.

Podawała mu klatkę. Popatrzył na nią z uznaniem. Sam też potrafił robić klatki, ale na pewno zajęłoby mu to więcej czasu, a rezultat nie byłby tak udany.

Yebra ruszyła, mając nadzieję, że Bernardo pójdzie za nią. Znalazła wąską ścieżkę, która najpierw wiodła wśród zarośli, a potem przez wał ziemny. Po drugiej jego stronie ujrzeli jar, a za nim nagrzaną słońcem skałę, na którą Yebra wspięła się z niezwykłą zwinnością. Bernardo poszedł w jej ślady.

- Tutaj jest ich dużo. Trzeba tylko poczekać. Same do nas przyjdą, zobaczysz...

Wskazała mu miejsce między suchymi janowcami i usiadła spokojnie na skale. Bernardo bez słowa usadowił się obok.

Prawie nie musieli czekać; niemal natychmiast pojawiły się dwa włochate robaki, niewyobrażalnie kolorowe. Przemieszczały się z wielką szybkością, jakby miały niewidoczne dla ludzi maleńkie nóżki. Zielone, żółte i pomarańczowe włoski falowały w rytm ich ruchów. Pełznąc do przodu, pozostawiały za sobą rozmyte świetliste smugi. Yebra wyciągnęła do nich rękę i jeden z robali po prostu wdrapał jej się na dłoń. Chwyciła go bez obawy i wsadziła do klatki.

Bernardo wyzbył się początkowej ostrożności, widząc, że jego towarzyszka tak dobrze sobie radzi. Również wyciągnął rękę, a drugi robak wdrapał się na nią beztrósco. Kolorowe włoski łaskotały. Stworzenie było bardzo miękkie i dużo cieplejsze, niż się spodziewał. Z wielką delikatnością, jak w dzieciństwie, gdy chwycił ptaki, ujął go dłonią i włożył do klatki.

Yebra uśmiechnęła się do niego. Jej niemal czarne oczy rozbłysły szczególnym blaskiem.

- Gotowe! Możemy jeszcze spróbować nałapać innych. Tych ze śluzem, które przypominają ślimaki bez skorupy. Tylko nigdy nie wiadomo, kiedy się pojawią. Te są takie... takie grzeczniejsze.

Bernardo z fascynacją obserwował robaki w klatce. Przez chwilę krótką jak mgnienie oka, wydawało się, że przelatuje między nimi coś w rodzaju świetlistych niebieskawych promieni. Zamrugął kilka razy... Musiało mu się zdawać.

Tak bardzo pogrążył się w obserwacji, że usłyszał krzyki dopiero wtedy, gdy rozległy się z bliska.

- Bernardo! Bernardo!!!

Skoczyli na równe nogi. To Ñuño krzyczał jak opętany.

Yebra jednym susem zeskoczyła ze skały, na której się znajdowali. Rzuciła się biegiem przez las, rącza jak jelen. Bernardo niezdarnie podążył za nią, z klatką w ręku, starając się nie zrobić krzywdy schwytanym zwierzętom.

- Bernaaardo! Yeeebra!

Ñuño gnał resztką sił; brakowało mu oddechu, dyszał ciężko.

- Znalazłem go! Znalazłem! - wydusił z siebie, próbując odzyskać oddech.

- Jednorożca?

Ñuño spojrział na przyjaciela jak na szaleńca.

- Jakiego tam jednoroźca! Chłopaka z Cruceiro! Bernardo zupełnie już o tym zapomniał.

Trup musiał leżeć w rozpadlinie skalnej od dobrych kilku dni. Natura dawała tego dobitne dowody - chmara much unosiła się nad ciałem, na którym roiły się zastępy robactwa. Śmierdziało zgnilizną i śmiercią. Z trudem dawało się rozróżnić miejsce, gdzie wcześniej była głowa. Widać było jedynie płowe kosmyki, brudne, upstrzone zaschniętą krwią i owadami. Ręce i nogi leżały rozrzucone bezładnie, w nie-naturalnej pozycji, jak gdyby ktoś cisnął z góry szmacianą kukłę.

Ze szczytu skały patrzyli na szczątki, które jeszcze kilka dni temu były pełnym życia dzieckiem.

- Pewnie szedł za mną... - szepnęła Yebra. - To skrót, którego czasem używam... - wskazała niemal niewidoczną ścieżkę wśród skał. - To najkrótsza droga z Cruceiro do *Chan D'Arquiña*. Wszędzie za mną chodził... - skończyła łamiącym się głosem.

Bernardo przyglądał się stromej ścianie skalnej. Była niemal pionowa. Niezły skrót! Miejscami widział wyraźnie ścieżkę, którą można było się wspiąć, ale dalej skała tworzyła niemal niedostępną ścianę; żeby wejść tamtędy, trzeba było wykazać się nadludzką zręcznością.

- Musimy pójść do wioski - stwierdził Nuño.

- Nie - odpowiedź była tak stanowcza, że aż poczuli chłód w powietrzu.

- Yebra - ciągnął Nuño - oni go szukają. Jego ojciec wygląda na porządnego człowieka i bardzo się martwi o chłopaka.

- Ja nie pójdę do Cruceiro - oświadczyła. - Zrzuca całą winę na mnie, jak zawsze.

- Ale trzeba im to powiedzieć.

- Idźcie sami - powiedziała cicho, lecz stanowczo.

- My nie zdołamy zejść po niego... - Obrzucił skałę uważnym spojrzeniem, szacując możliwość zejścia.

Bernardo był pewien, że ona, i tylko ona, potrafiła tego dokonać.

- Możemy im powiedzieć, gdzie jest, i wytłumaczyć, że to był wypadek.

- Nigdy w to nie uwierzą. - Bezsilna wściekłość, przebijająca z jej słów niemal bryznęła na nich. - O ileż łatwiej mieć wiedźmę, na którą zrzuci się winę za wszystkie wypadki, za złe zbiory, za choroby, za zmarłe dzieci, zamiast przypisywać to przypadkowi, złemu losowi, kapryśnemu Bogu, okrutnemu i nieprzewidywalnemu, czy zwykłym zjawiskom natury...

- Nie bluźnij - poprosił Nuño, zaskoczony jej chłodem. - Bóg nie ma nic do tego. To był wypadek.

Yebra zamilkła na chwilę, zastanawiając się nad czymś.

- Ja j u ż nie żyję - oświadczyła. - Tym razem naprawdę. Miałam pewne wątpliwości, czy powinnam jechać z wami do klasztoru, ale teraz nie mam się nad czym zastanawiać. Spakuję moje rzeczy... Musimy złapać jednorożca.

Odwróciła się i odeszła wielkimi krokami, nie oglądając się za siebie na roztrzaskane ciało chłopca. Nuño zaczął odmawiać półgłosem modlitwę, a Bernardo wkrótce przyłączył się do niego.

Kiedy weszli do jaskini, Yebra wkładała już paczuszki z ziołami do skórzanej torby. Ku zaskoczeniu Bernarda zrobiona była z delikatnej koziej skóry, zdobionej pięknymi geometrycznymi wzorami. Nie bardzo pasowała do prostoty i skromności pozostałych rzeczy.

- Jeśli chcecie, żeby jednorożec z nami poszedł, będziecie musieli zdobyć więcej marchewek. Poza tym trzeba przygotować cykutę. Ma silny zapach, ale może z marchewkami... Musimy tylko uważać na jej ilość...

Bernardo przypomniał sobie swojego dawnego mistrza Lucasa: „Działanie, Bernardo, działanie! Nie ma co tracić czasu na czeze rozmyślania, trzeba działać i to stanowczo!” I jeżeli coś można było powiedzieć na pewno o starym mistrzu ze Świętej Cekliny, to właśnie to: był stanowczy. Wydobył

klasztór z letargu, który trwał latami. Sprowadził najlepszych nauczycieli z odległych krajów, zgromadził ich tam i sprawił, że Zakon znów rozbłysnął dawnym blaskiem. Dzięki temu Święta Ceklina zyskała uznanie jako jeden z najważniejszych ośrodków życia naukowego. Lucas zapoczątkował wymianę manuskryptów między klasztorami; mnisi z najodleglejszych zakątków świata przybywali, by przepisywać księgi zgromadzone w Świętej Ceklinie, w zamian przywożąc najcenniejsze dzieła lub ich kopie, poświęcone najrozmaitszym zagadnieniom. Yebra przypadłaby do serca Lucasowi - żadnej łązy, żadnego zbędnego słowa. Tylko działanie. Bernardowi też się podobała, ale zarazem wciąż czuł, że jest coś dziwnego w tej białowłosej dziewczynie. Czegoś nie rozumiał i nie dawało mu to spokoju.

- Kiedy go złapiemy, Ñuño zejdzie do Cruceiro i powie im o chłopcu - Bernardo chciał, żeby wiedziała, co postanowili.

- Lepiej, żebyście zeszli razem, Bernardo... - Wystarczyło jej jedno spojrzenie w jego oczy, by się poprawiła: - Rozumiem. Wolisz nie spuszczać mnie z oka. Postaram się uwierzyć, że robisz to dla mojego bezpieczeństwa, a nie z obawy, iż zniknę z jednorożcem Bóg wie gdzie. Dobrze... A zatem my poczekamy, a Ñuño sam zejdzie do Cruceiro.

Bernardo skinął głową i tym samym plan został zatwierdzony.

Wkrótce wszyscy zajęli się pakowaniem. Kiedy skończyli, Yebra rozejrzała się wokół, jak gdyby zastanawiała się, czy nie zostawiła w grocie, która przez jakiś czas była jej domem, czegoś wartego zabrania.

- Jestem gotowa - powiedziała z przekonaniem. - Chodźmy po jednoroźca.

Yebra doskonale знаła zwyczaje zwierzęcia, jego ulubione miejsca, pory, dnia w których się pokazywał, a także upodobania. Dzięki temu bez większego trudu przekonali go do zjedzenia marchewek nasączonych wywarem z cykuty. Wprawdzie początkowo obwąchiwał je z niejaką podejrzliwością, ale w końcu łakomstwo przeważyło i schrupał je błyskawicznie.

Bardzo delikatnie, cały czas przemawiając do niego czule, Yebra założyła mu sznur na szyję. Nie opierał się. Potem powolutku próbowali prowadzić go razem z koniem i mulicą. Ponieważ jednak za nic nie chciał zbliżyć się do innych zwierząt, w końcu Yebra zdecydowała się prowadzić go osobno.

Nuño tymczasem wsiadł na mulicę i ruszył do Cruceiro. Yebra i Bernardo pożegnali go, a potem kontynuowali wędrówkę pieszo - on prowadząc za uzdę siwego konia, ona ciągnąc za sobą jednoroźca.

Dziewczyna była poważniejsza niż zwykle. Mocno zaciskała wargi, a jej myśli krążyły najwyraźniej

gdzieś daleko. Przez chwilę szli w milczeniu, wreszcie odezwał się Bernardo:

- W Świętej Ceklina nie przyjmują kobiet...
- Wiem - ucięła sucho.
- Myślę, że przeor Dimas udzieli ci gościny na parę dni, ale jeśli zechcesz zostać dłużej, wyśle cię pewnie do Las Inviernas. Nikłe światelko na moment rozświetliło jej oczy.
- Żeński klasztor? Bernardo przytaknął.
- To niedaleko Świętej Ceklina.
- Jan opowiadał mi o Las Inviernas. Przez jakiś czas zastanawiałam się, czy tam nie wstąpić, ale...
- Zdawało mu się, że odsunęła od siebie jakąś myśl.
- Nie znałam tam nikogo... Bałam się...
- Brat mógłby ci pomóc... - orzekł Bernardo.
- Wtedy już nie żył.
- Rozumiem.

Tak naprawdę jednak nic nie rozumiał. Yebra nie wyglądała na kobietę zdolną do tego, by zamknąć się w czterech ścianach. Przynależała raczej do lasów, pól, otwartych przestrzeni.

- Nie wiem, czy ci się tam spodoba...
- Pójdziemy do Świętej Ceklina, pokażemy im te stworzenia... - Ruchem ręki wskazała klatki przytroczone do siodła. - Chcę wiedzieć, kto je widzi, i dlaczego nie wszyscy. Chcę... - Wzrokiem poszukała oczu Bernarda. - Chcę poznać miejsce, o którym brat

tyle mi opowiadał. A potem, gdybym rzeczywiście mogła wstąpić do Las Inviernas, to... rozważę to. Nie chcę teraz tego roztrząsać. Wiem tylko, że nie wrócę do Cruceiro ani do *Chan D'Ar quina*. Tam już nie ma dla mnie miejsca. - Przerwała nagle. - Patrz!

Coś pośredniego między myszą a owadem, czarno-niebieskie i błyszczące, podeszło bliżej i krążyło wokół nich.

- Właśnie tu widzieliśmy je po raz pierwszy - zauważył Bernardo.

- Chyba są miejsca, do których ciągną bardziej niż do innych.

Bernardo przystanął, obserwując zwierzątko, które chodziło u jego stóp. Dla niego wyglądało jak każda inna żywa istota. Wciąż zadawał sobie pytanie, cóż to za czary, zakładając, że one istnieją, mogły sprawić, że nie wszyscy te stworzenia widzą.

- To jest jak magia - szepnęła.

Bernardo drgnął. Znów odniósł wrażenie, że dziewczyna czyta mu w myślach.

- Magia nie istnieje - stwierdził.

- O, tak. Ani jednorożce - odparła ironicznie Yebra.

- Wszystko musi mieć wytłumaczenie. Trzeba je tylko znaleźć.

- Tak, tak - odpowiedziała, nie słuchając go już.

Droga wiła się przez las, przybierający już jesienne barwy. Kiedy wyszli z zakrętu drogi, natknęli się nagle na tę samą grupę wieśniaków z Cruceiro, którą Bernardo i Nuño spotkali dwa dni wcześniej.

W pierwszej chwili wieśniacy stanęli jak wryci, zupełnie zaskoczeni spotkaniem, ale zaraz potem najwyższy z nich rzucił się niczym jastrząb na Yebrę.

- Gdzie mój syn, wiédźmo? - wrzasnął, potrząsając nią niczym szmacianą lalką.

Kiedy ją złapał, Yebra wypuściła z ręki sznur, do którego uwiązany był jednorożec.

- Nie żyje - wtrącił się Bernardo, podchodząc bliżej. Starał się nadać swemu głosowi spokojne brzmienie. Zrozumiał, że nie zobaczyli jednorożca. Zdumiewało go to, ale starał się z tym nie zdradzić.

Jednym ciosem ojciec chłopca powalił Bernarda na ziemię. Sam nie wiedział, kiedy znalazł się niemal pod kopytami swego konia. W ustach czuł smak krwi. Kątem oka zobaczył, jak jednorożec galopuje w głąb lasu.

Kiedy wieśniacy podeszli do Yebry, na ich twarzach malowała się taka nienawiść, że Bernardo w jednej chwili poczuł, jak ogarnia go gniew. Dopiero teraz wstał, gotowy wyciągnąć z juków swój miecz.

Wysoki chłop trzymał Yebrę za ramiona i wciąż nią potrząsał.

- Coś mu zrobiła, wiédźmo? - krzyczał. - Co zrobiłaś mojemu synowi? Przeklęta czarownica!

- Nic mu nie zrobiłam... Zostaw mnie! - głos Yebry zabrzmiał mocno, stanowczo i czysto.

Bernardo, który tymczasem próbował wyciągnąć miecz, przeklinał własną lekkomyślność. Jak mógł włożyć go na samo dno! Dlaczego nie trzymał go w gotowości, po cóż go tak pieczołowicie owijał?

Kiedy tak szarpał się z jukami, kątem oka dostrzegł, że wieśniak z brunatną brodą wyciągnął sztylet z za pasa.

Wysoki chłop wciąż brutalnie ścisnął Yebrę.

- Martin! - krzyknęła dziewczyna, przesywając go spojrzeniem ciemnych oczu. - Nie dotykaj mnie! Nie lubię, gdy się mnie dotyka... Dobrze o tym wiesz.

- Z odrazą uniosła wargę, ukazując zęby. Mężczyzna pchnął ją na ziemię.

- Gdzie jest mój syn? Co z nim zrobiłaś, więdźmo?

- powtarzał głuchy na wszystko. Wreszcie kopnął ją i sięgnął ręką za pas. Błysnęło ostrze kolejnego noża.

Brodacz skradał się w kierunku Bernarda, gotów zaatakować w każdej chwili. Trzej inni otaczali Yebrę.

Bernardo nadal walczył ze szmatą, w którą owinał miecz, ale węzeł nie chciał puścić. Wreszcie rycerz złapał broń i wyszarpnął z futerału. Następnie unióśł go w górę i...

I nagle wszystko ogarnęła kompletna cisza.

Bernardo zamrugał.

Nie słyszał nic - żadnego krzyku ani odgłosu, ani szumu wiatru, nawet jednego słowa.

Stał z mieczem wyciągniętym do góry i nogami wrośniętymi w ziemię.

Brodacz zastygł w bezruchu zaledwie o krok od niego. Ostrzem noża wciąż mierzył w jego pierś.

Jak wtedy, gdy spotkał Yebrę, miał wrażenie, że znajduje się pod wodą. Znow spowijała go tamta dziwna cisza. Powietrze, gęste jak smoła, uniemożliwiało jakikolwiek ruch. Kątem oka widział, że ojciec chłopca też zastygł w bezruchu, nagle spokojny, z nogą uniesioną do kolejnego kopniaka. Trzej wieśniacy obok niego zamarli niczym posagi.

Ręce ciążyły Bernardowi, jakby dźwigał w nich ciężary. Przyjrzał się mieczowi uniesionemu nad głową. Zebrał całą siłę woli, pragnąc skoncentrować ją w swoich rękach. Znow zamrugął.

I wtedy znow to się stało - jakby wypłynął na powierzchnię wody; wszystkie odgłosy lasu rozbrzmiały w jego uszach.

Skonsternowany opuścił miecz. Jego przeciwnik stał nieruchomo naprzeciw. Yebra zwijała się z bólu na ziemi. Wysoki chłop i pozostali wieśniacy nadal nie mogli się ruszyć.

Wreszcie dziewczyna podniosła się, odetchnęła głęboko i spojrzała mu w oczy tak, jak gdyby chciała prosić o wybaczenie.

- Mamy tylko kilka chwil. Uciekajmy... - przynagliła go. - Musimy znow złapać jednorożca.

Bernardo nie bardzo rozumiał, co się dzieje, ale chwycił swojego konia za uzdę i pociągnął za sobą.

Yebra zatrzymała się naprzeciw wysokiego chłopca, który stał bez ruchu między innymi żywymi posągami.

- Martin! - krzyknęła. - Twój syn nie żyje, spadł ze skały, słyszysz? Leży w tamtej rozpadlinie.

Przyglądała mu się przez chwilę, jak gdyby chciała się upewnić, że ją zrozumiał.

- Nie zabrałam go. Chyba sam za mną poszedł. Wszędzie za mną chodził... Jak ty...

Zawahała się przez moment, a potem splunęła mu w twarz.

- Dobrze wiesz, że nie lubię, gdy mnie dotykają - powiedziała z nienawiścią.

Ślina spłynęła wolno po policzku skamieniałego mężczyzny.

- Chodźmy - pchnęła Bernarda i ruszyła wielkimi krokami drogą. - Musimy się stąd oddalić. Trzeba złapać jednorożca. Daję głowę, że gdy już będą mogli się ruszyć, pójdą do Cruceiro, a potem do wąwozu szukać małego Martina. I spotkają Nufia... A wtedy może być z nim źle. Wiedzą, że to twój kompan, a teraz gdy widzieli cię ze mną...

Pomogła Bernardowi prowadzić konia. Pozwolił jej na to. Jakiś czas szli lasem, aż Yebra się zatrzymała.

- Pójdę tędy na skróty - wskazała na skały. - Znajdę Nuña i przyprowadzę go tu całego i zdrowego,

zanim oni go dopadną. Poczekaj na mnie - ręką wskazała mu las.

Bernardo ciągle jeszcze nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć.

- Zrozumiałeś? Chodź. - Zeszła z drogi i przeprowadziła konia przez chaszczę, aż dotarli w ustronne miejsce, pełne szarych głazów o niezwykłych kształtach.

- Poczekaj tu na mnie - powtórzyła. - Wrócę z Nuñem. Może zejdzie mi trochę czasu, ale wrócę...

Ponieważ milczał, podeszła do niego. Bernardo poczuł jej pachnący miętą oddech.

- Skaleczyłeś się w wargę, ale to nic takiego... To wkrótce minie. Zobaczysz. - Zrozumiał, że nie mówiła o ranie, tylko o dziwnym otępieniu, którego nie mógł się pozbyć.

Yebra przywiązała konia do pnia, zostawiając mu dużo swobody, i pobiegła w las. Po chwili zniknęła między drzewami, a Bernardo został sam.

Usiadł na głazie. Miecz, wciąż jeszcze w pochwie, leżał obok niego. Chwycił go mocno i uniósł do góry. Dotyk chłodnego metalu dodał mu pewności siebie, której tak bardzo potrzebował. Pogładził broń, przyglądając jej się uważnie.

Co się właściwie stało? Yebra w jakiś sposób sprawiła, że wieśniacy stanęli jak skamieniali. On sam

też skamieniał, choć na koniec zdołał się ruszyć. Stan ten wpłynął nie tylko na jego ciało, ale również na umysł. Dopiero teraz powracała mu jasność myśli.

W jego głowie rozbrzmiewało wciąż to samo słowo: czary. Ale przecież czary nie istnieją!

Bernardo nie znosił, kiedy nazywano go magiem lub czarnoksiężnikiem... Lepiej niż ktokolwiek inny wiedział przecież, że magia nie istnieje. Znał po prostu właściwości ziół, medycynę, filozofię starożytną, geometrię, arytmetykę; studiował nauki greckie, rzymskie i arabskie; wyszkolił się w różnych sztukach walki, oddychał powietrzem przesyconym wiedzą z najróżniejszych zakątków świata. Dlatego robił czasami rzeczy, których inni nie potrafili pojąć. Teraz zaś sam natknął się na coś, czego nie rozumiał: dziwną moc Yebry. Bo nie miał wątpliwości, że było to jej dzieło! Jedyne wyjaśnienie, jakie przychodziło mu do głowy, to „magia”, „zaklęcie”, a nade wszystko „wiedźma”.

Cała jego racjonalistyczna wizja świata legła w gruzach. Nie tylko istniały jednorożec i inne dziwne stworzenia, które spotkali; teraz była jeszcze ta dziewczyna rzucająca jakieś niepojęte uroki.

Wiedźma.

Bezustannie powracał w myślach do ostatnich wydarzeń: co ona właściwie zrobiła? Jak tego dokonała? Wypowiedziała jakieś zaklęcie? Bernardo wciąż od nowa rozpamiętywał każdą chwilę, szukając cze-

goś, co naprowadziłoby go na rozwiązanie zagadki. A pozostawały jeszcze niewyjaśnione kwestie jednorożca i dziwnych zwierząt. Miał je tuż obok, w klatce, na wyciągnięcie ręki. Osobliwe stwory, które tylko niektórzy mogli zobaczyć. Jak można wytłumaczyć coś takiego? Nagle doznał olśnienia: a może Yebra miała coś wspólnego z tymi zwierzętami? W końcu mieszkała koło nich... albo one koło niej, zależnie od punktu widzenia.

Myśl o dziewczynie nie dawała mu spokoju. To dziwne wrażenie, którego doznawał, gdy znajdowała się w pobliżu, uczucie, którego też nie potrafił sobie racjonalnie wytłumaczyć...

Bernardo schował miecz do pochwy. Tym razem zawinął go starannie, ale zarazem w taki sposób, by mógł go szybko wyciągnąć w razie potrzeby. Nie chciał, żeby się powtórzyła podobna sytuacja. Poczł się wtedy jak głupiec; w kluczowym momencie zamotał się i nie mógł wyciągnąć miecza ze szmat, przez co prości wieśniacy omal go nie zadźgali zwykłymi nożami. Co za hańba!

Dopiero kiedy światło dnia nieco przygasło, uświadomił sobie, że zbliża się zmierzch, że dzień spędził najpierw w stanie półotępienia, a potem na rozmyślaniach tak absorbujących, że nie zdążył nawet poczuć głodu czy pragnienia.

Zaczął się niepokoić. Dziewczyna powiedziała, że jej nieobecność może trochę potrwać. Był już jednak wieczór, wkrótce zapadnie noc i zrobi się ciemno.

Gdy niebo zaczęło szarzeć, usłyszał zbliżające się głosy. Czekał w napięciu, starając się nawet nie drgnąć. Odetchnął dopiero wtedy, gdy zobaczył, że spomiędzy zarośli wyłaniają się Yebra i Nuño.

Jego przyjaciel prowadził mulicę, a dziewczyna

- ku zaskoczeniu Bernarda - jednorozca.

- Spotkałam go - powiedziała w odpowiedzi na jego zdziwione spojrzenie. - I Nuña też. Właśnie wracał z Cruceiro. Szczęśliwie odnalazłam go, zanim się natknął na tamtych. Wróciliśmy górami. To długa droga.

Wydawała się zupełnie spokojna. Bernardo nie odezwał się. Pełen obaw patrzył w jej ciemne źrenice, które teraz rozświetlało jakieś wewnętrzne światło.

- No, no, bracie - Nuño uśmiechnął się do niego.

- Widzę, że nie jesteś aż tak zardzewiały, jak się obawiałem...

Bernardo nie zrozumiał.

- Opowiedziałam mu - wyjaśniła Yebra - jak rzucił się na nas ojciec Martina i jego ludzie, a ty wyciągnąłeś miecz i zmusiłeś ich do ucieczki z podkulonymi ogonami...

Czarne niemal oczy Yebry wpatrywały się w niego uporczywie, błagając, by jej nie zdemaskował.

- Tak... - mruknął Bernardo niechętnie. - Nie ma się czym chwalić.

- Już była najwyższa pora, żeby wrócił dawny Bernardo. A myślałem, że go mole zjadły - zaśmiał się Nuño.

Bernardo uśmiechnął się do niego na siłę.

Dziewczyna zabrała się za zbieranie drewna na podpałkę. Nuño wyładował skóry, żeby postawić namiot, pod którym sypiali, jeśli noc zastała ich pod gołym niebem. Bernardo, wciąż w jak najgorszym nastroju, pomógł mu ustabilizować całą konstrukcję.

- Ciekawy wynalazek - oceniła Yebra, z zainteresowaniem przyglądając się ich pracy.

- Jest wzorowany na tych, których używają ludzie ze Wschodu - wyjaśnił jej Nuño.

- Chroni przed deszczem?

- Owszem, choć co jakiś czas trzeba go dobrze natłuścić. I koniecznie mocno napiąć przy rozkładaniu.

- Chyba nietrudno taki zrobić... - Yebra obeszła ich kilka razy dookoła, przyglądając się uważnie; chciała zapamiętać kształt elementów, które będą jej potrzebne, by mogła sobie zbudować kiedyś taki sam.

Gdy obozowisko było wreszcie gotowe, usiedli przy ognisku pod czystym rozgwieżdżonym niebem i wyciągnęli żywność. Yebra i Nuño jedli z apetytem, Bernardo nie mógł nic przełknąć. Napił się tylko trochę rozcieńczonego wina ze skórzanego bukłaka.

Gdy wreszcie Nuño wszedł do namiotu i przykrywszy się swoim kocem, ułożył do spania, Bernardo dał znak dziewczynie, żeby koło niego usiadła.

- Musimy pomówić - powiedział tonem tak mrocznym jak ciemność, która spowiła drzewa.

Bernardo podszedł do głazu, na którym siedział rano. Nie chciał, żeby Nuño cokolwiek usłyszał. Oparł się o kamień i ze skrzyżowanymi ramionami czekał, aż Yebra usiądzie obok.

Noc była zimna. Księżyc w nowiu, nikły niczym złamany paznokieć, wychylał się zza koron drzew.

Yebra stanęła w milczeniu obok. Wydawała się wsłuchiwać w ciszę.

- Co właściwie zrobiłaś dziś rano? - zapytał stanowczo.

Spuściła wzrok i przygryzła wargę.

- Możesz mnie uważać za wiedźmę, jak wszyscy... Bernardo nie dał jej skończyć.

- Nie pleć bzdur, chcę tylko wiedzieć, jak to zrobiłaś... - Bernardo wymówił to „jak” z całą delikatnością, na jaką go było stać w tym momencie.

Yebra usiadła koło niego.

- Nie wiem... Sama nie wiem...

Bernardo wpatrywał się w nią z niecierpliwością.

- Kiedy jestem w niebezpieczeństwie... - ciągnęła - wtedy... to dzieje się samo - Yebra podniosła na niego niepewne spojrzenie.

- Możesz mi zaufać, Yebro - wymówił jej imię łagodnie i miękko. Bez wątpienia umiał modulować głos.

- Kiedy jest niebezpiecznie... to tak, jakby... jakbym chciała kogoś powstrzymać i wtedy... wchodzę w niego i go zatrzymuję. Mówię mu, żeby przestał, czuję, że jakoś wnikam w niego i on zatrzymuje się... Ale mogę to zrobić tylko wtedy, gdy rzeczywiście jestem w potrzebie - mówiła niepewnie, przerywając co chwila, z lekkim drżeniem w głosie.

Bernardo starał się, aby jego twarz nie wyrażała ani zdziwienia, ani rozczarowania. Wydawało mu się, że Yebra mówi szczerze.

- Zrób to. Zrób to teraz... proszę - powiedział. - Chcę to zobaczyć.

Nagle spoważniała. Utkwiła w nim spojrzenie, jakby nie istniało na świecie nic poza nim.

Poruszyły go intensywność i siła jej wzroku. Poczuł, że coś nieokreślonego i mglistego wnika weń, gromadząc się gdzieś w jego wnętrzu. Przez chwilę zdawało mu się, że coś w nim pęka. Ale była to tylko chwila. Potem, równie szybko jak się pojawiło, dziwne uczucie zaczęło się rozpraszać. Wreszcie znikło.

Bernardo poczuł dziwne mrowienie, zawrót głowy, ale nie wiedział, czy był to efekt jej działania, czy coś najzupełniej zwykłego, wywołanego tym, że jeszcze nigdy dotąd żadna kobieta nie patrzyła na niego w taki sposób w blasku księżyca.

- Nie wychodzi mi - mruknęła. - Naprawdę udaje się wtedy, gdy jest prawdziwe zagrożenie...

Westchnęła głęboko i odwróciła wzrok.

- Niektórzy zasypiają jak kury, ledwo na nich spojrzę - powiedziała, jakby chciała się usprawiedliwić.

Bernardo nie umiał się już dłużej powstrzymać i nagle wybuchnął śmiechem. Całe napięcie minionego dnia uszło z niego momentalnie. Strach, dręczące pytania, o których nie potrafił zapomnieć ani na chwilę... wszystko to znalazło ujście w tym śmiechu.

Yebra spojrzała na niego zdumiona, nic nie rozumiejąc.

Bernardo nie potrafił przestać się śmiać i wreszcie dziewczyna również lekko się uśmiechnęła.

Kiedy wreszcie odzyskał już głos, ocierając łzy, powiedział:

- Przykro mi, Yebro, bardzo mi przykro... Przez chwilę poczułem się jak ta kura, którą chcą ukatrupić na rosół. - I znów się zaśmiał.

W końcu odzyskał jednak właściwą sobie powagę, choć jakiś kpiący uśmieszek wciąż błąkał mu się po twarzy.

- Możesz to robić. Mimo że nie wiemy jak - podsumował.

- Widzisz? Teraz jak wszyscy będziesz uważał, że jestem wiedźmą.

Bernardo zamyślił się na chwilę.

- Musi być jakieś wyjaśnienie tego, co robisz, choć ja go nie znam.

- Tak... - westchnęła rozczarowana.

- Czy tego... nauczył cię twój brat?

- Nie - odparła szybko, zaskoczona pytaniem. - To jest tylko moje...

- Zawsze miałaś tę umiejętność, od dziecka? Yebra podniosła na niego wzrok, jakby z żalem.

Potrząsnęła głową, wydawało się, że powie coś jeszcze, ale najwyraźniej zmieniła zdanie. Akurat w tym momencie coś głośno trzasnęło w ognisku. Yebra spojrzała w tamtym kierunku i szybko wstała.

Właśnie w ten sposób, na stojąco, opowiedziała mu swoją historię.

- Ty i Nuño przypominacie mi mojego brata Jana. Od chwili, gdy was zobaczyłam. Poruszacie się jak on, rozmawiacie o podobnych sprawach. A nawet... używacie tych samych słów. Dobrze mi przy was, bo to trochę tak, jakbym była z nim; dzięki wam czuję, że odzyskałam część Jana... Nikogo na świecie tak nie kochałam...

Bernardo słuchał w milczeniu, domyślając się, że szczerść nie przychodziła jej łatwo...

- Jana zabrali... nie wiem kiedy dokładnie, ale już sypał mu się wąs. Byłam jeszcze bardzo mała - uśmiechnęła się do swoich wspomnień. - Któregoś dnia do naszej wsi, do Cruceiro, przyjechał zakonnik. Spędził u nas kilka dni i mój brat wpadł mu w oko. Jan był

bardzo bystry. Był najbystrzejszy z całej wsi. I silny... Wyglądał na starszego. Był wysoki, taki jak ty, Bernardo, ale szczuplejszy. I silny. Bardzo silny. Zakonnik od razu go zauważył. Dużo rozmawiali, tłumaczył mojemu bratu różne rzeczy, zadawał mu pytania; spostrzegł, że Jan wszystko chwycił w lot, wszystko go ciekawiło... Zakonnik nazywał się Narcis, był mnichem-żołnierzem. Powiedział nam, że żyje w dostatku. Porozmawiał z ojcem o Janie. Obiecał, że będzie go żywił, że zapewni mu wykształcenie, że mój brat stanie się kimś takim jak on, że nigdy nie będzie przymierał głodem. W zamian za to wszystko dał ojcu kilka starych monet. I zabrał go... pojechali do Świętej Cekliny.

Bernardo przez chwilę dał się porwać wspomnieniom. Jego historia była zupełnie inna, ale niektórzy towarzysze ze Świętej Cekliny trafili tam podobnie jak Jan. Życie zakonne opierało się na nauce, pracy, modlitwie i pobożnych lekturach. Takie były bowiem główne drogi prowadzące do Boga. Główne, ale nie jedyne. Mnisi Zakonu Świętej Cekliny byli również doskonałymi żołnierzami. Każdy, kto ujawnił zdolności do kroczenia obiema drogami, był idealnym kandydatem do wstąpienia w ich szeregi. Nie miało znaczenia, czy jest ubogi, czy majątny.

- Było nas sześcioro rodzeństwa. Jan był najstarszy, ja najmłodsza. Byłam jego ulubioną siostrą. Zabierał mnie ze sobą, kiedy szedł polować na ptaki, opowiadał

mi, co robi... Wszystkie moje dobre wspomnienia z dzieciństwa wiążą się z nim. Gdy odszedł, straciłam w nim ojca, matkę i najlepszego przyjaciela.

Yeبرا westchnęła. Usiadła na kamieniu tuż obok Bernarda.

- Minęło wiele lat, nie wiem ile. Myślałam, że nigdy więcej go nie zobaczę. Jednak Jan wrócił... Wrócił po mnie. Wrócił ten sam, a przecież zupełnie odmieniony. Wrócił jako mężczyzna. Nie był już taki szczupły jak dawniej, lepiej się ubierał, inaczej wysławiał... Powiedział, że przyjechał tylko po mnie. Że Narcis, jego nauczyciel, wybrał go do Świętej Cekliny, bo był silny, bystry, ciekawy świata... Ale że on sam zawsze wiedział, że ja jestem silniejsza, bystrzejsza i dużo bardziej ciekawa świata niż on.

Yeبرا zaśmiała się. Ten śmiech rozświetlił ją od wewnątrz.

- Jan zawsze mi powtarzał, że to nie on powinien pojechać do Świętej Cekliny, tylko ja. Mówił, że zna mnie lepiej niż ktokolwiek inny, że widział, jak urodziło się jego ośmioro braci i sióstr, jak troje z nas zmarło, patrzył, jak dorastaliśmy... Setki razy powtarzał mi, że już jako niemowlę byłam inna niż reszta. Opowiadał, jak próbowałam raczkować, jak podnosiłam czujnie główkę na najmniejszy hałas, jak wyjątkowo szybko nauczyłam się mówić... Słowem, że urodziłam się wyjątkowa, szczególna... Myślę, że

po prostu kochał mnie bardziej niż resztę, byłam jego ulubienicą...

Yebra mówiła dalej ze wzrokiem wbitym w ziemię. Chwilami ledwie ją słyszał. Była cieniem w mroku, a jednak rozświetlała ciemności.

- Powiedział mi, że urodziłam się, by pójść do Świętej Cekliny, ale że jestem kobietą, więc to niemożliwe. Jednak tylko ślepiec nie zauważy, że zasługuję na to tak samo jak on i jego współbracia, jak inni mężczyźni!

Bernardo nie mógł tego w mroku zobaczyć, ale był pewien, że Yebra zaczerwieniła się, wypowiadając te słowa.

- Dlatego nauczył mnie... Nauczył mnie wszystkiego, co umiał. Jak rozpoznawać rośliny, jak ich używać, jak leczyć. Wyćwiczył mnie w sztukach walki. Wszystko mi pokazał... Oprócz czytania. Mówił, że to dla mnie niebezpieczne... Wyjechaliśmy z Coiro, podróżowaliśmy po północy, cały czas się uczyłam... Spędzaliśmy rok tu, parę miesięcy ówdzie... Nigdy nie cierpieliśmy głodu. Oferowaliśmy nasze usługi możliwym. To były dobre czasy. Aż... któregoś dnia... Jan umarł.

Bernardo mógłby przysiąc, że coś przemilczała, ale było to przeczucie tak niejasne i rozwiało się tak szybko, że zapomniał o nim równie szybko, jak je zauważył.

- Potem zostałam sama. To było zupełnie *co* innego; Jan wiedział, jak rozmawiać z możliwymi, jak

im wyjaśnić, w czym możemy być im pomocni, a samotna kobieta... Samotna kobieta może być tylko wiedźmą lub ladaczną... - głos jej się załamał. Bernardo pomyślał, że wiele musiała wycierpieć. Zapadło niezręczne milczenie.

- Na pewno nie było ci łatwo - odezwał się wreszcie łagodnym głosem.

Yebra nadal wpatrywała się w ziemię.

Wtem uwagę Bernarda przykuł jakiś błysk, dostrzeżony kątem oka. Mężczyzna wstał i podszedł do konia, który stał obok namiotu.

- To te stworki - szepnęła Yebra, stając obok. - Nocą są zawsze bardziej aktywne. Patrz!

Rzeczywiście, dwa robaki biegały niespokojnie po klatce. Czasami, kiedy zanadto zbliżały się do siebie, zderzały się, sierść im się jeżyła i sypały się z nich niebieskawe, ledwo dostrzegalne iskry, które rozświetlały ciemności..

Yebra nie wydawała się tym zdziwiona.

- Jestem bardzo zmęczona... - rzekła wreszcie.

- To był ciężki dzień - nagle zdał sobie sprawę, że jest zupełnie wyczerpany. - W namiocie jest aż nadto miejsca dla dwojga - zaprosił ją gestem - więc bez trudu zmieścimy się we trójkę.

Po chwili Bernardo leżał już w środku owinięty w swój koc, ale długo nie mógł zasnąć. Chrapanie Nuña przeplatało się z delikatnym oddechem Yebry. Czuł na plecach ciepło jej ciała i nie potrafił przestać

myśleć o spojrzeniu, którym go przeszła. Tym spojrzeniem przedostała się do jego duszy, zarzuciła tam haczyk, który nadal tkwił w środku, otorbiony, zagnieżdżony, szukając sobie dogodnego miejsca.

Bernardo znów obudził się ostatni. Wchodziło mu to już najwyraźniej w nawyk.

- Witaj, rycerzu! - pozdrowił go Nuño, zajęty przytracaniem pakunków do siodła swej mulicy. - Najwyższy czas! Tak smacznie chrapałeś, że zastanawialiśmy się już, czy nie zostawić cię tutaj, żebyś się solidnie wyspał...

- Przepraszam.

- Dobrze spałeś? - zapytała Yebra.

- Tak - skłamał.

Magia wczorajszej nocy ulotniła się. Yebra znów wydawała mu się jedynie zwyczajną, choć nieco dziwną dziewczyną.

- Mówiliśmy właśnie, że można pojechać północną drogą. Jest bezpieczniejsza, a w dzisiejszych czasach...

Bernardo przystał na to. Właśnie wtedy najlepiej było wędrować do Świętej Cekliny. Szlak ten należał do najbardziej uczęszczanych, zwłaszcza przez pielgrzymów do Santiago de Compostela. Nie było tam problemu ze znalezieniem noclegu czy ciepłej strawy.

- Pojedziemy do Porciona, stamtąd już droga jest prosta...

- To ty jesteś znawcą tamtych dróg, Nuño. Zrobimy, jak powiesz.

- Jak ja powiem! Też coś! - powtórzył za nim kpiąco. - Oj, staruszkule! Szkoda, że zamknąłeś się w Almacei, z dala od świata...

Yebrza zaśmiała się. Powoli zaczynała rozumieć tych dwóch mężczyzn, których los postawił na jej drodze.

Jednorożec również przyzwyczał się do obecności ludzi i ich wierzchowców. Już nie bał się ich jak na początku. Po kilku dniach mogli go spętać razem z mulicą, która przypadła mu do serca bardziej niż koń. Raz spróbowali go dosiąść, ale próba ta zupełnie się nie powiodła.

Bernardo i Yebrza nie wspominali więcej o swojej przygodzie z wieśniakami. On starał się o tym nie myśleć i wkrótce tamto wydarzenie stało się czymś w rodzaju nierzeczywistej i odległej wizji sennej.

Yebrza odkryła, że Nuño był miłym towarzyszem podróży: gadatliwy i wesoły, z duszą prawdziwego trubadura. Zawsze miał na podorędziu jakąś historię i potrafił przekształcić błahy epizod w fascynującą i zabawną opowieść.

Bernardo był bardziej milczący. Dziewczyna czuła, że kątem oka obserwuje ją podejrzliwie, kiedy mu się wydaje, że ona tego nie widzi. Mimo to cieszyła się, że jadą razem. Lubiła przebywać w jego towarzystwie. Znał niemal wszystkie dziwne rośliny, jakie napotykali; wyjaśniał jej, do czego służą galasówki, kłacza

i inne części, których zastosowania nie znała; pokazywał też, w jaki sposób ich użyć. Tak dowiedziała się na przykład, że prawoślaz, którego dotychczas zawsze używała jako naparu przeciw katarowi i kaszlowi, można też stosować w formie okładu o działaniu przeciwbólowym.

Mijały dni. Yebra czuła, że choć podróżują wspólnie, oni wciąż nie przyjęli jej do końca do swego grona. Dlatego też starała się nie sprawiać kłopotu. Odzywała się tylko wówczas, gdy któryś z nich pierwszy przemówił. Śmiała się z żartów Nuña. Starala się być użyteczna, pomagając w prostych codziennych czynnościach związanych z podróżą.

W miarę jak posuwali się na północ, napotykali kolejne dziwne stworzenia. Wydawało się, że rzeczywiście niektóre miejsca je przyciągały. Kawałek drogi za Porciona, kiedy przechodzili przez strumień, natknęli się na stworki podobne do malutkich myszek. Z daleka wyglądały jak zwykłe polne gryzonie, ale gdy ktoś uważniej się przyjrzał, mógł dostrzec niebieskie brzuszki i nosy podobne do ludzkich. Było ich tak wiele, że Yebra zbudowała następną klatkę, by złapać jeszcze jedną parkę.

Nocą Bernardo przyglądał się czasami schwytanym zwierzętom, obserwował je w ciemności i niekiedy widział rozproszone niebieskawe błyski, które pojawiały się i znikwały w mgnieniu oka. Patrzył na nie z niesłabnącym zainteresowaniem; włoski robali wy-

dawały się rosnać, stoszyć i splątywać. Chwilami miał wrażenie, że zwierzątka bacznie go obserwują, wówczas czuł, że po plecach przebiega mu dreszcz i szybko odchodził od klatki, starając się myśleć o czymś innym.

Yebara, która z początku wędrowała pieszo obok wierzchowców, zaczęła wreszcie jeździć na mulicy razem z Nuńem. Chwytała go wtedy za pas, a on, niezmiernie zadowolony, nucił miłosne ballady i kpił sobie z samotnika Bernarda.

- Patrz, Bernardo, jakaś śliczna dziewczyna się do mnie tuli. Ho ho! Czas się dla mnie zatrzymał, rycerzu.

- Przytulam się, żeby nie spaść, Nuño - wtrącała dziewczyna.

- Przynajmniej nie brakuje tam fałd, które można dobrze schwycić - podrwiwał Bernardo.

Nuño od razu wciągał brzuch.

- Jedynie subtelne wzniesienie, Bernardo, bardzo subtelne... Przynajmniej jakaś piękna dama ma za co złapać...

- Za nic nie łapię, trzymam się, żeby nie spaść!

- ...Piękna dama ma za co złapać... Nie tak jak u innych, których całymi latami żadna kobieta nie odważyła się tknąć nawet kijem. Skończysz jako drewniany kloc, Bernardo!

- Co? Co mówisz? Nic nie słyszę... To pewnie dlatego, że stałem się głuchy jak pień. Ach! Już nie czuję uszu, na pewno mi zdrewniały.

Yebra uśmiechała się tylko w milczeniu. Patrzyła na Bernarda i zastanawiała się, ile jest prawdy w tych żartach i czy rzeczywiście upłynęły lata, od kiedy był z kobietą.

Intrygował ją. Wydawał się jej niezwykle pociągający. Był dojrzały, wysoki i silny. Twarz okalały mu bujne ciemne włosy, przyprószone w wielu miejscach siwizną. Na czole rysowały się zmarszczki, w brodzie miał rowek. Jej wzrok przyciągały niemal kwadratowe dłonie o długich arystokratycznych palcach. Zastanawiało ją, że nie zachowywał się jak większość mężczyzn. Wydawało się, że nie odczuwa pożądania. Kiedy na nią patrzył, miała wrażenie, iż nie patrzy na nią jak na kobietę, lecz jak na obiekt badań. Nie żartował, nie prawił jej komplementów, tak jak to czynił Nuño. W podobny sposób traktował zresztą nie tylko ją, ale i wszystkie kobiety. Podczas kontaktów z płcią przeciwną Bernardo wydawał się niewzruszony jak drewniany kłoc.

Yebra wiedziała, że większość uczniów Zakonu Świętej Cekliny, jak Nuño czy Bernardo, pozostawało świeckimi, aby dzięki temu móc poświęcić się walce lub upowszechnianiu wiedzy. Ci, którzy przywdziewali habity, ślubowali posłuszeństwo, ubóstwo i czystość. Pozostali, żyjący poza murami klasztoru, godzili się wykonywać misje powierzane przez przeora. Walczyli tam, dokąd ich wysłano, lub też po prostu zostawali, jak to prawdopodobnie miało miejsce

z Bernardem, preceptorami możnych. Działo się tak, ponieważ wychowankowie Świętej Cekliny znani byli jako doskonali nauczyciele; często osiągnęli zatem wielkie wpływy, stając się zaufanymi arystokracji lub nawet na dworze królewskim. Jednak, podobnie jak w innych zakonach, wszyscy oni, świeccy uczniowie i mnisi, pozbawieni byli wszelkiej własności prywatnej, ponieważ wszystko, co do nich należało, stanowiło własność Świętej Cekliny. Tym sposobem Zakon zgromadził wielkie bogactwa, dzięki czemu pożyczął niekiedy pieniądze królom, możnym, a nawet, w kilku wypadkach, samemu papieżowi.

Święta Ceklina była wszędzie tam, gdzie pieniądze, władza i nauka. A przecież wcielała zarazem w życie ideę udostępniania wiedzy każdemu, biednemu czy bogatemu, szlachetnie urodzonemu czy z gminu, traktując to jako najlepszą drogę do Boga, co przysporzyło Zakonowi rywali, zawiści i gniewu władz, zarówno kościelnych, jak i świeckich.

Wychowankowie klasztoru zaliczani byli do braci Świętej Cekliny niezależnie od tego, czy przywdziali habit. Bernardo, zgodnie z tym, co mówiono o wielu braciach z Zakonu, wydawał się znacznie bardziej zainteresowany studiami niż potrzebami ciała. Yebra doszła do wniosku, że względem kobiet zachowywał autentyczną czystość mnicha. Sprawiał wrażenie mężczyzny z kamienia.

O spotkaniu z Eladiem i Veridianą oraz ataku bandytów

Po wcześniejszych wędrówkach przez wyludnione okolice lasy na szlaku do Santiago de Compostela wydały im się wypełnione niekończącą się procesją pielgrzymów. Niemal nie zdarzał się dzień, by nie minęli się z grupą podróżnych, którzy szli do świętego miejsca lub zeń wracali. W San Genaro, w oberży Oca, spotkali karawanę, w której podróżowali Eladio i Veridiana.

Przybyli o zmierzchu i gospodarz, odziany w zatłuszczoną kapotę, łysy i o piskliwym głosie, powiedział im, żeby przespali się w stajni.

- Bardzo mi przykro - wyjaśnił - ale nie mam już miejsc. Jeśli chcecie, możecie zostać tutaj, na górze, gdzie trzymamy siano. Będziecie przynajmniej mieli

dach nad głową... Przyjechało mnóstwo ludzi z León i zajęli wszystko, więcej nikt się nie wciśnie.

- Z León? - zainteresował się Bernardo.

- Tak.

- Jeśli można, to chciałbym zobaczyć się z nimi. Mam w tym mieście paru dobrych znajomych.

Bernardo spędził jakiś czas w León. Pomagał tamtejszemu biskupowi skompletować bibliotekę i określić zasady udostępniania zbiorów na podobieństwo reguł, które obowiązywały w Świętej Ceklinie od dziesiątek lat.

Zostawił zatem Nuña i Yebrę ze zwierzętami, zalecając im, by je napoili przy studni, i wszedł do oberży.

Po kilku minutach wrócił.

- Zbierajcie rzeczy. Mamy pokój. To Eladio. Prowadzą karawanę do Oksytanii. Wiozą małą Veridianę do jej przyszłego męża - wyjaśnił im pobieżnie, biorąc do ręki bagaże. - Zwolnią nam jedno pomieszczenie.

- Doskonale! Wreszcie mamy pożytek z twoich znajomości, Bernardo.

- Eladio ma u mnie dług wdzięczności... Dług, którego nie zdoła spłacić, nakazując swoim służącym, by ścieśnili się trochę i zwolnili nam pokój.

Kiedy weszli do gospody, w nozdrza uderzył ich miły zapach gotowanych porów. Wewnątrz panował zaduch i tłok. Grupa kobiet siedziała na brzegu

ciężkiej ławki. Wśród nich wyróżniała się jasnowłosa główka ślicznej dziewczynki przypominającej madonnę, a ubranej w kosztowną zieloną suknię.

- Bernardo! - Szczupły brunet, chudy jak ostrze szpady, zbliżył się do nich. - Masz już wolny pokój.

Na widok Yebry oniemiał.

- Eladio, przedstawiam ci Nuña - Bernardo zignorował jego spojrzenie - mojego wielkiego przyjaciela i towarzysza ze Świętej Cekliny.

- Witaj, Nuño. Przyjaciele Bernarda są moimi przyjaciółmi.

- A to Yebra, jego kuzynka.

Eladio pokłonił się przed nią i Yebra, ku zaskoczeniu ich obu, odpowiedziała lekkim dygnięciem. Był to przejaw dworskiej oglądy, którego żaden z nich się po niej nie spodziewał.

- Przynieście wasze rzeczy, przyjaciele. Na pewno jesteście zmęczeni. A potem usiądźcie z nami, z pewnością mamy sobie niemało do opowiedzenia.

W pokoju, a raczej izbie bez okien, małej i ciemnej, Nuño nie mógł powstrzymać się od pytania:

- Kto cię nauczył takich pięknych dygnięć, kuzynko?

Na twarzy Yebry odmalowało się zdziwienie.

- Jan i ja zarabialiśmy na życie, pracując dla takich możnych jak ten: przy chorych, rannych, podczas porodów... Spędziłam z nimi dość czasu, by nauczyć się stosownego zachowania.

Z sali na dole dobiegały dźwięki muzyki. Nuño zamarł i zamienił się w słuch.

- Słyszycie? - krzyknął podekscytowany. - Muzyka! Chodźmy tam, tak długo nie miałem sposobności niczego posłuchać.

W sali na dole mandolina wolno snuła swoją opowieść. Jakiś młodzieniec delikatnie trącał struny, wreszcie zaczął śpiewać smętną balladę miłosną.

Nuño stanął obok niego, przyciągnięty muzyką niczym ćma do światła. Bernardo i Yebra podeszli do Eladia, który dawał im znaki, by usiedli obok niego.

- Bernardo, przyjacielu. Sam los mi cię zsyła, znów pragnę skorzystać z twojej pomocy. Mam problem z Veridianą - wskazał wzrokiem złotowłosą dziewczynkę. - Cierpi na straszne bóle głowy, na które nic nie pomaga. Nie może przez nie spać. Czasem kręci się jej w głowie... Mógłbyś coś dla niej zrobić?

- Ja się tym zajmę, jeśli nie masz nic przeciwko temu - przerwała mu Yebra i wstała z miejsca.

- Ona? - szepnął zdumiony Eladio. Bernardo w milczeniu skinął głową.

- W tych podartych łachmanach kryje się śliczna i intrygująca dziewczyna.

- To długa historia.

- Te historie zawsze są długie, przyjacielu. Bernardo nie zwrócił uwagi na jego słowa. Przyglądał się Yebrze, która w głębi sali zapoznała się

z dziewczynką i towarzyszącymi jej kobietami. Potem znów spojrzał na Eladia.

- Zostawisz ją w Tuluzie?

- Z jej opiekunką, młodym paziem - wskazał chłopaka z mandoliną - i ludźmi Guya. A potem, kiedy wykonam już swoje zadanie, wracam do León.

- Jest bardzo młoda, prawda?

- Ma już dwanaście lat. Prawdziwa z niej kobietka.

- A jej przyszły mąż?

- Niedawno skończył pięćdziesiąt. Ale to silny mężczyzna. Może jeszcze spłodzić niejednego syna, jeśli Bóg pozwoli. Owdowiał w zeszłym roku. Veridiana będzie panią pięknego miasta.

- Tak...

Bernarda uderzył smutek malujący się na buzi dziewczynki.

W powietrzu dały się słyszeć dźwięki nowej melodii. Wesolej i niezwykle szybko. Bernardo i Eladio obejrzeni się jednocześnie. Ich oczom ukazał się Ñuño z mandoliną w ręku, intonujący nową piosenkę. Jego czysty, głęboki głos z łatwością wypełnił salę.

Ñuño śpiewał w obcym języku. Wesoła melodia stopniowo zwalniała, aż wreszcie na koniec nabrała melancholijnej barwy.

Eladio zaczął z entuzjazmem klaskać.

- A niech to! Twój przyjaciel ma świetny głos!

- Prawda? Śpiewał dla nie byle kogo, Eladio, dla bardzo ważnych osób... - powtórzył.

Nuño zaczął kolejną balladę.

Gdy ją śpiewał, Bernardo opowiedział Eladiowi nowiny z Almacei i wysłuchał najnowszych wieści z León. Po chwili dołączyła do nich Yebra. Bernardo odczekał, aż Eladio odejdzie na stronę, po czym zapytał:

- Co jej dolega? Coś więcej niż zwykły ból głowy?

- Nic jej nie jest, Bernardo... Nic poza tym, że musiała porzucić wszystko, czym żyła dotychczas. Ze wydali ją za męża za starca, którego nie zna i który mówi innym językiem niż ona. Im bliżej celu podróży, tym bardziej głowa będzie ją boleć. Dałam jej trochę lipy, melisy i kozłka, żeby zrobiła sobie napar przed snem. I porozmawiałam z nią przez chwilę... I proszę, już się czuje lepiej. Tak naprawdę potrzebuje tylko przyjaciół.

Dziewczynka, Veridiana, z rumieńcem na twarzy słuchała nowej pieśni Nuña. Yebra też się zasłuchała.

- Nigdy bym nie pomyślała, że ma taki piękny głos.

- Nie przed wszystkimi się nim chełpi.

- O kim mówicie? - podszedł do nich Eladio.

- O naszym śpiewaku... - Bernardo wskazał na Nuña.

Eladio rozsiadł się koło Yebry i podał jej kubek z winem.

- I cóż taka młoda dama - zwrócił się do niej - będzie robić w klasztorze mnichów-czarnoksiężników?

- Chcemy, żeby wstąpiła do Las Inviernas - odpowiedział za nią Bernardo, nie zwracając uwagi na zaczepkę.

Yebra jedynie delikatnie się uśmiechnęła.

- Rozumiem. Pragniesz oddalić się od zgiełku świata i szukać spokoju ducha w klasztorze. Wierzysz, że tam będziesz bezpieczna. Ale czy jesteś pewna, że chcesz odbyć tę długą drogę z nimi?

Dziewczyna nic nie odpowiedziała, więc Eladio ciągnął dalej:

- W Świętej Ceklinie czczą heretyckie i bezbożne księgi... A kiedyś klasztor posłużył wręcz za schronienie muzułmanom!

Czekał na jej odpowiedź, jednak Yebra nadal milczała. Odezwał się za to Bernardo:

- Arabscy lekarze niemało potrafią, mój drogi Eladio. Sam się o tym przekonałeś; to właśnie dzięki wiedzy tych, tak przez ciebie pogardzanych, Arabów wyleczyliśmy twoją córkę z gorączki skrofulicznej...

Ich rozmówca machnął ręką, jakby chciał odegnąć niemiłe wspomnienia.

- Moja kochana córeczka... - powiedział z fałszywą słodyczą.

- Jeśli chcesz, możesz jechać z nami. Będziesz bezpieczniejsza

- Eladio odgarnął dziewczynie kosmyk włosów z czoła.

Yebra poirytowana poprawiła sobie włosy. Bernardowi znów zabrzmiały w uszach jej słowa: „nie lubię, gdy mnie dotykają!”, rzucone w twarz

Martinowi, wieśniakowi, który zaatakował ją na drodze.

- Jesteś zbyt młoda na siwe włosy. Nie zrozum mnie źle, są wspaniałe, sprawiają, że... wyglądasz niezwykle, ale...

Yebra wcale nie wydawała się uradowana tym komplementem; zacisnęła szczęki w sposób, który wprowadził Bernarda w zakłopotanie.

- Słyszałem - ciągnął dalej Eladio - że wystarczy jedna noc paniki, jedna jedyna, żeby człowiek zupełnie osiwił, by jego włosy stały się białe jak śnieg. Jak twoje, Yebra.

- To nieprawda - odpowiedziała bez zająknięcia.

- To nie trwa jedną noc. Trwa dłużej... Bernardo przyjrzał jej się uważnie, starając się nie

okazać zdumienia. Dotąd nie przyszło mu do głowy zapytać, dlaczego dziewczyna ma siwe włosy. Cóż mogło przerazić ją do tego stopnia?

Ñuño tymczasem zakończył balladę. Kilka osób klaskało. Bernardo uznał to za dobrą sposobność, by zmienić temat rozmowy.

- Ñuño! - krzyknął. - Zaśpiewaj *Jaskółki*. Na pewno damy będą zachwycone... i kawalerowie też.

Ñuño roześmiał się zadowolony. Uderzył w struny i wydobył z mandoliny melancholijny akord.

- To bardzo piękna pieśń - wyjaśnił Bernardo.

- Opowiada o jaskółkach, które raz poznawszy smak miłości, wciąż powracają, by zaznać jej na nowo.

Wszyscy troje milczeli, póki nie wybrzmiały ostatnie nuty. Potem Nufio odłożył instrument i wrócił do nich. Oczy mu błyszczały, a usta same układały się w uśmiech.

Eladio zamówił więcej wina. Przez chwilę sączyli je, rozmawiając na błahe tematy. Yebra porzuciła ich na jakiś czas i przysiadła się do kobiet. Kiedy wreszcie zostali w sali niemal zupełnie sami, Eladio zaczął ich namawiać, by dalej podróżowali wspólnie.

- Musicie przyznać, że tak będzie dla was bezpieczniej.

- Dzięki, Eladio, ale to by opóźniło naszą podróż - Bernardo uprzejmie odrzucił zaproszenie.

- Jak sobie życzycie, przyjaciele. Ale pamiętajcie, że okoliczności nie są sprzyjające, a droga do Świętej Cekliny nie należy do bezpiecznych. Łatwo o napad. W jakich to czasach przyszło nam żyć, że podróżnych napadają na drodze zarówno pospolite rzezimieszki, jak i szlachetnie urodzeni! Nie wiadomo już, komu ufać!

Nie wiedzieć czemu, w tym właśnie momencie, Bernardo poczuł, że przebiega go dreszcz, jak gdyby Eladio ubrał w słowa jego własne złowrogie przeczucie.

Kiedy nieco później znaleźli się już w swojej izbie, Yebra znów pochwaliła Nuña.

- Bardzo mi się podobały twe pieśni. Nie wiedziałam, że tak pięknie śpiewasz. Masz wspaniały głos.

Nufto aż rósł od jej pochwał.

- Bóg obdarzył mnie dźwięcznym głosem i niezłym uchem. To jeden z moich sekretów. Ale mam jeszcze w zanadrzu inne uroczy niespodzianki, które mogą umilić życie damom... - mrugnął do niej zawadiacko.

- Nie wątpię! - zaśmiała się Yebra.

- W swoim czasie śpiewał na dworze - wtrącił wesoło Bernardo - i wysoko urodzone damy omdlewały na jego widok... Przynajmniej tak mi mówił.

- To prawda, Bernardo, to prawda. Za młodu mój głos był... w każdym razie kobietom zawsze się podobało, gdy śpiewałem, a ja lubiłem uwodzić je głosem!

- No, no! - zaśmiał się Bernardo. - Uważaj, Yebra, kiedy zgasimy świecę i zapadną ciemności, możesz paść ofiarą jego utajonych zalet...

Yebra zaśmiała się i energicznie zdmuchnęła płomień.

- Wiecie, co myślę? - powiedział Nuño w ciemności. - Teraz mój głos jest bardziej schrypnięty, nie mogę już śpiewać jak niegdyś, ale mogę za to lepiej go modulować i oddawać uczucia, których dawniej nie znałem... Na które byłem za młody.

Słowa Nuña i ton jego głosu przypomniały Yebrze jego pieśni.

- Bardzo mi się podobało - powtórzyła, opatulając się kocem.

Leżeli w kompletnej ciemności. Za ścianą ktoś zakaszłał. Zabrzmiało to jak szczeknięcie psa. Na dworze cykał świerszcz.

- Yebra... - szepnął Bernardo.

- Tak?

- Co ci się właściwie stało? - zapytał, poczuwszy w mroku przyływ odwagi.

Ponieważ milczała, mówił dalej, starając się wypowiadać słowa miękko i łagodnie, głosem przypominającym muśnięcie motyla.

- Chodzi mi o twoje włosy...

Dopiero po dłuższej chwili odpowiedziała:

- To... to trudno wytłumaczyć.

- Możesz nam zaufać, Yebro - powiedział Nufio, unosząc się na łokciu.

- Wiem... Kiedyś pewnie wam opowiem - westchnęła. -
Dobrej nocy, chłopcy - dodała.

- Dobrej nocy.

Bernardowi spodobali się ci „chłopcy”; od razu poczuł się młodziej.

Zasnął natychmiast. Śniło mu się, że lodowaty szron pokrywa jego ciało i dusi, dusi...

Ranek wstał jasny i bezchmurny. Był piękny jesienny dzień. Ponieważ mieli ruszać w dalszą drogę, Bernardo zapłacił należność karczmarzowi. Nuño i Yebra poszli do stajni objuczyć wierzchowce. Jednorożca jak zwyk-

le przywiązali do mulicy. Jego piękna grzywa powiewała z gracją w chłodnym porannym wietrze.

Bernardo wyszedł z Eladiem przed gospodę, by się pożegnać. Wtem w drzwiach stanęła Veridiana. Obrzuciła spojrzeniem ich wierzchowce i na jej twarzy odmalowało się bezbrzeżne zdumienie.

- Co... - wyksztusiła, wbijając wzrok w jednoroźca. - Co to takiego?

Bernardo zamarł na progu. Nuńo patrzył na Veridianę w osłupieniu i nie mógł wydobyć z siebie głosu. Eladio przyglądał się im, nie rozumiejąc, o co pyta dziewczynka.

Nikt wcześniej, podczas całej ich podróży, nie zobaczył jednoroźca. Z czasem przyzwyczaili się do niego, prowadzili go jak każde inne zwierzę, przywykli, że nikt go nie widzi. A teraz, nagle, zdumienie Veridiany na nowo uświadomiło im, że obecność jednoroźca widzialnego tylko dla wybranych nie jest rzeczą powszednią.

Pierwsza zareagowała Yebra. Podeszła do dziewczynki.

- To nasza mulica, podoba ci się? - spytała, przyglądając się uważnie małej.

Bernardo zobaczył, że dziewczynka mruga, nie wierząc własnym oczom. I poczuł, intuicyjnie, że dzieje się coś sprzecznego z naturą. Jakby łagodne falowanie powietrza wokół nich, drzenie wywołane czymś niecodziennym. Popatrzył na Yebkę i zdążył

jeszcze uchwycić jej spojrzenie, to, które przewiercało na wylot. Zrozumiał, że znowu coś zrobiła, tylko że tym razem podziałało to wyłącznie na dziewczynkę.

- Chcesz się przejechać? - zapytała spokojnie Yebra. - Chodź... - I popchnęła dziewczynkę w kierunku mulicy.

Veridiana patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem. Pozwoliła prowadzić się niczym marionetka.

Ñuño zdobył się na wymuszony uśmiech. Mieli nadzieję, że Eladio nie zauważył niczego niezwykłego.

- No cóż, Eladio, chyba już pojedziemy... - odezwał się do niego Bernardo. - Na pewno jeszcze się spotkamy. Jedźcie z Bogiem.

I czym prędzej podszedł do swojego konia. Yebra złapała Veridianę za ramiona i powiedziała, patrząc jej z uwagą w oczy:

- Do widzenia, maleńka! Uważaj na siebie. I niech ci się dobrze wiedzie.

Dziewczynka stała spokojnie, patrząc niewidzącym wzrokiem, jak odjeżdżali.

Przez dłuższą chwilę wszyscy troje milczeli. Pierwszy odezwał się Ñuño.

- Veridiana zobaczyła jednorożca - powiedział po prostu. - A potem... Co to właściwie było? Zapomniała o tym? Wyglądała, jakby jej ktoś dał po głowie,

jak otumaniona. Nic nie rozumiem... - wyrzucał z siebie kolejne wątpliwości z zawrotną szybkością.

- Milcz, Ñuño.

Yebra zeskoczyła z grzbietu mulicy na ziemię i złapała zwierzę za uzdę.

- To ja - powiedziała cichutko. - To ja ją... otumańska.

- Jak to: otumańska ją? Co chcesz przez to powiedzieć?

- Yebra jest przecież wiedźmą - rzucił ironicznie Bernardo. - Może zamieniać w kamień... albo otumaniać.

- Daj spokój! Nie czas na żarty. - Ñuño wziął jego słowa za kpinę.

- To prawda - wtrącała dziewczyna. - On nie żartuje. Nie wiem, jak to robię, ale potrafię to. I wcale nie jestem czarownicą! - rzuciła Bernardowi mroczne spojrzenie.

Yebra postanowiła opowiedzieć, co się stało na drodze, gdy Ñuño poszedł do Cruceiro zawiadomić o śmierci małego Martina. Wydawała się zawstydzona; mówiąc, przez cały czas patrzyła gdzieś w bok.

- Nie wierzę... Sprawiałaś, że zamienili się w posagi? Akurat! I co jeszcze mi opowiesz?

- Gdybym nie miał dosyć, sam bym ci opowiedział historię o niewidzialnym jednorożcu i innych stworach. A na dobitkę zaśpiewałbym ci pieśń o dzielnej muszce - prychnął Bernardo.

- To wszystko prawda, Ñuño - dodała Yebra wciąż jeszcze trochę niepewnie. - Po prostu są rzeczy... których nie umiemy wytłumaczyć. Na pewno jest jakieś wyjaśnienie, choć my go nie znamy

- niemal dosłownie powtórzyła to, co kiedyś powiedział jej Bernardo. - Ja wiem tylko, że umiem to zrobić, ale nie wiem jak...

- Tak, Ñuño, tak, jak sam mówiłeś - istnieją jednorożce i coś w rodzaju czarów... Jeszcze uwierzę w smoki, wróżki i krasnoludki! - zakończył kpiąco Bernardo.

- One też istnieją - powiedziała bardzo poważnie Yebra.

Bernardo aż podskoczył w siodle.

- Krasnoludki? I mają swoje domki w grzybkach?

- Nie potrafił uniknąć ironicznego tonu.

- Nie... miałam na myśli... smoki.

Bernardo popatrzył na nią z niedowierzaniem. Ñuño słuchał ich, nie biorąc udziału w rozmowie, jakby toczyła się w innym wymiarze.

- Są... malutkie. Jest ich niewiele. Widziałam, jak krążą wokół niektórych osób. Nikt inny ich nie widzi... Tak jak jednorożca, jak tych kolorowych robaczków i myszopodobnych stworków. Są... o takie... - rękami nakreśliła w powietrzu kształt wysokości niecałych dwóch stóp.

Bernardo wyobraził sobie dwa maleńkie smoki schwytane w klatki. Ogarniał go pusty śmiech. Tego

ranka podchodził do wszystkiego z ironią i cierpkim humorem.

- Dla mnie to już za wiele, naprawdę! Mam nadzieję, że mistrz Dimas w Świętej Ceklinie zdoła nam wyjaśnić te wszystkie niecodzienne zjawiska, bo chyba zaczynam już wierzyć w te smoki!

I ku zdumieniu swoich towarzyszy Bernardo wybuchnął gromkim śmiechem. Śmiał się tak bardzo, że musiał ocierać łzy z oczu.

- Można by pomyśleć, że oszalał - mruknęła Yebra do Nuña, myśląc, że Bernardo jej nie słyszy.

- Jeśli Nuño zaśpiewa teraz o dzielnej muszce, naprawdę oszaleję! Przekonacie się! - Bernardo śmiał się dalej.

I nagle Yebra przyłączyła się do niego. Zaśmiała się szczerze, jak już od lat się jej nie zdarzyło. Jej dusza doznała pełnej wolności, jakby wyzwoliła się z kajdan, które więziły ją przez zbyt długi czas. Nuño, nie namyślając się wiele, zaczerpnął powietrza i zaintonował pieśń o dzielnej muszce. Ich radosny śmiech niósł się daleko.

Nie wracali więcej do nadzwyczajnych umiejętności Yebry, jakby chcieli zapomnieć o ostatnich wydarzeniach. Gdy jednak zbliżali się już do Świętej Cekliny, wydarzyło się coś, co przywróciło im poczucie rzeczywistości.

Zapadał zmrok. Już wcześniej porzucili szlak pielgrzymkowy, by zdążyć do klasztoru wijącą się przez góry dróżką. Do celu zostało im kilka dni. Las był tu gęsty i stary, wokół panował przenikliwy chłód.

Na jednym z przewężeń drogi, nad którym pochylały się stuletnie drzewa, jednorożec nagle stanął. Mulica nie miała siły ciągnąć go za sobą, więc również stanęła. Nuño próbował zachęcić ją do dalszego marszu.

- Czekaj! - szepnęła Yebra.

- Co się stało? - zapytał Nuño.

Dziewczyna zsiadła z mulicy i rozejrzała się dookoła, jakby przeczuwała niebezpieczeństwo.

- Nie wiem. Tam coś jest...

Bernardo zatrzymał wierzchowca w miejscu. Wydawało mu się, że usłyszał coś dziwnego, coś wręcz nienaturalnego... Wtem, z obu stron, jakby wychynawszy z nicości, wysypali się na drogę bandyci. Ruszyli na trójkę wędrowców z dzikim wrzaskiem. Było ich przeszło piętnastu. Wywijali pałkami, nożami i kijami. Robili przerażające wrażenie. Jeden z nich, z ogromnym nożem w ręku, rzucił się na Bernarda ze zwinnością dzikiego kota.

W napadniętym obudziły się wyuczone przed laty, dziś nieco zapomniane odruchy. Kątem oka dostrzegł inne poruszenia. Zrozumiał, że za plecami ma kolejnych napastników. Ci pewnie zaatakują Nuña i Yebrę.

Nie było czasu do namysłu. Wyciągnął miecz z pochwy. Tym razem obyło się bez przeszkód.

Mocno chwycił cugle i udami spiał konia. Przybrał pozycję dogodną do odparcia ataku. Gdy bandyta się zbliżył, Bernardo wytrącił mu nóż z ręki. Potem ruszył na niego koniem, ale tamten rzucił się na ziemię.

Ktoś złapał go od tyłu i próbował wysadzić z siodła. Zaskoczył go ten atak - był zbyt zajęty innym przeciwnikiem. Koń zadreptał w miejscu, skręcił i przeszedł parę kroków, aż Bernardo uwolnił się od napastnika, nie tracąc na szczęście równowagi.

Wtedy zobaczył, że Nuño, uzbrojony jedynie w sztylet, walczy z kilkoma bandytami na raz, choć na pewno od lat nie miał okazji, by ćwiczyć sztukę władania orężem.

Yebra również z trudem odpierała ataki napastników.

Bernardo rzucił się między walczących. Ktoś jednak zdołał go przewrócić. Miecz wypadł mu z ręki. Mężczyzna przetoczył się po ziemi, próbując odzyskać broń. Wreszcie chwycił ją mocno i zerwał się na równe nogi. Jeden z opryszków biegł na niego z dzikim rykiem. Ostrze kościanego noża błysnęło Bernardowi przed oczami. Wymierzył napastnikowi mieczem cios, po którym tamten potoczył się na ziemię niczym bezwładna kukła.

Nuño wciąż walczył. Powalił jednego, kolejnych dwóch przypuszczało właśnie na niego atak.

Yebra leżała u stóp jednego z napastników, drugi, chyba martwy, padł obok.

Bernardo zauważył jej spojrzenie, intensywne, mroczne jak sama śmierć, pełne nienawiści.

- Nie!!! - krzyknął rozpaczliwie. - Nie rób tego! I wtedy nagle znów to się stało.

Tym razem, być może dlatego, że wiedział, co nastąpi, obserwował wszystko z pełną jasnością. Poczł się, jakby zanurzył głowę pod wodę. Wszystkie dźwięki wypełniające otoczenie po prostu umilkły. Nie było słycać krzyku bandytów, szczęknięć metalu, jęków. Nie szemrał wiatr ani nie szeleściły liście na drzewach. Powietrze wokół zgęstniało. Stało się ciężkie i lepkie. Jednak tym razem umysł Bernarda nie do końca uległ tej mocy.

Bandyci zastygli niczym posągi. Jeden z nich stał tuż obok z wysoko uniesionym kościanym nożem, wciąż gotowy do ataku.

Nuńo, trwając w pozycji obronnej, ze zdumieniem obserwował widok, który roztaczał się wokół niego. Jego dwaj przeciwnicy mrugali bezradnie, lecz nie mogli wykonać choćby najlżejszego ruchu.

Yebra wstała z ziemi.

Naprzeciw niej skamieniały zbój zastygł, sięgając za pas. Inny przymierzał się do ciosu drągiem.

- Znów to zrobiłaś - mruknął Bernardo. - A przecież tylu ich jest...

Z niedowierzaniem przyglądał się tej nierzeczywistej scenie. Żywe posągi stały nieruchomo, pogrążone w niepojętym milczeniu.

Yebra wyrwała stojącemu przed nią „posagowi” nóż z za pasa.

A potem, precyzyjnym, niemal eleganckim ruchem, poderżnęła mu gardło. Krew trysnęła, rozpryskując się niczym rdzawy kwiat na szarej rycinie.

Kompletne zagubienie błysnęło w mętnych oczach bandyty, który czuł, że życie uchodzi z niego, a on nie może na to nic poradzić.

- Nie lubię, gdy mnie dotykają... - warknęła z zaciśniętymi zębami i spojrzeniem pełnym nienawiści. - Chciał mnie zgwałcić - zwróciła się do Bernarda, jakby wyjaśniając rzecz oczywistą.

Gdyby nie zobaczył tego na własne oczy, gotów byłby przysiąc, że Yebra niezdolna jest zabić kogokolwiek, a z pewnością nie bezbronnego, i nie z takim chłodem. Dziewczyna jakby usłyszała jego myśli.

- Oni są źli, Bernardo. Zapewniam cię... Ich serca wypełnione są podłością, zwłaszcza jego serce.

Mężczyzna padł martwy w czerwoną kałużę. Z jego szyi sączyła się jeszcze strużka ciemnej krwi.

- Jego dusza była czarna... Nagle Bernardo zrozumiał.

- Ty to widzisz, prawda? Duszę, serce... Wydawało się, że Yebra budzi się ze snu.

- Nie. Nie w i d z ę tego, Bernardo. Ja to... c z u j ę. Czuję, czy jest w nich dobro, czy... czy ich serca biją dźwięcznie, czy skrzypią jak zepsute drzwi.

- I ten skrzypiał? - zapytał, nic nie rozumiejąc, za to czując ogarniające go przerażenie.

- Duszę miał ciemną, lepka i zimną. Nikogo ani niczego nie kochał. Dla nikogo nie miał litości... Był przerażający, przysięgam ci. Ci tutaj - wskazała na pozostałych - przez całe życie tylko sięją zniszczenie. Życie człowieka mniej jest dla nich warte niż kwarta wina, ale jednak mają jakieś ludzkie uczucia. Ale on - znów zwróciła się do bandyty, który skonał przed chwilą - nie zasługiwał na to, by dalej żyć. W sercu miał... zupełną pustkę.

Splunęła z odrazą i podeszła do Nuña. Spojrzała mu prosto w oczy.

- Nuño, chodź, musimy iść...

Wzięła go za rękę i pociągnęła za sobą. Nuño szedł wolno, jakby część czaru spadła i na niego.

Bernardo domyślał się, co czuje jego przyjaciel - to samo, co on za pierwszym razem: nogi wrastające w ziemię niczym drzewa, ogromne znużenie, uniemożliwiające jakikolwiek ruch, a wokół powietrze tak gęste, że z trudem można było się w nim poruszać czy oddychać.

Pomógł Yebrze, biorąc Nuña za drugie ramię i prowadząc go do wierzchowców.

Wreszcie Bernardo przerwał milczenie.

- A dlaczego ja tym razem nic nie poczułem?

- Nie wiem, Bernardo. Krzyczałam bardzo mocno. Powinno podziałać na ciebie tak jak na innych...

Wsiadła na mulicę. Tym razem sama trzymała cugle. Nuño umościł się za nią, wciąż trwając w swoistym transie. Bernardo zagwizdał na swojego konia i dosiadł go czym prędzej.

Odległy pomruk wskazywał, że wkrótce rozlegną się odgłosy lasu.

- Jedźmy. I to jak najszybciej.

- Nie będą nas gonić - stwierdziła Yebra. - Nigdy tego nie robią.

Bernardo nic nie odpowiedział. Ściągnął lejce. Ten ruch, szorstkość skóry w jakiś sposób przyniosły ukojenie jego starganym nerwom i splątanym myślom.

Tej nocy rozbili namiot z dala od drogi. Nuño omijał Yebkę, a Bernardo nie miał mu tego za złe. Jeszcze niedawno sam czuł podobnie i zaakceptowanie niepojętych zjawisk kosztowało go wiele wysiłku.

Później, już w namiocie, długo nie mógł zasnąć. Domyślał się, że jego towarzysze również nie śpią. Wreszcie zmęczyło go leżenie w bezruchu i udawanie śpiącego, wstał, owinał się szczelniej kocem i wyszedł zaczerpnąć świeżego powietrza. Sam nie wiedząc, po co to robi, podszedł do klatek z dziwnymi zwierzętami. W nocy były bardziej aktywne. Kiedy go zauważyły, poruszyły się nerwowo. Coraz wyraźniej dostrzegał niebieskawe błyski, które czasami przelatwały między nimi.

- Skądęście się wzięły, co? - mruknął.

Noc była jasna i bezchmurna, gwiazdy błyszczały niczym klejnoty na czarnym płaszczu. Bernardo spojrzął w niebo. Spadająca gwiazda przecięła firmament i znikła za koronami drzew. Pomyślał życzenie: chciał zrozumieć. Zrozumieć, co robiła Yebra, skąd wzięły się jednorożce i inne niewidzialne stworzenia.

Następnego ranka dzika natura zaczęła przybierać znane wędrowcom formy. Wkrótce mieli dotrzeć do Świętej Cekliny. Jechali ścieżką, nad którą z obu stron pochylały się stuletnie drzewa. Las był tak gęsty i zwarty, że pochłaniał dźwięk kopyt ich wierzchowców. Droga wiła się to ostro w górę, to znów stromo w dół. Chwilami mieli wrażenie, że jada cienistym roślinnym tunelem. Tylko nieliczne promienie słońca przedzierały się przez zasłonę z liści i kładły małymi plamkami tu i ówdzie na ścieżce.

Dotarli na szczyt ostatniego wzniesienia. Nie spotkali nikogo, ale czuli, że są obserwowani z klasztoru. Pozwolono im przejść - najwyraźniej oczekiwano ich.

Wreszcie pokonali ostatni zakręt. Ich oczom ukazała się Święta Ceklina.

Drogę zagrodziły im nagle kamienne mury, okazałe, nie do zdobycia.

Mężczyźni zauważyli, że łuk nad wejściem wyglądał jak dawniej: ogromny, zbudowany z wielkich bloków

skalnych. Nad bramą widniał symbol spirali, identyczny jak na medalionach.

Z jednej strony ziała pionowa przepaść, utrudniająca ewentualny atak. Za bramą z kolei wznosił się klasztor, wykuty w naturalnej ścianie skalnej. Gdzieś tam widniały łukowate okienka, rozmieszczone - wydawało się - bez żadnego planu. Z prawej strony bramy toczyła swe wody kaskada, szumiąc niezbyt głośno, lecz nieustannie. Tutaj też znajdowała się najbardziej zielona część klasztornej dziedziny, niemal całkowicie pokryta mchem i różnorodną roślinnością.

Widok tego muru, bramy i skalnej ściany, wyłaniający się zza zakrętu drogi, każdemu na długo zapadał w pamięć. Było to jedno z tych wspomnień, które zwycięsko opiera się upływowi czasu.

Ogromne drewniane wrota pod kamiennym łukiem wznosiły się naprzeciw nich niczym wyzwanie.

Koń zadreptał nerwowo przed przeszkodą, która nagle zagroziła mu drogę.

Yebra, poruszona urodą krajobrazu, przyglądała się wzniesionemu przez ludzi kamiennemu murowi, który trudno było odróżnić od naturalnej skalnej ściany.

- Wspaniałe - powiedziała, zsiadając z mulicy. Ktoś otworzył małe okienko w bramie. Zamajaczył w nim jakiś cień.

- Kto tam? - zapytał zza gęstej kratki czyjś głos.

- Bernardo i Nuño. - Pokazali swoje medaliony. - Przyjechaliśmy zobaczyć się z Dimasem.

- Poczekajcie chwilę, bracia.

Upłynęło kilka minut, nim wreszcie ogromne wrota otworzyły się z głośnym skrzypieniem.

Yebra nie potrafiła ukryć zdumienia.

Pod jej stopami pojawiła się oto posadzka z idealnie dopasowanych płyt. Za bramą droga prowadziła przez tunel wykuty w skale. Zagłębili się weń.

Nim oczy dziewczyny zdołały na dobre przywyknąć do mroku, ponownie wyszli pod gołe niebo. Oślepiło ich światło słoneczne. Znaleźli się na rozległym dziedzińcu. Podeszło do nich kilku mnichów i służących.

- Nuño, przyjacielu!

Jakiś młodzieniec, niemal chłopiec, odziany w biały habit Świętej Cekliny, podszedł do nich z otwartymi ramionami.

Nuño zeskoczył z mulicy.

- Victor! Szczęśliwe moje oczy... Padli sobie w objęcia.

Yebra również zsiadła i zaczęła przyglądać się kamiennym konstrukcjom, które pięły się po stromych skałach. Wysoko w górze, gdzie ledwo sięgał wzrok, można było dostrzec małe, pięknie zdobione łuki.

- To Bernardo...

Victor przywitał go z szacunkiem.

- Dużo o tobie słyszałem...

- Mam nadzieję, że nic złego... - zażartował.

- Nie licz na to, już chyba zauważyłeś, że zawsze coś wygadam - zaśmiał się Nuño.

Na chwilę Victor zatrzymał pytające spojrzenie na dziwnej białowłosej dziewczynie.

- Przyjechała z nami Yebra...

W tym momencie Nuño uświadomił sobie, że jego młody przyjaciel nie widzi jednoroźca. Nie zauważył niczego niezwykłego.

- Odprowadzę wasze wierzchowce... - Victor wyciągnął rękę, by schwycić za uzdy konia i mulicę.

Bernardo uprzedził go. Nie chciał ryzykować, że podejdzie zbyt blisko jednoroźca.

- Weź tylko konia. Mulica zostanie z nami; chcemy coś pokazać Dimasowi...

Nim skończył mówić, przeor wyszedł na dziedziniec.

Dimas był potężnym, wysokim mężczyzną, Bernarda przerastającym nieznacznie, zaś Nuña i Victora co najmniej o głowę. Miał rzadkie siwe włosy, biały habit trzepotał mu wokół nóg, gdy szedł wielkimi zamaszystymi krokami. Skierował się ku nim dziarsko, z szerokim uśmiechem na twarzy... aż nagle go zobaczył.

Bo zdołał go ujrzeć.

Stanął oniemiały, wpatrując się w jednoroźca, a uśmiech zastygł mu na wargach. Potem spojrzął na Bernarda i Nuña, wreszcie na Yebrę.

- Gdzie go znaleźliście? Podszedł prosto do zwierzęcia.

Yebra przyjrzała się niebieskim oczom i wielkim kwadratowym dłoniom przeora.

- W Cruceiro - odpowiedział po prostu Ñuño.

- I jest jeszcze coś - Bernardo pokazał zamknięte w klatce stworzonka.

Victor przysłuchiwał się im, nic nie rozumiejąc.

- Na Boga! - zawołał Dimas.

Bernardo miał wrażenie, że oczy Dimasa w jednej chwili zmieniły się w dwie mętne, bezdenne studnie.

- Słyszałem, że są jakieś potworki na wolności, ale nie myślałem... - Przerwał ze wzrokiem utkwionym w jednoroźcu, a potem w Yebrze.

Ñuño przedstawił dziewczynę:

- To Yebra, Yebra z Coiro. Pomogła nam schwytać jednoroźca.

Dimas podszedł do niej, jakby chciał w jej rysach rozpoznać kogoś, kogo znał niegdyś bardzo dobrze.

- Z Coiro - szepnął. - Jak... Jan z Coiro. Yebra skinęła głową.

- Był moim bratem - powiedziała z nagłą nieśmiałością.

Wtedy Dimas na chwilę zamknął oczy i jak gdyby nagle wszystko pojał, popatrzył znów na jednoroźca i zwierzęta w klatce. Wreszcie wbił swoje błękitne przenikliwe spojrzenie w Yebrę.

- Gdzie jest księga? - Lodowaty ton, którym wypowiedział te słowa, sprawił, że Bernarda przeszedł dreszcz. - Gdzie *Porta Coeli*?

Nuño i Bernardo stali skonsternowani. Yebra jednak doskonale zrozumiała pytanie.

- Nie mam jej - odparła po prostu.

- Na Boga! Na Boga! - powtórzył Dimas. - A więc to wszystko prawda! Boże w niebiesiech!

Yebra spuściła wzrok, potwierdzając tym gestem jego słowa.

Bernardo i Nuño spojrzeli po sobie ze zdumieniem. Nic nie rozumieli. Czuli się tak, jakby nagle wykluczono ich z wydarzeń, w których, jak im się zdawało, brali udział.

CZESC II

Historia Jana

Zapadła już noc, ale choć Bernardo był bardzo zmęczony, natłok myśli kłębiących się w głowie nie dawał mu zasnąć. Ułożył się na sienniku. Minęło już wiele czasu, od kiedy ostatnio spał w Świętej Ceklinie. Kiedy tu studiował, lata temu, jego cela też była wykuta w skale i bardzo podobna do tej, którą obecnie zajmował. Mimo panujących w niej ciemności i wilgoci z czasem zaczął ją uważać za swój dom.

Nieraz spoglądał wstecz i wspominał szczęśliwe lata spędzone w klasztorze. Kiedy tu mieszkał, nie w pełni to doceniał, jednak później, gdy musiał stawić czoła życiu, czasami tęsknił za tymi kamiennymi murami, gdzie wszystkiego się nauczył, gdzie stał się mężczyzną, gdzie cieszył się wiedzą, braterst-

wem i przyjaźnią ludzi, których przywykł uważać za swoją prawdziwą rodzinę.

Dlatego teraz, w niedawno pobielonej celi, pachnącej świeżym sianem, wilgocią i tą trudną do uchwycenia wonią Świętej Cekliny, poczuł, że wraca do czasów swojej młodości, kiedy przez okienka klasztoru wpatrywał się w horyzont, las, góry i kiedy wszystko jeszcze wydawało się możliwe.

Bernardo przewrócił się na drugi bok i wyteżył umysł, by szczegółowo przypomnieć sobie ostatnie wydarzenia.

Początkowo na dziedzińcu klasztornym panował chaos. Kiedy Victor zrozumiał, że stoi naprzeciw niego coś, czego nie może zobaczyć, a co Dimas doskonale widzi, zaczął obchodzić jednorożca dokoła, nie mogąc uwierzyć, że coś tam jest. Przyszło więcej postulików, lecz tylko jeden z nich zobaczył zwierzę; on właśnie zaprowadził jednorożca do stajni. Klatki z małymi stworkami zabrał sam Dimas, który nieznośnym sprzeciwu tonem nakazał wszystkim, by poszli za nim. Bernardo ruszył za przeorem, z Nuńem i Yebrą u boku. Z trudem nadażał za wielkimi krokami przełożonego wspólnoty. Kiedy obejrzał się za siebie, ujrzał, że na dziedzińcu wybuchła wrzawa. Służący, postulanci, nowicjusze i bracia zakonni rozprawiali z ożywieniem, na ich twarzach malowało się zdumie-

nie lub przerażenie. Niektórzy śmiali się z powątpiewaniem, słysząc tak dziwne nowiny.

- Wszyscy do swoich zajęć! - rzucił im przez ramię Dimas. - Weźcie się za coś pożytecznego, zamiast plotkować jak stare kumoszki!

Posłuszni i zdyscyplinowani rozproszyli się, nie przestając jednak kierować zaintrygowanych spojrzeń w kierunku stajni, gdzie kryło się legendarne stworzenie, które tylko nieliczni z nich mogli zobaczyć.

Bernardo z przyjemnością szedł przez chłodne korytarze klasztoru pogrążone w wilgotnym półmroku. Znów czuł specyficzny zapach klasztornej jadalni.

O tej porze refektarz był pusty i tam też zaprosił ich Dimas. Gdy dotarli na miejsce, Dimas usiadł na ławie i postawił przed sobą na stole klatkę ze stworkami. Chwilę obserwował je w milczeniu. Nuño siadł obok. Pozostała dwójka stała.

- Wydaje mi się, że widziałem kilka razy - odważył się wreszcie powiedzieć Bernardo - niebieskie promienie, które przepływają między nimi.

Dimas westchnął.

- Jan zdołał to zrobić, prawda? - powiedział, ignorując słowa Bernarda i zwracając się wyraźnie do Yebry. - Otworzył Wrota, tak?

Dziewczyna skinęła głową.

Bernardo poczuł się wykluczony z rozmowy. Miał wrażenie, że Yebra się boi. Po jej policzku potoczyła

się łza i wtedy zrozumiał, jak silne uczucia skrywa pod maską spokoju.

- Wrota są otwarte - oświadczył Dimas takim głosem, jakby mówił sam do siebie; potem ocknął się z zamyślenia i dodał: - Podobno widziano dziwne stworzenia blakające się gdzieś na północy, ale nigdy bym nie pomyślał... Gdzie jest księga? Gdzie jest *Porta CoelP*. - przeor postarał się, by jego głos zabrzmiał łagodnie, gdy zwrócił się z tym pytaniem do Yebry.

Rzuciła mu spojrzenie swoich mrocznych oczu.

- Została... po tamtej stronie.

- No tak... - Przerwał na chwilę. - Więc to nie legenda... - Znów wrócił do rzeczywistości i zauważył obecność Nuña i Bernarda. - A wy? Jak mogliście do tego dopuścić?

- Oni nic nie wiedzą - szybko wtrąciła Yebra. - Oni po prostu natknęli się na jednorożca... i na mnie.

Przeor raz jeszcze westchnął. Przyjrzał się zdezorientowanym obliczom braci, których znał tak dobrze, a potem popatrzył w twarz Yebry.

- Twój brat był młodzieńcem niezwykle obiecującym; miał wrodzoną inteligencję i ogromną ciekawość świata. Być może zbyt wielką. I tę tak typową dla młodości straceńczą odwagę...

- Dimas cmoknął zatroskany. - Bez wątpienia niebezpieczne połączenie. - Na moment zamilkł, pogrążywszy się we wspomnieniach.

- Jan był świetnym skrybą i iluminatorem - wyjaśnił im Dimas, jakby dopiero teraz w pełni zdał sobie sprawę z ich obecności. - Sam Bóg obdarzył go talentem. Dzięki jego cudownej ręce kopie przewyższały oryginały. A jego ryciny roślin i kwiatów, takie szczegółowe... Och! Doprawdy nigdy nie mieliśmy nikogo lepszego - teraz zwrócił się do Yebry. - Jan był zdyscyplinowanym zakonikiem, opanował też wszystkie sztuki walki, wiele się modlił... Tak, próbował być dobrym uczniem Świętej Cekliny, ale jego miejsce było w bibliotece, w skrytorium - ręce przeora gestykulowały, jakby nagle zaczęły żyć własnym życiem. - Kochał bibliotekę, dlatego gdy poprosił o przydzielenie go tam, by mógł poświęcić się kopiowaniu manuskryptów i iluminowaniu ich, oczywiście zgodziliśmy się. Myślałem, że odnalazł swoje miejsce na świecie i że zostanie tam na zawsze. Nie raz udowodnił swoją bystrość, dlatego dałem mu dostęp do najdziwniejszych ksiąg... również do zakazanych.

Dimas zwrócił się do dawnych uczniów klasztoru.

- Nie wiedzieliście o tym, prawda? Miłujemy wiedzę i staramy się nią ze wszystkimi dzielić, a jednak - westchnął - są księgi, kilka ksiąg, których ze szczególnych względów zazdrośnie strzeżemy.

Przerwał na chwilę i przeciągnął ręką po swych rzadkich włosach.

- Wy dwaj, bracia, zasługujecie na to, by poznać historię Jana, bo już na zawsze pozostanie częścią waszej własnej historii. Historię Jana i *Porta Coeli*, najdziwniejszej ze wszystkich ksiąg...

Bernardo usiadł obok Yebry. Czuł zimny powiew. Tylko nieliczne smugi słonecznego światła wpadały przez wąskie okienka refektarza.

- Mamy parę kopii starych ksiąg hermetycznych; niektóre z nich są ostatnimi, jakie się zachowały. Bezbożne księgi, które starożytni uważali za święte, a których oryginały uległy zniszczeniu podczas pożaru wielkiej biblioteki Aleksandryjskiej: Marinus, Proklos, Hermes Trismegistos, wyrocznie Chaldejskie, Poiman-dres, Asklepios... Wśród nich była jedna, najbardziej osobliwa ze wszystkich - ciągnął Dimas - *Porta Coeli*, pogańska księga. Była to grecka kopia, bardzo zniszczona, sporządzona prawdopodobnie na podstawie egipskiego oryginału. Miała zaskakujące ryciny, pełne dziwacznych zwierząt i roślin, w bardzo swoistej manierze. Zawsze myśleliśmy, że to owoc czyjejś wybujałej fantazji, bo w żadnej innej księdze nie natknęliśmy się na nic podobnego.

Yebra poruszyła się niespokojnie.

- Była to księga incjacyjna, ale zarazem opowiadała historię, która wydawała mi się całkiem nierealna... po prostu bajkę! Jak wam to wytłumaczyć? To było coś szczególnego... Przeczytałem ją i wielu rzeczy nie zrozumiałem. Na wstępie księga opowiadała o życiu

rajskim poprzedzającym upadek człowieka, potem była mowa o astrologii, przesileniach: zimowym, które nazwano Wrotami Bogów, i letnim - czyli Wrotach Ludzi. Tradycja zawsze wiązała przesilenia ze zjawiskami nadprzyrodzonymi, sami przecież wiecie, stare legendy opowiadają o Wrotach, które się w tym czasie otwierają i łączą nasz świat z innym. Bajki dla dzieci! A jednak ta księga była... wyjątkowa, powtarzam i będę się przy tym upierał - Dimas próbował coś sobie przypomnieć - bo potem następowała druga część i tam... Zawsze wydawało mi się to absurdalną zabawą, niewiarygodną stratą czasu. Sami pomyślcie: poświęcić lata na napisanie książki, która wedle naszej oceny była zbiorem majaków chorej wyobraźni.

Z jakiegoś powodu na usta Dimasa wypłynął lekki uśmiech.

- Bo ostatnią część *Porta Coeli* stanowiły dzieje podróżnika, który zdołał przedostać się do tamtego drugiego świata... i księga opisywała to szczegółowo: rośliny, zwierzęta, te najmniejsze i największe... Pamiętam, jak gdybym właśnie miał ją przed oczami - stanowczym gestem wskazał stół - rycinę przedstawiającą jednorożca, identycznego jak ten, którego przyprowadziliście!... Wreszcie, oprócz opisu tego dziwnego świata - przeor spojrział na stworzonka zamknięte w klatce, a potem szybko rozejrzał się dookoła, jakby w obawie, że ktoś może ich usłyszeć,

- *Porta Coeli* opowiadała, jak otworzyć Wrota, które do niego prowadzą.

Bernardo uniósł brwi w niemym zdumieniu. Yebra dalej nerwowo wierciła się na ławie.

- Inny świat! - powtórzył Nuño, chcąc zachęcić przeora, by mówił dalej.

- Jan miał dostęp do wszystkich ksiąg. Do wszystkich! Do tych zakazanych szczególnie go ciągnęło. *Porta Coeli* stała się jego obsesją. Najpierw zaczął kopiować ryciny, jakieś dziwne fantastyczne zwierzęta, które zgodnie z tym, co dyktowała mu bujna fantazja, obdarzał nowymi ekstrawaganckimi barwami. „Dlaczego nie poświęcisz swojego talentu na coś bardziej pożytecznego, zamiast trwonić go na te bezsensowne i fantastyczne zabawy?” - pytałem go czasem. Ale poza tym niczego nie mogłem mu zarzucić, bo Jan zawsze wywiązywał się ze swoich obowiązków, nadal wiele się modlił, studiował ojców Kościoła i kopiował ryciny roślin z manuskryptu Teofrasta, co było jego głównym zadaniem. Lecz zawsze, gdy tylko znalazł wolną chwilę, sięgał po „swoją” księgę, po *Porta Coeli*.

Dimas ze znużeniem podparł głowę rękami i raz jeszcze przeciągnął dłonią po siwych włosach nerwowym ruchem. Jego błękitne oczy błyszczały niepokojąco.

- Pamiętam, że pewnego dnia Jan powiedział mi: „A jeśli to nie są wymysły? A jeśli ten podróżnik

z księgi napisał prawdę?" Chyba nawet mu nie odpowiedziałem, tak bezsensowne wydały mi się jego wątpliwości. On jednak nie rezygnował, wciąż do tego wracał. „Mistrzu, te opisy są tak przekonujące, tak szczegółowe. Czasem myślę, że świat, o którym księga opowiada... wszystkie wskazówki, które nie do końca rozumiemy... że to wszystko prawda. A my po prostu nie jesteśmy w stanie ich pojąć, bo księga jest zbyt zniszczona, a nasza wiedza za mała... jeszcze. Naprawdę, myślę, że to coś więcej niż wizje umysłu opanowanego przez majaki". Zignorowałem jego słowa i znów zapytałem, czemu anonimowy autor, czy też autorzy, postanowił poświęcić swoje życie na owe fantastyczne zabawy.

Tym razem gest Dimasa wyrażał raczej przygnębienie.

- Minął jakiś czas. Myślałem, że Jan zapomniał o księdze, bo nagle zainteresował się innymi manuskryptami: greckimi traktatami z zakresu geografii, geometrii, arytmetyki, a zwłaszcza astronomii... Znów minął jakiś czas; nie umiałbym wam powiedzieć, jak długo to trwało. Jan stał się prawdziwym mołem książkowym. Żył tylko po to, by studiować księgi w naszym skryptorium. A ja, niech Bóg mi wybaczy, byłem z niego dumny, cieszyłem się z jego żądzy poznania. Aż nagle, pewnego dnia, zniknął! Jan opuścił Świętą Cerkiew.

Niebieskie oczy przeora zasnuły się mgłą, wspomnienia wydobyte z mroków przeszłości odżyły na nowo.

- Ukradł konia, ślicznego, silnego araba. Odszedł nocą, jak przestępca. Jego ucieczka zupełnie mnie zaskoczyła. Sami wiecie, że nikogo nie zmuszamy, by przebywał w klasztorze. Jeśli ktoś chce go opuścić, po prostu to robi. Wszyscy jesteśmy tu z własnej woli. Ale on uciekł chyłkiem. Odjechał, nie pożegnawszy się z nikim, nic nikomu nie mówiąc. Jak pospolity złodziej, bo okradł nas, swoich braci!

Dimas wbił spojrzenie w Yebrę. Nie odwróciła wzroku.

- Obraziłem się, przyznaję, obraziłem się na twojego brata, ponieważ nie potrafiłem wytłumaczyć sobie jego ucieczki. Dopiero później, och, jakiś miesiąc później, zorientowałem się, że nie tylko konia nam zrabował. Zabrał też księgę! *Porta Coeli*! Nasz jedyny egzemplarz, najdziwniejszy, jedną z ksiąg zakazanych! *Zabrał* również kopię, nad którą pracował. Wtedy zrozumiałem przyczynę ucieczki: powodem była ta księga, jego obsesja... Tak, przyznaję, przez moment przeszło mi przez głowę, że może zechce poszukać owego fantastycznego świata, ale w tej samej sekundzie odrzuciłem tę myśl jako absurdalną. Mijały lata, starałem się o wszystkim zapomnieć. A teraz... teraz te dziwolągi... - Dimas pokręcił głową. - Jan się nie mylił, a wszystko, o czym mówi księga, jest prawdą. Istnieje drugi świat wewnątrz tego, który znamy, te dziwaczne zwierzęta są realne, ale nie wszyscy mogą je zobaczyć, tak jak pisano w *Porta Coeli*.

Bo dostęp do tamtego świata mają tylko nieliczni, wybrańcy pogańskich bogów, w których wierzyli starożytni.

Bernardo poczuł, że wnętrzności zaciskają mu się w twardy węzeł. Wątpliwości wobec tego, co mówił przeor, walczyły w nim ze zdrowym rozsądkiem.

Dimas tymczasem zakończył swoją opowieść, jakby każde wypowiedane słowo sprawiało mu ból.

- Pamiętam skomplikowane wskazówki, jak otworzyć Wrota do tamtego świata; przypominały raczej jakieś zaklęcia. Ale Janowi to się udało, prawda?

Yebrą westchnęła i patrzyła na nich, jakby sama nie wiedziała, czy ma się odezwać. Niezależnie od tego, co przemknęło jej przez głowę, wreszcie zdecydowała się opowiedzieć historię swoją i Jana.

- Dimas ma rację. Prawda wam się po prostu należy - jej poważny kobiecy głos zabrzmiał w refektarzu cicho, lecz pewnie. - Jan zdołał otworzyć Wrota i weszliśmy do tamtego świata.

Mieli wrażenie, że czas zatrzymał się, gdy wypowiadała te słowa. Błękitne oczy Dimasa otworzyły się szeroko. Nuńowi wyrwał się okrzyk zdumienia. Bernardo poczuł, że coś w jego wnętrznościach skręca się gwałtownie, jakby zbliżało się nieuniknione.

- Wrota do tamtego świata są rozrzucone po świecie, znajdują się obok miejsc, które nazywacie miejscami mocy - oświadczyła z przekonaniem. - Niegdyś były zamknięte, ale wystarczy otworzyć jedno,

by wszystkie inne, jakby dotknięte tą samą mocą, też się otworzyły.

Bernardo siedział jak skamieniały. Jego gęste brwi zastygły w grymasie nieustającego zdumienia.

- Jan tłumaczył mi, że przed wiekami Wrota znajdowały się dokładnie w miejscach mocy, ale potem, nie wiem dokładnie dlaczego... Mówił, że Wrota się przemieszczają, jak gwiazdy... Niestety, nie wszystko zrozumiałam... ale wiem, że Wrota coraz bardziej oddalają się od miejsc mocy.

Bernardo przypomniał sobie, że Świętą Ceklinę wybudowano w dawnym miejscu mocy i jego ciało przebiegł dreszcz.

- Wszystkie Wrota były zamknięte i trzeba było wybrać jedno, które najłatwiej było otworzyć, i które umożliwiłyby dostęp do wszystkich pozostałych, dzięki czemu oba światy zostałyby na nowo połączone. Można to zrobić tylko raz w roku, w noc świętojańską.

Opowiadała historię Jana, swojego ukochanego brata, i słowa wydawały się palić jej gardło. Westchnęła ciężko, lecz ciągnęła dalej:

- Ale nie znacie jeszcze całej prawdy. Jan ukradł księgę, tak, miał obsesję na jej punkcie, a kiedy porzucił Świętą Ceklinę, wrócił po mnie. Wrócił do Coiro tylko po mnie! - powiedziała z dumą. - Księga opanowała jego umysł i wolę, ale nie od razu mi to wyznał. Najpierw tylko uczył mnie wszystkiego, co sam umiał: właściwości roślin, medycyny, trochę

arytmetyki... Nauczył mnie też walczyć, tak jak wy uczycie swoich uczniów. Wszystko, co umiem, umiem dzięki niemu. Czuję się niemal, jakbym sama tu studiowała... Jednak Jan potrzebował innych ksiąg, żeby zrozumieć *Porta Coeli*; musiał dokonać obliczeń, przetłumaczyć parę fragmentów, których sensu nie był pewien. Potrzebował danych, których nie znalazł w Świętej Ceklinie. Ruszyliśmy zatem w podróż na poszukiwanie ksiąg; byliśmy w Pietra, w Cuellar, w Sijena... To były moje najszcześniejsze lata.

Yebara odruchowo podniosła dłonie do medalionu ze spiralą. Dimas przyjrzał jej się, jakby widział ją po raz pierwszy.

Dziewczyna zamilkła na chwilę i znów zanurzyła się we wspomnieniach.

- Wreszcie spędziliśmy prawie trzy lata w Toledo; z czasem Jan coraz bardziej zamykał się w sobie. W Szkole Tłumaczy znalazł odpowiedź na niektóre ze swoich pytań, nawiązał kontakt z kilkoma mędrkami ze Wschodu. Zarazem stawał się coraz bardziej milczący i podejrzliwy. Jadł coraz mniej... Wiedziałaam tylko tyle, ile sam mi powiedział: że szuka czegoś, co jest opisane w księdze, a czego nie może znaleźć... Aż wreszcie któreś nocy obudził mnie jego szaleńczy śmiech. „Byłem głupcem”, powiedział mi. „Szukałem kluczy strażnika niebiańskich wrót, a przecież nie chodzi o klucze, tylko o tworzywo, z którego są zrobione... Potrzebuję zwykłego żelaza! Jak najczyst-

szej próby." Śmiał się, jakby postradał zmysły. Przeleżałam się; dopiero gdy zrozumiałam, że znalazł to, czego tak długo szukał, również się uśmiechnęłam... Nasze ostatnie dni w Toledo były bardzo dziwne. Jan odzyskał swoją zwykłą żywotność i radosne usposobienie. Powiedział mi, że wyruszamy w podróż, ale że musimy poczekać kilka miesięcy, bo powinniśmy dotrzeć do celu podróży w noc świętojańską. Dopiero wówczas wyjawiał mi, co chce zrobić: otworzyć Wrota do innego świata zgodnie ze wskazówkami z *Porta Coeli*. - Przerwała na chwilę i uśmiechnęła się lekko. - Istnienie jakiegoś drugiego świata wydawało mi się nieprawdopodobne, ale kiedy mój brat o nim mówił, oczy tak mu błyszczały, że wreszcie udzielił mi się jego entuzjazm i pragnienie otworzenia Wrót. Przekonał mnie, że tamten świat jest przepiękny i czysty, że jest źródłem naszego świata, natury... Źródłem czystej mocy.

Bernardo patrzył w błyszczące oczy Yebry i zrozumiał, że ślepo wierzyła swojemu bratu.

- Tym sposobem, gdy dni stały się dłuższe, porzuciliśmy Toledo i skierowaliśmy się na wschód. Nie byłam pewna, czy uda nam się znaleźć Wrota, które stały się jego obsesją, ale szłam za nim z ufnością. Z wiarą w niego i jego wiedzę. - Yebra zaczerpnęła oddechu, by ciągnąć dalej. - Jechaliśmy około dwudziestu dni, aż któregoś ranka porzuciliśmy bite trakty i zanurzyliśmy się w lesie tak gęstym, że przebycie

jednej doliny zajmowało nam całe godziny. Wykorzystaliśmy koryto strumienia, by dotrzeć na szczyt, na którym znajdowało się miejsce mocy. Nigdy więcej nie widziałam czegoś podobnego; były tam znaki wyryte na skałach i ogromne głazy... - wspomnienie było tak żywe, że Yebra miała wrażenie, iż wszystko, co wtedy widziała, na nowo przesuwa się przed jej oczami - ...ułożone w kręgu. Nie mam pojęcia, jak ktoś zdołał je tam umieścić, bo wyglądało to jak budowla wzniesiona przez gigantów. Stamtąd poszliśmy dalej przez gęsty, ciemny las, cały czas prosto, aż wreszcie dotraliśmy do miejsca, które pozornie niczym się nie wyróżniało.

Yebra nagle spoważniała. Przez jej twarz przebiegł skurcz przerażenia. Bernardo zrozumiał, że za chwilę pozna sekret jej przedwcześnie posiwiałych włosów.

- „To tutaj”, powiedział Jan. „Może będziemy musieli poczekać kilka godzin, a nawet dni... zobaczymy”. Dopiero wtedy, dwa dni po Świętym Janie, gdy czekaliśmy w tym dziwnym miejscu, wyjawiał mi coś, o czym dotąd nie wiedziałam: że ukradł ze Świętej Ceklina księgę! Zresztą nie tylko księgę, także konia, wierzchowca, o którym myślałam, że należy do niego. Pomyślicie, że jestem niemądra, ale to przerażyło mnie bardziej niż opowieści o drugim świecie i Wrotach, które lada chwila miały się otworzyć. Ukradł konia i księgę! Za to grozi stryczek! Jan był rabusiem. Człowiek, któremu ufałam najbar-

dziej na świecie i którego zawsze uważałam za wzór wszelkich cnót, był pospolitym złodziejem... - Yebra poruszyła się nerwowo na ławie, po czym znów podjęła swą opowieść: - Przygotowaliśmy miejsce. Narysowaliśmy na ziemi dziwne symbole, ustawiliśmy kamienie tak, jak to pokazywała rycina w księdze. Na każdym głazie położyliśmy sztabkę żelaza. Przyjemne letnie słońce ogrzewało las, gdy nagle, nie wiem czemu, poczułam, że grozi nam niebezpieczeństwo. Dostałam gęziej skórki, zadrżałam z zimna, choć słońce nadal świeciło. „Janie! Co się dzieje?“, krzyknęłam. On też to zauważył. „To Wrota się zbliżają“, odparł. Wtem owionął nas dziwny powiew. Liście drzew zadrżały w nienaturalny sposób, jak gdyby chciały zapowiedzieć nadchodzącą burzę, mimo że słońce wciąż świeciło na niebie. Bałam się. „Weź swoje rzeczy“, polecił mi Jan, a sam przewiesił przez ramię torbę. „Chodź! Szybko!“. Złapał mnie za rękę i pociągnął mnie w kierunku tajemniczego wiru powietrznego, zbliżającego się do nas i do symboli, które nakreśliliśmy na ziemi. Wyciągnął z torby wielką sztabkę żelaza zdobytą w Toledo i trzymał ją mocno. Wyrecytował na głos kilka formuł w języku, którego nie znałam i który przywiódł mi na myśl szatańskie zaklęcia. Potem zamilkł. Czekaliśmy w milczeniu. Myślałam, że umrę ze strachu. Wokół nas wirowała trąba powietrzna, powoli, jakby na coś czekała. „I co teraz?“, zapytałam przerażona. Musiałam krzyknąć,

by mnie usłyszał. Jan spojrzał na mnie z góry. Uśmiechnął się, dodając mi otuchy. „Nie wiem, siostrzyczko. Naprawdę, nie wiem co dalej”. Tamte spojrzenie i uśmiech mojego brata wracają do mnie zawsze, ilekroć o nim myślę. Wtedy ostatni raz widziałam, jak się śmieje. Był szczęśliwy jak ktoś, kto wreszcie osiągnął to, o czym od dawna marzył.

Yebra westchnęła, jak gdyby z trudem przychodziło jej porzucenie tych wspomnień i powrót do terażniejszości.

- Nie wiedziałam, że wszystkie okropieństwa świata skoncentrowały się w tych Wrotach... „Chodźmy!”, krzyknęłam do niego. To ja... - głos zaczął jej się łamać - to ja poprowadziłam go do trąby, która stawała się coraz większa i wciąż się do nas zbliżała. Stanęliśmy naprzeciw niej, odważni, ufni, trzymając się za ręce, i wtedy... wchłonęła nas! Siła, która nas porwała, była zupełnie inna, niż się spodziewałam - teraz mówiła niemal szeptem. - To było jak porywisty wiatr, ale nie miał żadnego kierunku, targał nami we wszystkie strony na raz! Myślałam, że rozerwie mnie na kawałki. Nie patrząc na siebie trzymaliśmy się z Janem kurczowo, a z moich ust wydarł się mimowolny skowyt. Wyłam z całej siły, a jednak nic nie słyszałam, nawet własnego głosu. Potem rozległ się grzmot i poczułam uderzenie w głowę. Miałam wrażenie, jakby za chwilę wnętrzości miały mi wypłynąć ustami.

Yebra patrzyła na nich błyszczącymi oczami, a łzy zawisły jej na rzęsach.

- Nie umiem wam lepiej opisać tego, co czułam. Byłam pewna, że umieram, że nie wytrzymam ani chwili dłużej tej siły, która targała mną na wszystkie strony.

Bernardowi przypomniła się scena, której świadkiem był jako dziecko. Mimo właśnie rozwłóczyć młodego mężczyznę, wasala, którego pan tamtych ziem pragnął przykładowo ukarać za próbę oszustwa przy płaceniu podatków. Skazańca przywiązano do czterech mułów, każdą rękę i nogę do innego, a potem czterech poganiaczy uderzyło zwierzęta batami, by każde ruszyło w swoją stronę. W pewnym momencie rozległ się trzask, kości nieszczęśnika oddzieliły się od mięśni, a strzepy rozerwanego ciała osunęły się w piach, wyrzucając z siebie kałużę gęstej krwi, która wkrótce przyciągnęła roje much. Choć wcześniej widział już śmierć wielu zwierząt, tamta egzekucja na długo utkwiała mu w pamięci.

- Ja wiem... - kontynuowała Yebra. - Wiem, że popychana tym piekielnym wiatrem poddałam mu się. Pozwoliłam, by mnie zabrał, dokąd zechce! Mógł mnie nawet rozerwać na strzepy, mniej by mnie wtedy bolało. Dużo mniej. Po czasie, który wydał mi się wiecznością, otworzyłam oczy. Całe ciało miałam obolałe. Widziałam tylko cienie w mroku. Znow zaciśnęłam powieki. Nie wiem, ile czasu

upłynęło i co jeszcze się wydarzyło, bo po raz kolejny straciłam przytomność.

Yebra spuściła wzrok na swoje mocno zaciśnięte dłonie.

- Gdy się obudziłam, wszystko mnie bolało. Leżałam na ziemi. Rozejrzałam się wokół; pomyślałam, że nadal jestem w lesie...

Dziewczyna zamrugła, wydawało się, że szuka w swych słuchaczach oparcia, siły, by opowiadać dalej.

- Ale szybko zdałam sobie sprawę, że znajduję się na polanie, w niczym nieprzypominającej lasu, w którym czekaliśmy na otwarcie Wrót. Drzewa były wyższe, ich korony dziwnie wydłużone, a światło było żółtawe, jak o zmierzchu. Wstałam i... zobaczyłam go na ziemi, kilka metrów dalej... - jej głos stał się niemal niesłyszalny. - Nie żył. Wrota go zabiły.

Zamilkła na długą chwilę.

- Znalazłam się po drugiej stronie, w świecie, który mój brat tak bardzo pragnął poznać, ale nie zdołał tego dokonać. Byłam sama. Nie wiem, ile czasu tam spędziłam, bo kiedy zrozumiałam, że powinnam liczyć dni, upłynęło ich już wiele. Może osiem, może dziewięć miesięcy, może rok. Nie wiem... zresztą to bez znaczenia.

Dimas uniósł brwi, jakby sam siebie pytał, czy to możliwe, że ta dziewczyna, która teraz przed nim siedziała, rzeczywiście spędziła tyle czasu w innym świecie.

- Pochowałam Jana... Zachowałam jego medalion. Uczyniłam sobie z tamtego miejsca mój dom i postanowiłam czekać... Czekać, aż Wrota powrócą, jeśli to prawda, że się przemieszczają... Światło było tam inne, zima łagodniejsza... Marzyłam jednak tylko o tym, by przetrwać i wrócić. Obeszłam całą okolicę; wyglądało na to, że znalazłam się w środku lasu bez końca. - Yebra zaczęła mówić nieco szybciej. - Napotkałam jednoroźca, dziwaczne stworzenia, podobne do tych na rycinach w przeklętej księdze, która opętała mojego brata i którą miałam ze sobą w tamtym niezwykłym świecie. Któregoś dnia odkryłam, że posiwiłam. - Dziewczyna musnęła odruchowo swój warkocz. - A później, dużo później, kiedy niemal straciłam nadzieję, że uda mi się jeszcze wrócić, że zdołam odnaleźć Wrota, wszystko się powtórzyło. To było dziwne, czułam, że się zbliżają, gdy były jeszcze daleko, wiedziałam o tym, tak jakby fakt, że przez nie przeszłam, w jakiś sposób mnie na nie uwrażliwił. Czekałam, bojąc się straszliwego momentu przejścia. Ale za drugim razem nie było to tak przerażające. Wiedziałam, co się stanie, byłam na to przygotowana i pozwoliłam się wchłonąć. Zawczasu poddałam się sile, która miała mnie porwać. I wróciłam do naszego świata... - zamrugła, jakby chciała coś sobie lepiej przypomnieć - ale nigdy, już nigdy nie byłam tą samą osobą, co przedtem...

Yebra tak wyraźnie zaakcentowała słowa: „nigdy, już nigdy”, że Bernardo zrozumiał, iż miała na myśli

swoje moce; musiała zatem odkryć je już po powrocie z tamtego świata.

- Jan otworzył pierwsze Wrota. Wraz z nimi powinny otworzyć się pozostałe, jedno po drugim, poruszane tą straszliwą siłą, którą uwolniliśmy. Teraz... Wrota są otwarte i istoty stamtąd przechodzą na naszą stronę. Wiem o tym. Jest ich coraz więcej. Są bezbronne... - skończyła niemal szeptem.

- Ja zobaczyłem jednorożca i inne mniejsze stworki w Cruceiro. Tam w pobliżu jest miejsce mocy - wtrącił Nuño. - Właśnie dlatego pojechałem po Bernarda. Przekonałem go, by ruszył wraz ze mną na poszukiwanie tych zwierząt, które nie wszyscy mogą zobaczyć...

- Tam spotkaliśmy Yebrę - dodał jego przyjaciel.

- Te zwierzęta żyją w pobliżu Wrót - wyjaśniła dziewczyna - i coraz więcej z nich przechodzi do naszego świata.

Dimas wstał. Westchnął. Przez dłuższą chwilę przyglądał się im. Zmęczonym gestem oparł ręce na stole.

- Najgorsze, że Wrota są nadal otwarte. To tłumaczy wszystko. Im dłużej pozostaną otwarte, tym więcej stworzeń się tu przedostanie. - Zrobił nieco teatralną pauzę i spojrzał im prosto w oczy. - Trzeba zamknąć przejście.

Głos przeora był chłodny jak lód, rozbrzmiał ponurym echem i sprawił, że Yebra podskoczyła na swoim miejscu.

- *Porta Coeli* ostrzegała przed tym, ostrzegała przed zagrożeniami otwarcia Wrót, mówiła o wzajemnym zanieczyszczeniu się dwóch nieprzystających do siebie rzeczywistości - ciągnął przeor. - Te istoty przechodzą na naszą stronę. Co będzie się tu działo, gdy nasz świat zapełni się stworzeniami, które tylko niektórzy mogą zobaczyć?

Dimas spojrział po kolei na każde z nich.

- Tak, mówiono mi już, że jakieś dziwaczne stworzenia pokazują się na północy. Na razie to pojedyncze przypadki, ale im dłużej Wrota pozostaną otwarte, tym większe będzie zanieczyszczenie... Trzeba zamknąć przejście! - powtórzył z niezwykłą dla siebie powagą.

Przeor wbił w nich spojrzenie błękitnych oczu, które teraz straciły swoje wcześniejsze ciepło i stały się twarde jak stal.

- Yebro, wiesz, jak zamknąć Wrota?

- O tym Jan nic nie mówił - pokręciła głową.

- Stale opowiadał tylko o otwieraniu Wrót, o zamykaniu nigdy.

- Księga mówi też o sposobie zamykania Wrót

- powiedział Dimas. - Ale *Porta Coeli* została po drugiej stronie... - Jeszcze raz przyjrzał się ich twarzom i dodał: - A zatem, trzeba tam po nią wrócić, przyjaciele.

Bernarda zaskoczyło słowo „przyjaciele”, bo Dimas zawsze nazywał ich braćmi. Ta drobna zmiana zaniepokoiła go bardziej niż cokolwiek innego.

Przeor czekał na odpowiedź.

- Proszę was, aby żadne słowo, które wypowiedzieliśmy teraz w tym pomieszczeniu, nie wyszło na zewnątrz - głos Dimasa przypominał raczej rozkaz niż prośbę. - Istnienie innego świata musi pozostać tajemnicą. Skutki mogłyby być...
- Zawahał się chwilę nad właściwym przymiotnikiem - ... zbyt niebezpieczne.

Choć słowa były łagodne, ton głosu zabrzmiał jak groźba.

Yebra jako pierwsza przerwała milczenie, które trwało przez kilka długich sekund.

- Nikomu nic nie powiem o tamtym świecie. Przez wszystkie te lata milczałam. I nie zamierzam przerywać tego milczenia teraz, tylko po to, by dostarczyć komuś pretekstu do spalenia mnie na stosie. I możecie być pewni, że nigdy więcej nie przekroczę Wrót. Nie liczcie na mnie w tej sprawie, „przyjaciele”.

Stanowczość, z jaką to powiedziała, przekonała Bernarda, że żadna groźba nie zmieni jej postanowienia. „Przyjaciele” w jej ustach zabrzmiało tak, iż ciarki przeszły mu po plecach. Yebra i Dimas porozumiewali się najwyraźniej jakimś kodem, który mu się wymykał, a zarazem stanowił dlań zagrożenie.

- Ojczy, możesz liczyć na moją dyskrecję - odezwał się Nuño. - Masz moje słowo.

- I moje... - Bernardo spojrział na Yebkę, bo tak naprawdę nie mówił tego do przeora, tylko do niej.

Wiedział przecież co nieco o jej mocach, ale nie zamierzał o nich tutaj wspominać.

- Dziękuję. Zostaliśmy przez Boga wybrani do tej szczególnej misji. Święta Ceklina wita was, bracia... - zwrócił się do Bernarda i Nuña Dimas. - Ty, Yebro, znajdziesz tu schronienie na parę dni... póki nie przekonamy cię, że powinnaś wyruszyć po księgę razem z nami.

Powiedział to tym samym tonem, jakiego używał, żartując. Następnie uśmiechnął się szeroko, a jego błękitne oczy znów błysnęły wesoło, jak gdyby na powrót stał się zwykłym człowiekiem i chciał odzyskać ich zaufanie. Ale ani Bernardo, ani Nuño, ani Yebra nie odpowiedzieli na jego uśmiech. Rozmowa wypełniła serca wszystkich trojga niepokojem i pozostawiła wiele wątpliwości.

Bernardo przewracał się na pachnącym świeżym sianem materacu. Ogarnęło go wielkie znużenie, a wspomnienia minionego dnia zaczęły mieszać się w jego umyśle z dziwacznymi wizjami pochodzącymi z koszmarnych snów. Przypomniawszy sobie, jak późnym wieczorem zobaczył z daleka Yebkę z Nuñem. Dziewczyna stała ze spuszczoną głową, szepcząc. Nuño słuchał uważnie. O czym rozmawiali? O innym świecie? Dlaczego odeszli na bok? Czy zdołał już ją przekonać, że powinna tam z nimi wrócić?

W takich chwilach, trwając na pograniczu jawy i snu, Bernardo zastanawiał się nad powstaniem świata. Jeśli stworzył go przez sześć dni Bóg, prawdziwy Bóg, a teraz okazywało się, że to nie jest jedyny świat... Kto w takim razie stworzył ten drugi? W *Porta Coeli* zimowe przesilenie nazywano „Wrotami Bogów”; ale jakich właściwie bogów, skoro jest tylko jeden?

Nim Bernardo na dobre zapadł w sen, wirowały mu przed oczami ciemne źrenice Yebry, jakieś demoniczne wizje pogańskich bogów i upiorów pląsających w groteskowym tańcu.

O Świętej Ceklinie i misji Bernarda

Bernarda obudziły dzwony na jutrznię, jak przed laty, gdy żył w klasztorze. Ciała tonęła w ciemnościach, do świtu zostało jeszcze kilka godzin. Kiedy otworzył oczy i słuchał dzwonów, przez chwilę wydawało mu się, że znów jest tamtym młodzieńcem, który tu niegdyś studiował. Potrzebował paru sekund, by uświadomić sobie wszystko, co się później wydarzyło.

Choć nie miał już tego w zwyczaju, ubrał się i poszedł na nabożeństwo. Wszyscy bracia musieli przyjść do kościoła trzy razy dziennie: na jutrznię, na mszę poranną i na nieszpory tuż przed zachodem słońca. W innych nabożeństwach nie mieli obowiązku uczestniczyć, mogli po prostu na dźwięk dzwonów

przerwać wykonywaną pracę i pomodlić się tam, gdzie akurat byli.

Kościół wzniesiono z kamienia, z wielkich skalnych bloków ubranych przez czas i wilgoć w szatę ze złocistego mchu. Po wejściu do środka owionął Bernarda mroczny chłód. Jedyne nawa wspierała się na wysokich łukach. Na jej końcu, w prostej nastawie ołtarzowej, królowała figura Chrystusa wyrzeźbiona w drewnie.

Dopiero tam, po raz pierwszy od przyjazdu, poczuł się w Świętej Ceklinie obco. Był inny niż reszta braci, w swoim podróżnym stroju wyróżniającym się na tle morza białych habitów, wśród mnichów, z których nie rozpoznał żadnego. Usiadł zatem w ostatnim rzędzie. Czuł na sobie dyskretne spojrzenia, którymi obrzucali go zakonnicy, kiedy więc zobaczył nadchodzącego Nuño, ucieszył się, że wreszcie widzi jakąś znajomą twarz.

- Witaj! Jak spał waleczny rycerz? - wesoło szepnął mu do ucha Nuño.

- Tak dobrze, jak już dawno mi się to nie zdarzyło.

Bernardo sam się zdziwił własnymi słowami; dopiero teraz uświadomił sobie, że tak było. Spał jak kamień, a od lat już mu się to nie udało. Teraz czuł się naprawdę wypoczęty.

- A Yebra? - Nuño poszukał jej wzrokiem. Bernardo wzruszył ramionami.

- Na jej miejscu też nie przyszedłbym na mszę. Jedyne kobieta wśród tylu mężczyzn...

- Wyróżniałaby się nie bardziej niż dwóch starych awanturników wśród setki zakonników w białych habitach - przerwał mu przyjaciel.

Bernardo uśmiechnął się. Nie było aż taką rzadkością, przynajmniej w jego czasach, że w Świętej Ceklinie pojawiali się na kilka dni jacyś podróżni, a nawet kobiety, choć zwykle były to szlachetnie urodzone damy, które nigdy nie podróżowały same.

- Pamiętasz brata Jeremiasa? - zapytał Nuño.

- Żyje jeszcze? - zdumiał się Bernardo. Jeremias był najpierw jego nauczycielem, a potem prawdziwym przyjacielem. Już wtedy nie należał do najmłodszych.

- Potem, jeśli zechcesz, możemy go odwiedzić.

- Myślałem, że nie został nikt z naszych czasów.

- Niektórzy z nas są niezniszczalni niczym okoliczne dęby i sosny.

Kilka karcących spojrzeń przypomniało im, że powinni zachować ciszę. Zanurzyli się zatem w potoku łacińskich słów i starym dobrze znanym rytuale. Na koniec nabożeństwa w świątyni rozbrzmiał hymn.

Quoniam Rex omnis terrae.

Deus, alleluia: psallite sapienter... Alleluia.

Psallite Deo nostro, psallite, alleluia...

Pieśń przeniosła ich w minione czasy i wyszli z kościoła pełni nowych sił, odmłodzeni, gotowi stawić czoła każdej przeciwności, jaką szykował im los.

Potem Nuño zaprowadził Bernarda do ogrodu. Spotkali tam starego, zupełnie łysego zakonnika, grzebiącego w ziemi drewnianą motyką. Jego szare oczy rozbliły na ich widok.

- Bernardo!

Staruszek uściśnął przybysza. Bernardo wzruszył się, czując przez habit jego żebra, które można było policzyć.

- Jakże się cieszę, że cię widzę! - Jeremias odszedł kilka kroków, jakby chciał obejrzeć swojego dawnego ucznia od stóp do głów. - Ile to już lat, od kiedy cię tu nie było? Pięć?

- Dwanaście, mistrzu, dwanaście. Od kiedy Dimas został przeorem...

- Mój Boże! Jak szybko czas upływa, chłopcze drogi!

Bernardo słysząc, że nazwano go „chłopcem”, nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Niewielu naszych zostało. Masz, potrzyмай

- Jeremias podał mu łopatę. - Nastaly ciężkie czasy...

- Staruszek pochylił się z trudem, by wyrwać kilka chwastów. - Zbyt często wybuchają wojny, młodzi bracia opuszczają klasztor w poszukiwaniu przygód i zostają tylko najstarsi, tacy jak ja... Tak niewielu wraca. Och, nie wyrzucam wam tego, wcale nie. Jednak coraz więcej jest starców w Świętej Ceklinie, musieliśmy zamknąć wiele warsztatów... Tak, tak, nastaly ciężkie czasy! - westchnął.

Jeremias spojrział uważnie na Bernarda.

- Skoro już tu jesteś, chodź tu, chłopcze, wykop mi porządną dziurę. Chcę to zasadzić...

Ruchem ręki pokazał mu młodą wystającą z bryły ziemi mącznicę. Bernardo chwycił drewnianą łopatę i zaczął kopać.

- Potrzebujemy takich jak wy, z głową na karku. - Jeremias wsparł się na Nuńu. - Dobrych żołnierzy, mądrych strategów, oddanych Świętej Cerklinie. Aby formowali nowe pokolenia.

- Na mnie proszę nie liczyć, mistrzu.

- Mnie nie oszukasz, Nuńo. Możesz się śmiać i śpiewać, jak głośno zechcesz, ale tu - wskazał jego serce - kryje się jeden z najlepszych uczniów, jakich miałem. Wiem, ile jesteś wart i zapewniam cię, że za każdym razem, kiedy tu przyjeżdżasz, mam nadzieję, że już zostaniesz na dobre.

- Ma duszę trubadura. Wiecznie w ruchu - wtrącił Bernardo. - Ucięli mu korzenie w dzieciństwie i nigdy już mu nie odrosły. Nie umie długo siedzieć w jednym miejscu.

- Nigdy nie wiadomo, nigdy nie wiadomo... - Na wargach Jeremiasa pojawił się uśmiezek. - Gdybyście wiedzieli, o ilu roślinach myślałem, że już się do niczego nie nadają, a tu nagle, na wiosnę... Nie wiadomo skąd pojawiają się nowe korzenie, pączki, młode listki i rosną z większą żywotnością niż wcześniej.

- To nie mój przypadek - mruknął Nuño. Stary zakonnik uśmiechnął się.

- Weźcie choćby samego Dimasa. Jako uczeń pojechał z misją na wschód, a kiedy już myśleliśmy, że zginął, powrócił. A kilka lat później, patrzcie, gdzie zaszedł! Został przeorem! Nikt by nie przypuszczał... Skąd możemy wiedzieć, kto jeszcze powróci?

Przerwał im poryw zimnego wiatru.

Bernardo wziął mącznicę i ostrożnie umieścił ją w dołku, zaś Jeremias podsypał ziemi i podlał. Pochylał się z takim trudem, że Nuño podtrzymał go za ramię, by pomóc mu się wyprostować. Bernardo patrzył na liczne zmarszczki, które przeorały twarz staruszka.

- Gdzie ją znaleźliście? - Jeremias ruchem głowy wskazał Yebkę, która wielkimi krokami szła z Dimasem kamiennym stokiem. - To właśnie takie kobiety jak ona sprawiają, że niektórzy z naszych już nie wrócili. Trudno się dziwić! - Jeremias zachichotał.

- Witajcie, bracia - powitał ich przeor.

Yebra uśmiechała się szeroko, jak gdyby ktoś zdjął z jej barków wielki ciężar. Na pierwszy rzut oka widać było, że jest zadowolona.

- Yebra pytała mnie o łaźnię - powiedział Dimas. - Bernardo najlepiej ci to wyjaśni. Kierował ostatnimi pracami remontowymi.

- Przeor pozwolił mi skorzystać z łaźni. Była ciepła woda! A podłoga...

- Konstrukcję wzorowano na rzymskich termach - chętnie podjął temat Bernardo. - Woda pobierana jest z ciepłego źródła, a system rur umożliwia jej przepływ pod płytkami. Można też puścić parę...

- Yebro, powstrzymaj go albo będzie nam tu opowiadał o rurach, dźwigniach, kanałach i innych równie frapujących rzeczach! Tylko tego nam brakowało! - zawołał rozbawiony Nuño.

- Interesują cię takie sprawy, Yebr? - Jeremias wypowiedział jej imię w bardzo szczególny sposób, jakby to była nazwa jakiegoś leczniczego zioła.

- To bardzo ciekawe. Nigdy nie widziałam czegoś podobnego. Nie mogłam pojąć jak...

Jeremias zaśmiał się.

- Kobiety rzadko interesują się mechanizmami, które mamy w Świętej Ceklinie. Rzadko też pytają, jak coś działa...

- Ani nie noszą na szyi medalionu naszego klasztoru, Jeremiasie. To wpływ jej brata Jana, Jana de Coiro - wtrącił nagle spoważniały Dimas.

Staruszek spojrzał na nią, jakby dopiero ją zobaczył.

- Jan... - popatrzył na obecnych. - No tak. Jakaś myśl przemknęła przez umysł starca, ale

zniknęła równie szybko, jak się pojawiła.

- Ciekawość to siła, która pcha świat do przodu, i filar, na którym opiera się Święta Ceklina - oświadczył - a kobiety jako córki Ewy z natury są ciekawskie.

- To prawda, nazywa się nas zakonnikami-żołnierzami lub zakonnikami-czarownikami, a powinno się raczej mówić o „wścibskich zakonnikach”. - Nuño zaśmiał się z własnego dowcipu.

- Kiedy szukamy nowicjuszy do naszego zakonu, dociekliwość jest pierwszą rzeczą, na którą zwracamy uwagę, tą najcenniejszą. A wy dwaj - zwrócił się do Nuña i Bernarda - należeliście do tych najbardziej dociekliwych.

Bernardo zaśmiał się w duchu. Teraz, kiedy lepiej poznał Yebra, rozumiał, dlaczego brat ją uczył. Jeśli czegoś nie można jej było odmówić, to właśnie dociekliwości.

- Nuño, Bernardo, chodźcie proszę ze mną - Dimas przywołał ich ruchem ręki.

Yebra została z Jeremiasem. Wydawał się zachwycony tym faktem i natychmiast rozpoczął wywód o bylinach i szczepieniu drzew.

Pozostali w milczeniu ruszyli w górę zbocza, które stromo pięło się przez ogród; dalej droga wiała się obok tłoczni wina i składów. Skalne ściany pokryte były przez roślinność i mech, wśród których tu i ówdzie widniały okienka cel, niektóre zwieńczone ostrołukiem, inne okrągłe lub nawet parzyste. Klasztor rozbudowywano od niższych partii skały ku tym wyżej położonym i każda epoka pozostawiła po sobie inny styl. Teraz był to zlepek form, które w jakiś dziwny sposób doskonale się uzupełniały. Szum wody

spadającej ze skał towarzyszył im swoją odwieczną pieśnią. Silny, lodowaty wiatr dął mocno, zapowiadając coraz bliższą zimę.

Kiedy Bernardo dotarł na szczyt, brakło mu już niemal tchu. Stok kończył się łukowatą bramą, która prowadziła na niewielki cmentarz. Dimas usiadł na ławeczce przy bramie i wskazał im miejsce obok siebie. Było stąd widać cały klasztor: pociemniałe mury, główną bramę, dziedziniec, część kościoła, zadbany warzywnik, zakonników przy pracy, którzy z tej perspektywy przypominali pilne mrówki...

- Potrzebuję was, bracia.

Dopiero teraz Bernardo zauważył matową cerę przeora, cienie pod jego oczyma i zgaszone spojrzenie. Zwykle tak pełen energii wyglądał na znużonego i dużo starszego, niż był w rzeczywistości.

- Musimy zamknąć Wrota i odzyskać księgę

- oświadczył Dimas. - Nuńo, Bernardo, nigdy wcześniej nie staliśmy wobec tak wielkiego zagrożenia, które w dodatku przychodzi w najgorszym czasie.

- Zrobił przejmującą pauzę. - Wysyłałem naszych ludzi, by uczyli sztuki walki w najdalszych zakątkach świata, zawsze ilekroć sprawa wydawała nam się słuszna. Ja sam broniłem tych misji wiary i poznania w odległych rejonach, a teraz, kiedy przyszłość klasztoru jest zagrożona i muszę walczyć z sąsiednimi księstwami...

- Chyba nie jest aż tak źle? - wtrącił Bernardo.

Dimas westchnął ze znużeniem.

- Trzy lata temu León, nasz protektor, odszedł do Pana. Jego syn Dalmau stanowi dla nas zagrożenie. Podatki, które mu płacimy, uważa za zbyt małe, ciągle chce więcej. Chce Świętej Cekliny... Wiecie, że zawsze się nas obawiali, oskarżali nas o czarną magię, odstępstwo i herezję, ale teraz, kiedy władza skupiła się w ręku Dalmaua, jest dużo gorzej. Zjednał sobie sojuszników w sąsiednich prowincjach, obiecał im, że nie będą nam musieli zwracać pożyczek, których im udzieliliśmy, i tym sposobem nasi sprzymierzeńcy stanęli po jego stronie. Dostałem listy z Awinionu... - Przeor ze znużeniem spuścił głowę. - Nadeszły złe czasy. Ponadto, nasz zakon rozproszył się po zbyt wielu frontach; gdyby dziś przypuszczono atak, nie zdołalibyśmy go odeprzeć. Staram się, by część braci wróciło, ale to nie takie proste.

Dimas odgarnął sobie z czoła nieistniejący kosmyk.

- A teraz jest jeszcze coś, co stanowi zagrożenie dla naszego świata. Bracia, czemu mi nic nie powiedzieliście?

Ñuño i Bernardo spojrzeli po sobie, nie wiedząc, o co chodzi przeorowi.

- Co to za świat, z którego człowiek wraca obdarzony mocami niemal demonicznymi, he?

Nuño podskoczył w miejscu.

- Skąd o tym wiesz? - zapytał Bernardo szeptem.

- Ona sama mi to powiedziała. Szuka jakiegoś logicznego wytłumaczenia dla tego, co się z nią dzieje, chce, żeby ktoś ją zapewnił, że nie jest przeklęta ani opętana... A ja tak naprawdę... nie jestem w stanie tego zrobić.

- Dimasie! - Szczerść przeora wstrząsnęła Bernardem.

- Tak, wiem, wiem... Uspokoilem ją i powiedziałem, że musi być jakieś wyjaśnienie, które nam się wymyka. Jest tyle rzeczy, których jeszcze nie znamy! Ale pozwólcie, że będę z wami szczery: cały ten inny świat, Wrota, otwierane i zamykane przez pogańskich bogów, w których nie wierzę... Bóg stworzył ten świat, tylko ten! *In nomine Domini*, któż zatem stworzył ten drugi?

Powiew lodowatego wiatru z dziwnym świstem przemknął przez kamienny łuk bramy.

- Te... - Przez chwilę szukał odpowiedniego słowa - te zdolności, które Yebra rzekomo posiada...

- Ona je ma, możesz być pewien - wtrącił Bernardo.

- Boję się, bracia - ciągnął przeor, nie zwracając uwagi na jego słowa. - Wymyka mi się zbyt wiele rzeczy. Konsekwencje, jakie może to za sobą pociągać... Do diabła!

Bernardo nigdy wcześniej nie słyszał, by przeor przeklinał.

- Dziś rano poszedłem obejrzeć jednorożca. Chciałem... upewnić się, że jest rzeczywisty. I stał tam,

spokojny, jeden wierzchowiec więcej w naszej stajni. A te małe włochate robale... Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Są tak rzeczywiste jak wy czy ja. Ich kolory... Nigdy czegoś takiego nie widziałem! - powtórzył. - Ja... Musicie mi wybaczyć, ale nie chcę z nikim o tym rozmawiać. Nie chcę, żeby... - Dimas przerwał i obrzucił ich uważnym spojrzeniem. - Musicie dochować tajemnicy i zamknąć tę bramę do piekieł.

Bernardo poczuł, że wielki ciężar przytłoczył mu duszę, pogrążając ją w mroku.

- Nie sądzę... - wtrącił Nuño - by było coś demonicznego w jednorożcu czy w tych zwierzątkach. Są dziwaczne, to prawda. Ale wieźliśmy je długo i nic nie nasuwało podejrzeń, że...

- Bernardo, ty zawsze byłeś rozsądny - Dimas zwrócił się bezpośrednio do niego. - Darzę cię pełnym zaufaniem, wiesz o tym, prawda? Co widziałeś? Co potrafi zrobić Yebra? Proszę, opowiedzcie mi o tym, bo mój rozum buntuje się przeciw temu, co od niej usłyszałem: że może wpływać na nasze umysły, paraliżować mężczyzn silnych jak tury. Ze może czuć to, co wypełnia nasze serca...

- To prawda - odparł szorstko Bernardo.

Nuño opowiedział historię z bandytami i z Veridianą. Bernardo nie odezwał się ani słowem.

- Do kroćset! - przeor znów zaklął. - I jak ja mam to rozumieć? Opowiadacie mi o wiedźmie. O wiedź-

mie! - Dimas starał się uspokoić, oddychając głęboko. - Przez całe moje dotychczasowe życie walczyłem o naukowe podstawy wiedzy i starałem się obalać fałszywe przesady. *Veritas veritae...* Nieść światło prawdy do najdalszych zakątków świata. A teraz nie pozostaje mi nic innego, jak stwierdzić, że spotkałem... wiedźmę! Niech to...

- Też tego doświadczyłem, Dimasie. Ale Yebra nie jest czarownicą - odparł spokojnie Bernardo. - Po prostu pobyt w tamtym świecie ją odmienił.

- Otóż to, pobyt w świecie, który może być jedynie tworem Szatana.

Ciarki przebiegły Bernardowi po plecach. Dimas wypowiedział na głos myśl, która niepokoiła i jego.

- Lucyfer to tylko upadły anioł, nie jest wszechmocny jak Bóg - powiedział Nuño. - Nie może stwarzać...

- Nie będziemy się teraz zagłębiać w rozważania, które do niczego nas nie doprowadzą. W niej nie ma zła, Dimas. Znam ją. Ona nie jest dziełem Szatana.

- Wiem, Bernardo, wiem o tym... Pierwsze, co wczoraj zrobiła, to wypowiedziała się u mnie.

Zamilkli. Wiatr świstał wśród skał.

- Rozumiecie już, dlaczego potrzebuję was bardziej niż kiedykolwiek? Trzeba zamknąć Wrota, a w tym celu musicie przejść na drugą stronę i odzyskać księgę. To wasze zadanie.

Bernardo przełknął ślinę. Dimas wreszcie powiedział to jasno: powierzał mu zadanie. Przysięgli posłuszeństwo Świętej Ceklina, a przysięga jest rzeczą świętą. Nie mógł odmówić.

- Chcesz, byśmy przeszli do drugiego świata... - Nuño musiał odchrząknąć, wypowiadając tak niewiarygodne słowa. - Zrobię wszystko, co w mojej mocy. W imię Świętej Ceklina!

Entuzjazm Nuña kontrastował z kamienną twarzą Bernarda.

- Dimas, to, o co prosisz, jest niemożliwe; Yebra to jedyna osoba, która wie, jak przejść do tamtej rzeczywistości i powiedziała już, że tam nie wróci.

- Pomoże wam, Bernardo. Wystarczy, że ty ją poprosisz.

Kolejny poryw mroźnego powietrza owionął ich niczym lepki, niewidzialny welon. Bernardo zamrugał skonsternowany.

- Jesteś bystrym człowiekiem, ale czasem aż trudno mi uwierzyć, że nie widzisz pewnych spraw - mruknął Dimas. - Ty ją poproś, w imię Świętej Ceklina, a zgodzi się - ton głosu przeora nie pozostawiał wątpliwości: to był rozkaz.

Serce Bernarda stanęło na moment, gubiąc swój rytm.

- Poproś ją o to. Odzyskajcie księgę i zamkniemy Wrota - zakończył ze znużeniem przeor.

Dimas wstał i oddalił się, zostawiając ich samych pod kamiennym łukiem.

Wiatr wygrywał jakąś melancholijną, mroźną pieśń. Mieli wrażenie, że szum pobliskiego wodospadu też zamarł.

Bernardo odwlekał chwilę spotkania z Yebrą. Odwiedził okolice klasztoru, gdzie bracia uczyli nowicjuszy walczyć, i natknął się na swojego dawnego współbrata, który teraz miał pod opieką mniej doświadczonych. Poprosili go, by im pokazał swoje umiejętności, więc przez jakiś czas nie bez satysfakcji demonstrował uczniom swoje ulubione sztuczki z bronią. Potem, zmęczony i spocony, obszedł refektarz i skierował się do skryptorium. Tam znów obejrzał starą bibliotekę. Szedł wzdłuż drewnianych regałów wypełnionych pergaminami, księgami i papirusami, jakby widział je po raz pierwszy.

Dopiero teraz w pełni uświadomił sobie ogrom bogactwa zgromadzonego przez klasztor. Tak, to był rzeczywiście łakomy kąsek dla okolicznych włodarzy. I nie chodziło tylko o skarby kościoła, relikwie, złoto, przyprawy czy broń... Ten księgozbiór stał się jednym z najlepiej zaopatrzonych po zniszczeniu biblioteki w Santa Maria. Przejęcie Świętej Ceklidy oznaczało coś więcej niż tylko zyski materialne.

Przejrzawszy kilka dokumentów, zaszedł do kościoła na nieszpory. Zaczęły się hymnem. Pozwolił

prowadzić się tym głosem i, sam nie wiedząc kiedy, przyłączył się do modlitwy.

Z ostatnich ławek przyglądał się drewnianej postaci świętego Łukasza. Posąg stał obok ołtarza Świętej Cekliny, w którym przechowywano jej święte relikwie, zabrane przed wiekami biskupowi Coimbry. Była to jedna z jego ulubionych figur; rzeźbiarz zdołał uchwycić tęskne spojrzenie, które teraz zaglądało w głąb duszy Bernarda. Kiedy nabożeństwo się skończyło, a bracia i nowicjusze opuścili kościół, jego uwagę przykuł młody mnich, który chował właśnie naczynia liturgiczne.

Święty Łukasz patrzył na niego swoim smutnym spojrzeniem.

Nie namyślając się wiele, Bernardo podszedł do ołtarza.

- Bracie! - zawołał. - Wysłuchasz mojej spowiedzi? Zakonnik odwrócił się zaskoczony. Nie było to

właściwe miejsce ani on nie czuł się właściwą osobą. Ale widząc wyraz twarzy Bernarda, uśmiechnął się i skinął głową.

Następnego dnia Bernardo spotkał Yebrę w klasztorным korytarzu. Szła, jak zwykle, wielkimi krokami. Widząc go, zbliżyła się z szerokim uśmiechem:

- Właśnie rozmawiałam z Jeremiasem; pokazał mi warzywnik, ogród, swoje egzotyczne uprawy... Po-

wiedział mi, że jest jeszcze więcej rzadkich okazów w „jaskini”, obok piwnicy z winem. Wiesz, gdzie to jest?

Bernardo smutno skinął głową. Po co odwlekać to, co nieuniknione? Czyż nie był już najwyższy czas, by zaczął realizować misję?

- Chcesz je zobaczyć? - zapytał.

- Bardzo. Nawet nie wiesz, jak tu odpoczywam...

- Chodź. Są tu naturalne grotty w skale. W jednych uprawia się rośliny, szczególnie grzyby, które lubią wilgoć i mrok. Inne używane są jako składowiska i spiżarnie - zakończył sucho.

Dopiero wtedy dostrzegła jego mroczny nastrój; nie odezwała się więcej.

Szli razem w milczeniu. Opuścili klasztor i ruszyli w kierunku warzywnika, składów oraz spichlerza. Bernardo wybrał ścieżkę, która pięła się w górę. W tej części skała nie była tak twarda jak gdzie indziej, żółtawy wapień znaczyły różowe żyłki, układające się miejscami w dziwaczne wzory. W kamieniu wykuto prymitywne stopnie, wysokie i wąskie, tak że ledwo mieściły stopę.

Bernardo zszedł ze ścieżki i zaczął wspinać się ku czemuś, co z dołu wyglądało na zwykłe zagłębienia w skalnej ścianie. Yebra posuwała się za nim.

Wdrapali się o jakieś dwadzieścia kroków w górę, aż do wąskiego gzymsu, gdzie zaczynały się następne skalne schodki prowadzące do poszczególnych grot.

- To tutaj, ale teraz... Sam już nie wiem, która to była...

Bernardo przyglądał się wejściom do małych jaskiń. Jedno z nich przykuło jego uwagę. Wydało mu się jakby znajome.

- To chyba tamta. Chodźmy...

Wiedział, że nie potrzebowała pomocy, jednak podał jej rękę, by mogła łatwiej pokonać strome schodki. Przyciągnął ją, ale chyba źle obliczył potrzebną do tego siłę, bo zatrzymała się dopiero kilka centymetrów od jego twarzy. Yebra odsunęła się powoli i Bernardo zobaczył własne odbicie w jej źrenicach. Twarz dziewczyny była śniada, osmagana słońcem. Na policzkach miała kilka piegów. Dało się dostrzec, że skorzystała z łaźni. Pachniała czystością i charakterystyczną dla siebie wonią mięty. Białe włosy okalały opaloną twarz. Po lśniącej skórze pląsały promienie wieczornego słońca.

Bernardo dalej trzymał jej dłoń. Nie wypuścił jej, a nawet ścisnął mocniej.

Nabrał głęboko tchu i po raz tysięczny tego dnia powtórzył sobie, że to, co zamierza zrobić, nie skarze jego duszy na wieczne potępienie.

- Chcę cię o coś poprosić. - Przerwał i spojrzał jej prosto w oczy. - Nuńo i ja pójdziemy do drugiego świata po księgę. Dostaliśmy zadanie, żeby zamknąć Wrota. - Dał jej czas na zrozumienie wagi tych słów. - Ale dobrze wiesz, że nie uda nam się ich odnaleźć bez

twojej pomocy - starał się zawrzeć w swoim głosie całą słodycz, na jaką go było stać, pogłaskał ją przy tym po rękę. - Chodź z nami, Yebro. Pomóż nam odnaleźć Wrota.

Spróbowała wyrwać rękę i odsunąć się. Bernardo przytrzymał ją mocniej.

- Ja nie...

Nie pozwolił jej dokończyć.

- Chodź z nami... - wyszeptał.

Próbował pochwycić jej spojrzenie, które błąkało się gdzieś przy wejściu do jaskini.

- Chodź... ze mną - tym razem głos Bernarda zabrzmiał ochryple. Nigdy nie słyszała go mówiącego w ten sposób.

Podniosła wzrok i poszukała jego spojrzenia. Poczuł, że coś ściska go w żołądku.

- Nie masz pojęcia, jak tam jest strasznie. Nawet nie możesz sobie tego wyobrazić...

W końcu wyrwała rękę. Bernard poczuł jakieś słowa, które w nim nabrzmiwały, lecz nie chciały wydobyć się z gardła. Jego głos zmienił się w delikatny szept.

- Proszę, chodź ze mną... Potrzebujemy cię. Yebra zmarszczyła brwi.

Bernardo zaczerpnął powietrza i powtórzył:

- Potrzebuję cię.

Wtedy wreszcie zareagowała. Podniosła wzrok i spojrzała mu prosto w oczy. Zobaczyła w nich coś takiego, że nagle podjęła decyzję.

- Dobrze. - Miał wrażenie, że odpycha od siebie jakąś natrętną myśl. - Pójdę z tobą. To samobójstwo. Ale dotrzymam ci towarzystwa...

Od bardzo dawna Bernardo nie czuł się tak podle. Aż go mdliło w środku. Ale z płuc wyrwało mu się tylko ciężkie westchnienie.

- Dziękuję, Yebro. - Jego ponure spojrzenie wyrażało coś niezbyt podobnego do wdzięczności, ale dziewczyna wydawała się nie zwracać na to uwagi. - Pokażę ci jaskinię - powiedział i odwrócił się tyłem, żeby nie patrzeć jej w twarz.

Yebra szła za nim po skalnych schodach, aż dotarli do groty. Mrok i wilgoć ogarnęły ich wraz z ciężkim oparem dziwnych zgniłych zapachów. W ciemnościach Bernardo zaczął mówić o gatunkach, które tu rosły. Opowiadając jej o grzybach jadalnych i leczniczych, *Russula aurea*, *Agaricus bisporus* i różnych rodzajach *Pleurotusa*, stopniowo uspokoił swoją wzburzoną duszę.

Dimas ucieszył się wręcz bezwstydnie, kiedy oświadczyli mu, że Yebra pojedzie z nimi.

- Widzisz - powiedział do smętnego Bernarda, klepiąc go po plecach. - Miałeś to na wyciągnięcie ręki.

Przeor odszukał Yebry, chcąc osobiście podziękować jej za pomoc i omówić niektóre szczegóły podróży.

Przekonywał, by wyruszyli jak najszybciej, ale Yebra wytłumaczyła mu, że prawdopodobnie Wrota pojawią się na wschodzie dopiero za jakiś czas. Nie miała pojęcia, jak daleko są obecnie, ale była przekonana, że przejdą w pobliżu Świętej Cekliny, która przecież wznosiła się na pradawnym miejscu mocy. Uprzedziła go także, że kiedy Wrota znajdą się niedaleko, ona poczuje ich obecność, a im bardziej się zbliżą, tym dokładniej będzie w stanie określić ich położenie.

- Jak długo to może potrwać? - zapytał niecierpliwie Dimas.

Yebra wzruszyła ramionami.

- Nie wiem, naprawdę. Mogę ci, ojcze, powiedzieć, że już się zbliżają, ale to wciąż tylko... - zawahała się, szukając odpowiedniego słowa - tylko niejasne przeczucie.

I wzdrygnęła się, jakby przeszedł ją dziwny dreszcz.

- Ale o jakim czasie mówimy? Za rok? Latem?

- Nie... to będzie szybciej. Jakiś miesiąc... może dwa. Nie wiem dokładnie.

Wyrazem twarzy przypominała teraz Bernardowi psa wietrzącego zwierzynę.

Dimas westchnął. W ostatnich dniach postarzał się o kilka lat.

- Nie możesz tu zostać tak długo, Yebro. Będziesz musiała się przenieść do Las Inviernas.

- Spodziewałam się tego - odparła.

- Wyślę posłańca do matki przełożonej, żeby udzielili ci schronienia na ten czas.

- W takim razie, kiedy nadejdzie stosowna pora i Wrota będą blisko, zawiadomię was.

Bernardo ze zdumieniem odkrył, że jego dusza staje się jak bezdenne studnia wypełniona po brzegi melancholią.

Yebra spędziła w Świętej Ceklinie jeszcze kilka dni. Poprosiła Bernarda, by wyjaśnił jej działanie systemu kanalizacyjnego w łaźniach, który od samego początku ją zaintrygował. Czuł się swobodniej, rozmawiając z nią o tych sprawach i wyjawiając jej zawiłości instalacji, którą sam przed laty udoskonalił. Odwiedzili wspólnie ciepłe źródło i pokazał jej system kamiennych kanałów, prowadzący wodę do wanien wykutych w skale. W powietrzu unosił się bliżej nieokreślony zapach.

- Co to? Siarka?

- Zgadłaś. Woda stąd jest bardzo zdrowa dla skóry, wskazana przy problemach z oddychaniem, a nawet na skrofuły.

- Siarka, powiadasz? Prosto z piekła, tak? Bernardo nie potrafił zaśmiać się z jej żartu. Od

jakiegoś czasu przy każdej wzmiance o diable czy piekle dostawał gęsiej skórki.

Yebra poprosiła go też, by pokazał jej dawne miejsce mocy.

- Prawie nic już tam nie ma. Kolejne pokolenia budowały na tym samym miejscu.

Obok cmentarza, pod skalną ścianą pokrytą mchem i bluszczem, Bernardo pokazał jej kamienną płytę, na której zachowały się otwory i linie w kształcie krzyża i niewielkich okręgów. Obok leżało też kilka porzrzucanych głazów z innymi wyrytymi w nich rysunkami. Wszystkie miały podobne nachylenie i skierowane były na zachód.

Yebrá przeciągnęła dłonią po wzorach.

- Dziś już praktycznie nic więcej z tego nie zostało. Ale, chodź, pokażę ci coś, o czym prawie nikt nie wie.

Bernardo zaprowadził ją do kościoła. Otworzył małe drzwiczki obok ołtarza, skąd kręte schodki prowadziły do ciemnego pomieszczenia. Zapalili lampkę oliwną. Tańczący blask płomienia oświetlił łukowate sklepienie i ściany z surowych kamiennych bloków.

- To dawny kościół. Na nim zbudowano obecny. A to - wskazał kamienne ściany - wzniesiono na rzymskiej świątyni. Rzymianie pewnie też budowali na czymś jeszcze starszym. Patrz, niewiele już widać, ale niektóre z tych bloków...

Bernardo zbliżył lampkę do jednej ze ścian. Skała była tu mniej obrobiona, zachowała niemal surowy stan. Pozostałości z odległych wieków...

- Spójrz! - wskazał dłonią.

Wśród cieni ukazały się ich oczom niewyraźne zarysy spirali. Było ich wiele, w różnych rozmiarach:

niektóre wyryte z wielką starannością, niemal nietknięte przez upływ czasu, inne bardziej prymitywne i tak wytarte, że z trudem można je było dostrzec.

- Święta Ceklina została wybudowana na miejscu mocy - mówił Bernardo - gdzie starożytni wzniesli swoją świątynię, następnie niemal całkiem zniszczoną przez Rzymian. Taki był początek - zakończył niemal szeptem.

Yebra podeszła do ściany, chcąc lepiej przyjrzeć się szczegółom. Było ciemno, a słabe światło lampki okazało się niewystarczające. Bernardo zbliżył się do dziewczyny, by lepiej oświetlić ścianę.

Stali tuż obok siebie. Czuł wyraźnie delikatny oddech Yebry. Nieodparta siła przyciągała do niej jego myśli, kazała mu odwrócić się od rysunków i spojrzeć na nią.

Napotkał jej mroczne spojrzenie, a w głębi jej oczu nikły odblask lampki, którą trzymał w dłoni. Yebra uśmiechnęła się i miał wrażenie, że ten uśmiech rozjaśnił mrok podziemnej krypty.

Żołądek zacisnął mu się kurczowo, jakby nie chciał dać ujścia napięciu, które gromadziło się w nim latami. Chwycił lampkę tak mocno, że aż zbiełały mu knykie, zacisnął zęby i nie dając dziewczynie czasu na jakąkolwiek reakcję, szybko odwrócił się do wyjścia.

- Chodźmy - powiedział.

Nie czekając na odpowiedź, ruszył po schodach do góry.

Jednorożec zachorował. Klasztorne stajnie i obory były obszerne i przez całą podróż nie korzystali z lepszych. Jednak zwierzę nie czuło się tam dobrze: niewola i brak ruchu zdawały mu się szkodzić, gdyż stopniowo zaczął tracić siły vitalne.

Ulokowali go obok mulicy, konia Bernarda, małych robaków o egzotycznych kolorach i niebieskobrzuchych myszek. Wszystkimi zwierzętami zajmował się Nuño. Małe stworki karmił warzywami, choć jadły tak mało, że chwilami miał wrażenie, iż żywiły się powietrzem. Nikt więcej z klasztoru nie miał z nimi kontaktu. Jedynie Bernardo, Dimas i Yebra zachodzili czasem na nie popatrzeć.

Kiedy Yebra odkryła, że jednorożec jest chory, chciała wyprowadzić go na spacer w góry, lecz przeor nalegał, by zwierzę nie opuszczało stajni. Nie chciał, by ktoś je zobaczył lub... by go nie zobaczył. Dość wysiłku kosztowało uciszenie pogłosek spowodowanych przybyciem legendarnego stworzenia.

Ostatniego dnia pobytu w klasztorze Yebra straciła dobry humor. Bliskość wyjazdu i widmo rychłego zetknięcia z Wrotami przygnębiały ją. Unikała towarzystwa Bernarda, wolała przebywać z Nuñem lub Jeremiasem, przy których mogła choć na chwilę zapomnieć, że wkrótce opuści Świętą Ceklinę, by przenieść się do Las Inviernas.

Późnym wieczorem Dimas odszukał ją i wtedy odważyła się wspomnieć mu o obawach, jakie budził w niej ten niewielki żeński klasztor, którego zupełnie nie знаła, a w którym miała przecież spędzić nie wiadomo ile czasu.

- Ojczy, jest coś, czym się martwię... Jak potraktują mnie w Las Inviernas? Przyjmą obcą? Nigdy nie potrafiłam żyć w zamknięciu i...

Przeor zaśmiał się i przerwał jej. Z przyjemnością rozmawiał na temat, który stanowił część jego zwykłych zajęć.

- Matka Cristina, przełożona, to dobra kobieta, Yebro. Sama się przekonasz. Wysłałem posłańca, który jej wyjaśnił, że jest ktoś, kto potrzebuje u niej schronienia przez jakiś czas. Nikt nie będzie cię o nic pytał. Nie będziesz musiała niczego wyjaśniać, jeśli nie zechcesz.

Dimas przerwał na chwilę. Od jakiegoś czasu chciał poprosić o coś Yebrę i teraz, kiedy znaleźli się sam na sam, nie zamierzał tracić okazji.

- Mam do ciebie prośbę, Yebra. Może pomogłoby mi to zrozumieć te wszystkie dziwne zjawiska... Proszę, pokaż mi, jak działa twoja moc. Chciałbym to zobaczyć na własne oczy...

Yebra pokręciła głową.

- Nie mogę, naprawdę. To działa tylko wtedy, gdy istnieje rzeczywiste zagrożenie.

- A jednak spróbuj.

Poczuła się jak jedno z tych zwierząt, które kuglarze prowadzą od wsi do wsi, zmuszając do pokazywania sztuczek.

- Przykro mi, ale nie. - Widząc jego rozczarowanie, dodała jeszcze: - Zapytaj Nufia, on to widział. Albo Bernarda. Próbowałam to z nim zrobić... I nie udało się. Nie wiem...

Yebra nie odważyła się powiedzieć mu, że tamtej nocy, gdy próbowała pokazać swoje możliwości Bernardowi, tak po prostu, bez zagrożenia, miała wrażenie, że coś wewnątrz niego otworzyła. Coś dziwnego i nieznanego. I że od tamtej pory w jakiś sposób czuła się z nim związana. A tego, oczywiście, nie chciała ryzykować z kolejną osobą.

Dimas był rozczarowany, ale ku zadowoleniu Yebry, nie nalegał. Dziewczyna poszła po swoje rzeczy, żeby nie zdążył zmienić zdania i powtórnie ją o to poprosić.

I tak nadszedł wtorkowy wieczór. Bernardo zdał sobie sprawę, że nie widział Yebry przez cały dzień. Spotkał ją dopiero nazajutrz rano, stojącą na dziedzińcu wraz z Victorem, gotową do drogi.

Bernardo podszedł do nich.

- Spodoba ci się w Las Inviernas - powiedział, żeby wypełnić kłopotliwe milczenie.

- Wątpię - odparła szczerze i zamilkła, obrzucając długim spojrzeniem zabudowania klasztoru. - Już

pożegnałam się z Nuńem. Zawiadomię was, kiedy poczuję, że Wrota są blisko.

Bernardo pokiwał głową bez słowa, choć w głębi duszy miał wątpliwości co do tego sposobu lokalizowania Wrót do innego świata.

- Wiem, kiedy się zbliżają, Bernardo - powiedziała, jakby czytała mu w myślach, co już nie raz jej się zdarzyło. - Zawiadomię was, obiecuję.

Bernardo spojrzał jej głęboko w ciemne oczy.

- Będę za tobą tęsknić - szepnęła. Zawstydzony spuścił wzrok. Nie miał odwagi go

podnieść i wytrzymać jej spojrzenia. Yebra pomachała im ręką na pożegnanie, ale Bernardo tego nie widział. Kiedy podniósł oczy, zobaczył, jak jej smukła postać znika w towarzystwie Victora w głównej bramie.

Ja też będę tęsknił, pomyślał, ale nie odważył się powiedzieć tego nawet szeptem.

Czas w Świętej Ceklinie upływał nieśpiesznie. Liście na drzewach uschły i zaczęły opadać. Dni stały się krótsze, a wiatr bardziej wilgotny i jeszcze chłodniejszy. Każdy żył we własnym rytmie; praca fizyczna, lektura i modlitwy zabierały większą część dnia. Bernardo odkrył w sobie powołanie pedagogiczne i uczył nowicjuszy walki. Ze zdumieniem stwierdził, że jest nie najgorszym nauczycielem i że przekazywanie doświadczeń zebranych podczas licznych podróży

sprawia mu przyjemność. Poza tym pomagał Nuñowi w opiece nad jednorożcem, którego zdrowie poprawiło się wraz z nadejściem chłodów. Z kolei trubadur pofolgował swoim wokalnemu skłonnościom i Juan, brat zajmujący się muzyką, znalazł w nim wybornego pomocnika.

Przyjaciele nie musieli poddawać się klasztornej dyscyplinie tak ściśle jak zakonnicy, dlatego korzystali z okazji, by nacieszyć się długimi spacerami i rozmowami z Jeremiasem. Staremu nauczycielowi z trudem przychodziły niektóre z ogrodniczych obowiązków, pomagali mu więc w najcięższych pracach.

Niejednokrotnie Bernardo przyłapywał się na tym, że myśli o Yebrze, że zastanawia się, jak też udało jej się dostosować do surowego trybu życia mniszek w Las Inviernas i czy ona wspomina go tak samo jak on ją. Kiedy takie pytania przychodziły mu do głowy, starał się odsunąć je od siebie i skupić się na grabieniu suchych liści, pielieniu lub wyczerpujących ćwiczeniach szermierczych i zapaśniczych, które przerywał, dopiero gdy był spocony i wyczerpany. Na kontynuację tamtych bezużytecznych przemyśleń pozostawało mu niewiele sił.

W czasie tego pobytu w Świętej Ceklinie poznał nowych nauczycieli i uczniów, stopniowo poczuł, że znów jest w domu, w swoim miejscu na ziemi.

Ñuño czuł podobnie. Gdy zatem pewnego dnia Bernardo spotkał go odzianego w biały habit Zakonu, zdziwił się tylko trochę.

- A więc jednak! Przyjaciel pokiwał głową.
- Decyzja już zapadła.
- No pięknie! Prawdziwy mnich z ciebie!
- Czyż nie byliśmy nimi przez cały ten czas? - zapytał Ñuño z niezwykłym u niego spokojem.

Bernardo zadumał się chwilę nad pytaniem Nuña. To prawda, że nigdy nie złożyli ślubów wieczystych i wybrali wolność. Każdy znalazł swój sposób na świeckie życie. Bernardo w Almacei, jako nauczyciel, doradca, lekarz, pomocnik i ktoś niesłusznie zwany czarnoksiężnikiem lub magiem. Ñuño - jako szukający przygód podróżnik i niespokojny duch. Ale żaden z nich tak naprawdę ani na chwilę nie przestał być wiernym uczniem Świętej Cekliny. Było to coś więcej niż poczucie więzi i przynależności do tego miejsca i jego ludzi. Zawieszane na szyi medaliony codziennie przypominały im, skąd pochodzą, gdzie się wychowali. Mieli też pewne zobowiązania: śluby ubóstwa i posłuszeństwa, przekazywanie do Świętej Cekliny znaczącej części ewentualnych dochodów, uczestnictwo w Kapitułach Generalnych, podczas których wybierano nowego przeora i oczywiście, całkowitą gotowość do przybycia na każde wezwanie lub wykonania powie-

rzony misji; kiedy bowiem z klasztoru nadchodził rozkaz, trzeba było wykonać go niezwłocznie.

Bernardo zawsze czuł się członkiem Zakonu i nigdy nie odczuwał tego jako ciężaru czy obowiązku, przeciwnie, był dumny ze swoich korzeni i niezależnie od tego, dokąd się udawał, nigdy nie zapominał, że stanowi część pewnej wspólnoty.

Biały habit przywdziany przez Nuña przypominał mu, że jako zakonnik musiałby złożyć również ślub czystości i o ile nie wysłano by go w świat z jakąś misją, pozostałby w murach klasztoru aż do śmierci.

- Zostaniesz w Świętej Ceklinie?

Ñuño skinął głową. Bernardo zaśmiał się trochę nieszczercze.

- Nie wierzę! Po tylu latach zapuścisz wreszcie korzenie?

- Może właśnie o to chodzi, o te lata. Błądzenie po całym bożym świecie już nie nęci mnie tak bardzo jak niegdyś. Kiedy wrócimy z naszej misji, zostanę w klasztorze. Starzeję się - zażartował.

- Nie wierzę - powtórzył Bernardo wciąż z uśmiechem na twarzy.

Rutyna zapanowała w życiu przyjaciół. Wiedzieli, że w każdej chwili z Las Inviernas mogą nadejść wieści, na które czekali i których zarazem się obawiali, ale odsuwali od siebie tę myśl. Czasem człowiek spodzie-

wa się ciosu, a jednak, gdy wreszcie on nadejdzie, i tak czuje ból i chwilową dezorientację. Przybycie posłańca z wiadomością od Yebry gwałtownie wyrwało ich z harmonijnego życia, jakie wiedli w Świętej Ceklinie.

Wieść nadeszła w wietrzny poranek, gdy szron pokrył skały wokół klasztoru, a lodowaty północny wicher mroził naturę i wolę; dziedziniec był pusty, a wiatr igrał z nielicznymi suchymi liśćmi, które tańczyły w powietrzu, tworząc drobne wiry. Bernardo znów dosiadł swojego siwka, a Ñuño mulicy, jeszcze bardziej upartej niż jej właściciel.

- Ruszajcie jak najszybciej do Las Inviernas i niech Bóg was prowadzi! - powiedział im na pożegnanie Dimas. - Pamiętajcie, że najważniejsza jest księga, *Porta Coeli*. Nie wracajcie bez niej. Misja zamknięcia Wrót spoczywa w waszych rękach.

Victor odprowadził ich do bramy zwieńczonej spiralą, gdzie pożegnali się lakonicznym „Do zobaczenia, bracie”, po czym ruszyli w milczeniu, pełni najgorszych przeczuć.

Do Las Inviernas mieli niecałą godzinę drogi. Klasztor, znacznie mniejszy i skromniejszy od Świętej Cekliny, leżał na wzgórzu nieopodal rzeki przecinającej żyzną dolinę porośniętą dębami. Bernardo i Ñuño zjechali w dolinę drogą, która nad rzeką przybie-

rała postać błotnistego bajora. Miękka ziemia, wilgotna po ostatnich deszczach, zmieniła się w grząską masę, oblepiającą wierzchowcom kopyta. Ścieżka wiodąca do Las Inviernas była w nie lepszym stanie. Kiedy dotarli do bramy klasztoru, zmęczeni walką ze śliskim błotem, ze zdziwieniem odkryli, że Yebra, w towarzystwie matki przełożonej, czeka na nich w progu.

- Witajcie, drodzy bracia, w imię Boże - odezwała się matka Cristina.

Była to wysoka kobieta w trudnym do określenia wieku. Miała bystre błękitne oczy, które wyglądały, jakby ktoś namalował je na wyblakłej porcelanie. Zmarszczki pokrywające twarz wyrzeźbione zostały przez uśmiech, który zdawał się nigdy nie schodzić z jej warg.

Yebra zbliżyła się do podróżnych. Uśmiechnęła się lekko.

- Witajcie, przyjaciele.

Odnieśli wrażenie, że jej twarz lekko się zaokrągliła.

- Dobrze ci się tu powodziło, czyż nie? - odważył się spytać Nuño, wyciągając dłoń, by łatwiej było dziewczynie dosiąść mulicy. Usiadła za nim jak dawniej.

- Dzięki za gościnę, matko.

- Drzwi Las Inviernas zawsze stoją dla ciebie otworem. - Przeorysza uśmiechnęła się jeszcze szerzej, po czym - jak gdyby dopiero teraz dostrzegła Nuña

i Bernarda - dodała: - Bądźcie ostrożni. Mam nadzieję, że Pan będzie wam sprzyjał, niezależnie od tego, co zamierzacie.

- Dziękuję, matko - powtórzyła Yebra, poprawiając się w siodle.

Przeorysza odwróciła się, weszła do środka, a brama zamknęła się za nią.

- Wygląda na to, że świetnie sobie poradziłaś w klasztorze. Dobrze ci tu było? - zapytał Nuño, poganiając mulicę.

Yebra potwierdziła.

- Widzę, że i tobie się to spodobało. Do tego stopnia, że postanowiłaś na zawsze zostać w Świętej Ceklinie? - odparła, mając na myśli jego habit.

- Sama widzisz - wzruszył ramionami. Bernardo nie odezwał się jeszcze ani słowem. Był poważny i zamyślony.

- Dokąd jedziemy? - przemówił wreszcie, gdy oddalili się już nieco od bram klasztoru.

- Na wschód... Tam - pokazała Yebra.

- Drogą?

- Tak. Na razie tak, potem zobaczymy...

Koń Bernarda stawiał kopyta powoli, ostrożnie, by nie poślizgnąć się w błocie. Mulica szła za nim.

Przez chwilę wszyscy milczeli. Wreszcie odezwała się Yebra:

- Cieszę się, że was widzę, naprawdę.

Znów podróżowali we troje, jednak tym razem, inaczej niż przed kilku miesiącami, nie towarzyszyły im już śpiewy i śmiechy. Wszyscy czuli, że zbliża się szczególny moment i jechali pogrążeni w milczeniu, czujnie.

- Patrzcie! - Nuño pokazał włochatego robala, podobnego do tych, które schwyтали w Cruceiro.

Zwierzę przeszło obok, zupełnie nie zwracając na nich uwagi.

- Wrota są blisko - wyjaśniła Yebra po prostu. Posuwali się dalej, nie mówiąc ani słowa, dopóki

Yebra nie zdecydowała, że należy zejść z drogi.

- Nie możemy dalej iść w tym kierunku, musimy skręcić w tę stronę - pokazała ręką odległe góry.

- Tędy nie przejdziemy - stwierdził Bernardo. Roślinność była bardzo gęsta: jeżyny, pnącza i niskie

zarośla mieszały się z dębami i korkowcami, tworząc przeszkodę nie do przebycia.

- Musimy poszukać jakiejś ścieżki i spróbujemy się tam przedrzeć... Będzie ciężko, po deszczu jest okropne błoto.

- Tak, musimy - szepnęła Yebra.

Przejechali kilkaset metrów, nim znaleźli odpowiednie miejsce. Ziemia miała tam dziwnie jasny kolor i była bardzo miękka. Ściślej rzecz ujmując, brodzili teraz w błocie.

Nagle na ich drodze stanął jakiś wielki ciemny insekt. Przypominał połyskliwego niebieskiego chrzą-

szcza, ale miał też w sobie coś z raka. Za nim ciągnął cały szereg drobnych tęczowych stworzeń, które zostawiały w błocie ślady małych łapek.

- Jest ich coraz więcej - stwierdził Bernardo. Yebra wskazała, dokąd powinni iść, więc starali się

w miarę możliwości utrzymać ten kierunek. Czasami musieli nadkładać drogi, omijając obszary, przez które nie dało się przejechać, jednak powoli zbliżali się do miejsca wskazanego przez Yebrę.

Z każdym krokiem napotykali więcej dziwnych stworzeń, które mijały ich, zupełnie nie zwracając na nich uwagi, lub krążyły wokół w niesamowitym tańcu.

Milczenie zaczynało im ciążyć. Wymieniali między sobą tylko krótkie uwagi dotyczące drogi. Nieustanna walka z gęstymi zaroślami i błotem zwiększała ich napięcie, świadomość nadchodzącej próby stawała się nieznośna. Gdy weszli na niewysokie wzgórze, zobaczyli mrowie szarych, pozbawionych skorup ślimaków.

Wreszcie Yebra powiedziała:

- Już blisko. Zostawmy tu zwierzęta i chodźmy dalej pieszo. - Zeskoczyła z mulicy i wzięła swoją torbę. Ominęła pełzające ślimaki i pokazała niedaleką polankę.

- To tam - rzekła, starając się ukryć zdenerwowanie.

Bernardowi ciarki przeszły po plecach. Spojrzał na polankę. Kilka drzew kołysało się od wiatru, który wyginał je w coraz to innym kierunku.

Przywiązali konia i mulicę do pni. Zwierzęta dreptały niespokojnie.

Powiew ciepłego powietrza zaskoczył ich. Kilkanaście metrów przed nimi ledwie widoczne wiry unosiły w górę pył i uschłe liście, słysząc było ich szelest. Jakieś dziwne zwierzęta, przypominające myszy z czułkami, wyskakiwały z tych wirów. Stały potem przez chwilę jak ogłuszone, nim pobiegły w zarośla, znikając im z oczu.

- To tu. Już nadchodzi... - Yebra zeszywniała. Bernardo stanął obok niej. Nie podobało mu się to,

co czuł; bez żadnego wyraźnego powodu miał ochotę uciec. Coś w nim się buntowało, czuł, że nie powinni tu być, że po prostu trzeba stąd odejść. Zrobił nadludzki wysiłek, żeby nie posłuchać swojego instynktu.

Ñuño wyjął sztylet schowany dotąd w połach habitu.

- Potrzebujemy żelaza? Jak go trzymać? - dopytywał się nerwowo, stając obok Yebry.

- Chyba nie będzie potrzebny. Wrota są już przecież otwarte.

Nim wypowiedziała te słowa, rozpętało się prawdziwe piekło.

Ciepły wietrzyk zamienił się w wichurę. Zobaczyli, że otaczają ich wiry powietrzne, które stopniowo przeistaczają się w tornado zdolne wessać cały świat.

- Nie stawiajcie oporu! - krzyknęła. - Pozwólcie się wchłonąć!

Jej głos zginął w huku tysiąca huraganów, które zmiatały wszystko na swej drodze.

Bernardo poczuł siłę niewyobrażalnego wiatru, który ciągnął go we wszystkie strony naraz, mimo że obok widział jedynie te małe niewinne wiry powietrzne. Zamknął oczy, by nie wprowadzać umysłu w pomieszenie i zatracił się w gęstym mroku, który zarazem wciągał go do środka i odpychał. Wreszcie wpadł do studni bez dna. Jego upadkowi towarzyszył odległy krzyk. Nagle Bernardo ze zdumieniem zrozumiał, że to on sam krzyczy. Coś targało nim coraz mocniej, a całe ciało przeszywał straszny ból. Nicość zmateriałizowała się wokół niego, wnętrzości kotłowały się wściekle, jak gdyby wszystkie jego organy jednocześnie zapragnęły się wydrzeć na zewnątrz. Ogarnęła go panika w najczystszej postaci i Bernardo krzyczał jak nigdy wcześniej. Echo własnego krzyku przywołało go w końcu do opamiętania. „Nie opieraj się!”, usłyszał znów słowa Yebry.

Wtedy pozwolił się nieść.

Dał się porwać tej sile, która chciała rozerwać go na strzępy. Wówczas, nieoczekiwanie, ból minął. Potem Bernardo poczuł, że leci łagodnie, niczym piórko unoszone ciepłą bryzą, przez kilka nieznośnych, niekończących się minut.

CZEŚĆ III

O tym, jak Bernardo i Yebra zagubili się we własnym raju

Uczucie chłodu zniknęło; Bernardo zrozumiał, że ktoś go przykrył. Z trudem otworzył oczy. Minęło kilkanaście sekund, nim pojął, że widzi nad sobą sklepienie z patyków i gałęzi, przez które sączą się promienie wieczornego słońca. Coś gładziło mu czoło i łaskotało w policzki.

Nabrał powietrza i poczuł zapach Yebry. Nigdy wcześniej nie czuł go tak wyraźnie. Pachniała mięta, ale także czymś jeszcze, czymś mrocznym i głębokim, wymykającym się słowom, czymś jej właściwym. To jej białe włosy łaskotały go w twarz. Yebra próbowała podłożyć mu coś pod głowę, by leżało mu się wygodniej.

Bernardo usiadł, lecz nagły ból kazał mu opaść z powrotem. Ziemia była twarda, ale przykryta czymś, co złagodziło upadek.

- Bernardo! Słyszysz mnie? - Głos Yebry zahuczał mu w głowie z taką siłą, jakby nie było tam miejsca na żaden inny dźwięk.

Z trudem skinął głową.

- Przez trzy dni i noce byłeś nieprzytomny. Myślałam, że umierasz... - Głos jej zadrżał, a wreszcie niemal odmówił posłuszeństwa.

Bernardo usłyszał szum liści, odgłosy zwierząt, dziwne krakanie jakiegoś nieznanego mu ptaka, serce Yebry bijące tuż obok.

Zrozumiał, że jest po drugiej stronie, w innym świecie.

- A Nuño? - zapytał, pewny, że jego przyjaciel nie kręci się w pobliżu.

Nie odpowiedziała. Przeraziło go jej milczenie.

- Czy on... umarł? - głos załamał mu się przy tych słowach.

- Nie wiem - powiedziała w końcu. - Nie przeszedł przez Wrota.

Bernardo poczuł zapach jej strachu.

- Myślałam, że ty też umrzesz... jak Jan.

Nie płakała, ale był pewien, że robiła to wcześniej. Niemal czuł na języku słony smak jej łez. Jak to możliwe, że odczuwał wszystko tak wyraźnie?

Yebra uśmiechnęła się.

- To ten świat. Zmienia cię... Tak jak mnie zmienił - rzekła, choć przecież nie wypowiedział na głos pytania.

Serce mu zamarło. Ból powrócił, jakby przeszył go piorun. Nie mógł go znieść i znów stracił przytomność.

Gdy ponownie się obudził, nie czuł ani zimna, ani ciepła. Delikatny wiatr muskał mu ciało i ze zdumieniem odkrył, że od pasa w górę jest nagi. Usiadł, czując taki natłok wrażeń, że niemal przyprawiło go to o zawrót głowy: ciepły wiatr pachnący lasem i zwierzęta, których nie umiałby nazwać; twarda, nierówna ziemia, na której leżał; poczuł nawet małe kamyczki, które wrzynały mu się w plecy. Skórę miał pokrytą maścią, która przywodziła na myśl smarowidło, jakie sporządzał czasem z galasówek na żółędziach. Bolały go mięśnie: wszystkie na raz i każdy z osobna.

Jakieś ciemne owady, przypominające płaskie robaki, spokojnie wygrzewały się obok niego. Rozłożyste drzewa, zupełnie mu nieznane, dawały trochę cienia. Światło słoneczne sączyło się przez liście, malując na jego ciele i ziemi świetliste plamy tańczące w rytm wiatru.

Zobaczył, że ma pełno krwiaków na piersi, brzuchu i bokach... Na skórze wykwitły żółtozielone plamy,

które niewątpliwie wcześniej były sińcami. Podparł się na łokciu i rozejrzał wokół. Zobaczył za sobą okrągły szałas z dachem z gałęzi i patyków. Tuż obok rozpoznał znajomą sylwetkę swojego namiotu.

Wzdrygnął się: widząc stado fruujących zwierzątek, szarych i rozdętych niczym balony. Unosiły się spokojnie w powietrzu niecałe dwa kroki od niego.

Bernardo zauważył, że leży na czymś w rodzaju noszy, na których Yebra zapewne musiała go przeciągać z wnętrza szałasu w ten pólcień, gdzie owiewał go i koił lekki wietrzyk.

Nie wiadomo jak, poczuł nagle z całą pewnością, że ona się zbliża.

I rzeczywiście, między drzewami pokazała się Yebra z glinianym naczyniem w dłoni. Widząc go siedzącego, uśmiechnęła się. Podeszła bliżej i ostrożnie odstawiała naczynie na ziemię. Położyła Bernardowi dłoń na czole.

- Już nie masz gorączki - powiedziała, a jej głos zabrzmiał mu w głowie zwielokrotniony przez jakieś dziwne echo.

Dziewczyna wyciągnęła z naczynia moką szmatkę, wycisnęła ją i przetrła mu czoło. Chłodny płyn zwilżył mu skronie i Bernardo poczuł napływ sił. Przymknął oczy i zanurzył się w fali nowych doznań.

Yebra przepłukała i wyżeła ściereczkę. Przetrła mu plecy i pierś. Wtedy Bernardo przypomniał sobie, że jest rozebrany i zawstydził się.

- Ciii... Od wielu dni myję cię i smaruję maścią, więc nie pora teraz na te bzdury...

- Czekaj - mruknął chrapliwym szeptem; własny głos przypominał mu zardzewiałą, dawno nieużywaną broń.

Odetchnął głęboko, wypełniając płuca powietrzem, które wydało mu się jakieś nowe, lekkie i czyste, tak dobre, że niemal pożywne. Znalazł siły, by wyjąć jej z ręki szmatkę i samemu przetrzeć pierś. Zauważył wówczas liczne siwe włoski na własnym torsie; sam nie wiedział, kiedy właściwie straciły swój naturalny kolor.

- Wrota cię poturbowały - wyjaśniła mu, choć o nic nie pytał.
- Byłeś bardzo poobijany. Zrobiłam maść z żołądź, pomogła ci.

- Dębowych? - spytał.

Poczuł się pewniej w rozmowie o maściach i lekach.

- Tu nie ma dębów, Bernardo. Jesteśmy w zupełnie innym świecie. Ale znalazłam coś podobnego.

- Czujesz?... Ten zapach przypomina mi żołądź, choć do tej pory nawet nie wiedziałem, że pachną jakoś szczególnie. - Bernarda przebiegł dreszcz, gdy uświadomił sobie, jak szybko rozwijają się doznania jego zmysłów. - A więc to jest ten drugi świat... - podniósł się z trudem i rozejrzał wokół.

- Tu jest przepięknie - powiedziała. - Sam popatrz... Coś takiego nie może być dziełem Szatana.

Yebra odetchnęła głęboko, tak jak on wcześniej, i Bernardo domyślił się, że czuła to samo, jakąś wewnętrzną energię, która wypełniała ich z każdym oddechem.

- Dlaczego...?

Nie dała mu skończyć pytania.

- Nie wiem, naprawdę. Ale jest pełne... mocy. Mocy, która cię wypełnia i odmienia. Zmieniła już mnie i z pewnością teraz to samo dzieje się z tobą.

- Czuję... wszystko!

Bernardo usłyszał bicie własnego serca, szum liści kołyszących się na wietrze, poczuł setki nieznanych zapachów, pracę własnych mięśni. Jego zmysły były wrażliwe jak nigdy dotąd, każde doznanie wydawało się spotęgowane.

- Wszystko w porządku?

- Chyba tak... Co się stało z Nuńem? - przypomniał sobie nagle.

- Nie wiem - Yebra pokręciła głową. - Nie przedostał się przez Wrota, nie wszedł do tego świata. Przypuszczam, że został po tamtej stronie.

Bernardo pomyślał z przerażeniem o owej dziwnej strefie, wypełnionej bólem i mrocznymi siłami, które wrzuciły go w to miejsce. Modlił się, by Nuño nie utknął właśnie tam, w tym przeraźliwym obszarze, który nie należał ani do jednego, ani do drugiego świata.

- A księga? - Myśl o przyjacielu przypomniła mu misję, którą miał do wykonania.

- Jest tam - Yebra wskazała szafas.

Podeszli bliżej. Bernardo utykał i musiał się wesprzeć na ramieniu Yebry. Szafas był malutki. Na środku, w miejscu przeznaczonym na palenisko, leżały osmalone kamienie, jeszcze pachnące dymem; tuż obok średniej grubości pień niczym kolumna podtrzymywał dach. Bernardo zauważył zawieszzone pod sufitem zioła, niektóre już ususzone, inne jeszcze świeże. Rozpoznawał niektóre zapachy, inne były dla niego nowe i budziły niesprecyzowane odczucia.

Yebra podniosła wieko podłużnego kosza z wikliny i wyciągnęła pokaźny tobolek owinięty w skórę. Wręczyła mu go uroczyście.

Usiadł na ziemi i rozwinął zawiniątko ostrożnie. Wreszcie miał przed sobą *Porta Coeli*. Wyglądała jak każda inna książka; skórzana oprawa nie była wcale zniszczona, a kiedy zajrzał do środka, zaskoczyły go staranne, czytelne litery.

- Odczytasz to? - zapytała, zaglądając mu przez ramię.

Bernardo bardzo ostrożnie przewrócił kilka stron. Pachniały wilgocią. Przebiegał wzrokiem czerwone jak krew słowa, które wypełniały stronice. Zatrzymał się nad jakąś wstrząsająco realistyczną ilustracją. Przedstawiała coś w rodzaju owada, który stał na czterech ze swych ośmiu nóg. Czułki były znacznie

dłuższe od reszty ciała i przecinały tekst, aż do połowy sąsiedniej stronicy.

- Tak - odparł w końcu Bernardo. - To greka. Greka z nietypowymi wyrażeniami i... - raz jeszcze przebiegł wzrokiem tekst - są tu fragmenty po łacinie... po arabsku... I jeszcze coś, czego nie rozumiem. To muszą być jakieś niezrozumiałe pogańskie symbole.

Odwrócił się do niej i zdał sobie sprawę, że nie patrzyła na księgę, tylko na niego. Przypomniał sobie, że jest półnagi. Niezwykle ostrożnie zamknął księgę i rozejrzał się wokół. Zobaczył swoje ubranie, starannie złożone. Wziął koszulę i szybkim ruchem wciągnął ją przez głowę. Ku jego zaskoczeniu pachniała kwiatami. Wrócił do księgi i otworzył ją ponownie, by zagubić się wśród jej grubych kart.

- Ugotuję coś, to ci dobrze zrobi...

Yeبرا zniknęła, a Bernardo zaczął czytać; już po chwili zupełnie zatracił się w lekturze. Dopiero kiedy owionął go lekko kwaśny, lecz przyjemny zapach, domyślił się, że jego towarzyszka rozpałała ogień i ugotowała zupę.

Yeبرا podeszła do niego z glinianym naczyniem i podała mu drewnianą łyżkę. Bernardo odłożył księgę na bok. Jego organizm domagał się ciepłej stawy. Musiał się wzmocnić. Włożył łyżkę do zupy i z zainteresowaniem powąchał szarawy wywar, który parował mu w twarz.

- Co to jest?

Yebra uśmiechnęła się.

- Nie mam pojęcia. - Poszukała czegoś łyżką w misce. - To zupa z tego!

Wydobyła z wywaru pomarańczowego podkowiastego robaka, z długimi wąsami, wyłupiastymi czarnymi oczkami i licznymi odnóżami.

Bernardo z trudem powstrzymał odruch wymiotny.

- Jest jadalny?

Yebra wrzuciła robaka z powrotem do zupy.

- Nie umiem czytać, ale rysunki są bardzo wymowne. Zobacz...

Wzięła tom i otworzyła go na jednej z ostatnich stronic. Rycina przedstawiała tego samego robaka w jakimś kotle.

- Spędziłam tu wiele czasu i na początku kierowałam się wyłącznie księgą. Potem już na własną rękę próbowałam... tego i owego. Roślin i zwierząt, które przypominają te z naszego świata. Nie myśl sobie, niektóre z nich okazały się ciężkostrawne lub nawet trujące, ale nie do tego stopnia, bym nie mogła temu zaradzić ziołami takimi jak parzydło. Wrzuciłam poza tym do zupy korę wierzby; daje kwaskowaty posmak, ale będzie ci smakowało.

Bernardo wziął do ust pierwszą łyżkę. Nie było to takie złe. Rosół dotarł do żołądka i dodał mu sił.

- O czym mówi księga? - zapytała Yebra, nabierając sobie zupy z wspólnej miski.

- Tak jak mówił nam Dimas... Podróżnik opowiada, jak odwiedził świat, który nazywa „krajem dawnych bogów”. Opisuje niektóre zwierzęta, rośliny, drzewa i, z tego, co zdążyłem zauważyć, wyjaśnia, jak otworzyć Wrota... A także jak je zamknąć. Jednak są tam zdania, słowa i zwroty, które nie bardzo potrafię zrozumieć. Są też jakieś znaki zupełnie mi obce. Nie pochodzą ani z łaciny, ani greki. To... jakieś pogańskie symbole... Tak naprawdę nie wiem, co to takiego. Słyszałem o egipskich hieroglifach, ale tych nikomu nie udało się odczytać...

- Jan zmagał się z niektórymi ustępami przez całe lata.

- Dimas będzie wiedział, komu to dać do przetłumaczenia.

Kiedy wspomniał o Dimasie, przypomniała mu się Święta Ceklina. Przeor wykonuje tam swoje codzienne obowiązki, podczas gdy oni... są w innym świecie!

- Musisz mi wszystko pokazać, Yebra. Musimy zebrać jak najwięcej wiadomości o tym świecie i przekazać je do klasztoru. Wiesz, chodzi mi o niespotykane zwierzęta, rośliny...

Uderzyła go myśl, że jest odkrywcą nowego świata.

- Mój Boże! To wszystko jest... niewiarygodne! Yebra przyglądała się, jak podekscytowany wymachiwał łyżką; sama jadła bardzo spokojnie.

- Mamy aż nadto czasu, byś dokładnie poznał ten świat...

Znaczenie jej słów uderzyło Bernarda jak obuchem.

- Nie wiem, kiedy będziemy mogli wrócić - mówiła dalej. -
Poprzednim razem trwało to bardzo długo... Te straszliwe
Wrota poruszają się tak wolno. Myślę, że spędziłam tu prawie
rok, choć nie wiem tego na pewno.

Bernardo słuchał z napięciem każdego jej słowa.

- A kiedy Wrota nadeszły, zaskoczyły mnie zupełnie. Nie
chcę, żeby to się powtórzyło. Jeśli mamy zabrać księgę z
powrotem, musimy się dobrze przygotować.

Przytaknął.

Wieczór spędzili, spacerując. Wreszcie Bernarda, który nie
odzyskał jeszcze pełni sił, ogarnęło zmęczenie. Wszystko było
nowe i inne. Każde drzewo, każda roślina, każde zwierzę, które
napotykali, stanowiły niespodziankę. Bernardo starał się
wszystko zapamiętać, wszystko poznać i jego umysł, zawsze
ciekawym nowym bodźców, znalazł tu niewyczerpane źródło
przyjemności. Wyobrażał sobie, jak opowie to wszystko
Dimasowi, a nawet rozważał możliwość ekspedycji do tego
świata. Pomysł gonił pomysł i po raz pierwszy Bernardo w
pełni dostrzegł ogromne bogactwo, jakie niosło ze sobą
odkrycie nowej niezbadanej krainy. Domagałby się przyznania
tych ziem koronie aragońskiej, Zakonowi Świętej Ceklidy...
Pomyślał,

że trzeba będzie przekazać nowinę królowi i samemu papieżowi! Już Dimas będzie wiedział, jak rozegrać te polityczne kwestie. Konsekwencje odkrycia wręcz go przeraziły swoimi rozmiarami. Zastanawiał się, czy uda mu się wrócić do własnego świata i stworzyć most pomiędzy oboma wymiarami.

Stopniowo zaczął się też przyzwyczajać do nadwrażliwości swoich zmysłów i nauczył się poruszać wśród natłoku barw, smaków, zapachów, wrażeń dotykowych i odgłosów...

Najpierw przyporządkowywał obraz do każdego nowego zapachu.

- Zobacz - pokazywała mu Yebra - pachnie koprem, wygląda jak koper, ale to co innego! Tak jakby należał do tego samego gatunku, ale listki ma odrobinę inne.

Bernardo przyglądał się w skupieniu roślinie, którą mu pokazywała.

- A te drzewa bardzo przypominają dęby. Patrz - pokazywała na ziemię - żołędzie! Ale ich pnie...

- Tak, już widzę.

- Używałam tych żołędzi w taki sposób, jak tych z naszego świata. I udało się. Muszą być niemal identyczne.

- Ułatwiają gojenie?

- Tak! Są świetne na rany, krwawienia... Zupełnie to samo!

Bernardo podniósł kilka żołędzi z ziemi. Musiały spaść już jakiś czas temu, bo poczerniały, a wiele

z nich miało małe dziurki, świadczące o tym, że do środka dostały się robaki. Powąchał je. Zalała go fala wrażeń.

- Nie mogę się do tego przyzwyczaić... Popatrzyła na niego pytająco.

- Tyle zapachów, tyle doznań! - wyjaśnił. Yebra uśmiechnęła się.

- Nie pamiętam już, jak to wtedy odczuwałam...

- Jej uśmiech nabrał ironicznego wyrazu. Był przekonany, że coś przemilczała.

- O co chodzi, Yebro? Co przede mną ukrywasz? Milczała przez długą chwilę, patrząc na niego lekko

złościwie. Wreszcie powiedziała:

- Teraz też jesteś czarownikiem... - Znów uśmiechnęła się gorzko. - Teraz będziesz czuł zapachy z daleka, będziesz rozpoznawał chorobę po samej woni lub po biciu serca. I głowę bym dała, że jak ja będziesz mógł paraliżować ludzi i niemal czytać im w myślach.

Zaśmiała się głośno.

Bernarda jej słowa bynajmniej nie rozbawiły, wręcz przeciwnie. Wiedział, że wszystko inaczej odczuwa, że zmienia się, i bardzo go to niepokoiło. A myśl, że byłby w stanie robić to samo, co Yebra, wprowadziła go w prawdziwe przerażenie.

- Przykro mi, Bernardo. Przykro mi - potarła oczy

- ale teraz... wreszcie nie jestem sama! Ktoś jeszcze będzie czuł jak ja.

Bernardo wciąż był poważny i blady jak widmo.

- Przykro mi, naprawdę. Ale... - przybrała okolicznościową minę - już zbyt długo byłam inna niż wszyscy, zbyt długo zastanawiałam się, co się ze mną dzieje i dlaczego, zbyt długo nie umiałam znaleźć żadnego wytłumaczenia, a teraz... Teraz ty jesteś taki jak ja.

- Rozumiem cię, Yebro, naprawdę. Rozumiem to - odparł ze smutkiem.

Jednak nie odważył się powiedzieć jej tego, co w istocie myślał: „Ale tak bardzo się boję”.

Rozejrzył się wokół, patrząc na ten nowy świat, dziwny, a zarazem bardzo bliski, i pomyślał, że coś tak pięknego nie może być dziełem Szatana. A jednak zmiany, do których dochodziło w nim samym, w jego ciele i duszy, napełniały go niepokojem, od którego nie potrafił się uwolnić.

Kiedy zapadł zmierzch, nowe wrażenia stały się udziałem Bernarda. Zrobiło się dużo chłodniej. Świeży powiew przynosił coraz to nowe zapachy. Las pachniał inaczej: głębiej, czuć było wilgoć, zgniłe liście, żywą glebę. Mężczyzna rozpoznał przenikliwy aromat pewnych kwiatów, wzmagający się po zmroku. Fosforyzujące w ciemności owoce nadawały fantastyczny wygląd roślinności otaczającej ich mały obóz.

Wraz z zapadnięciem nocy z zarośli wychynęły stworki o różowo-żółto-zielonej sierści, identyczne jak te, które złapali przed paroma tygodniami. Pode-

szły do Bernarda, zjeżyły włoski i krążyły wokół, wymieniając między sobą błękitne błyski.

Bernardo schronił się do szałas. Ogień, który rozpalila Yebra, przygasał już na głównym palenisku. Dziewczyna leżała zwinięta w kłębek, otulona kocem. Spała. Poznał to po oddechu, szybkim i głębokim. Ze zdumieniem odkrył własną pewność, że w jego najbliższym otoczeniu nie ma żadnej innej istoty obdarzonej świadomością.

Poszedł do swojego kąta, położył się i również przykrył. Nie było mu zimno, wręcz przeciwnie, ale opatulił się dokładnie. Nie mógł zasnąć. Mimo woli wsłuchiwał się w dźwięki dobiegające z lasu i poświsty wiatru w gałęziach tworzących dach. Towarzyszyło mu pohukiwanie jakiegoś zwierzęcia; brzmiało podobnie do sowego, ale nie wiadomo dlaczego był pewien, że wydaje je jakieś zwierzę naziemne, nocne i pokryte gęstą sierścią. Przeszkadzały mu też odległe piski, wycia i jeszcze bardziej niepokojące szelesty rozlegające się w pobliżu. Jakieś stworzenia najwyraźniej czołgały się po ziemi wokół szałas. Jednak jeszcze bardziej niż owe dźwięki dręczył go ciężki, głęboki oddech Yebry, jej miętowa słodkawa woń, która wypełniała powietrze i niemal go dusiła.

Starał się zasnąć, oddychając w tym samym rytmie co ona. Gdy to się nie powiodło, przewrócił się na drugi bok, szukając wygodniejszej pozycji. Godziny

wlokły się, a senność wciąż nie nadchodziła. Żołądek to ścisnął mu się, to znów wypełniał powietrzem rytmicznie wydychanym przez Yebkę.

Zrezygnowany wstał w końcu i wyszedł z szałas. Tam, w otoczeniu złudnego blasku owoców i świeżego powietrza, napięcie, które nim owładnęło, zaczęło wreszcie opadać. Przyjrzał się gwiazdom: nieznane konstelacje błyskały do niego z góry. Nappełnił płuca czystym nocnym powietrzem. Obszedł szałas kilka razy, popatrzył na kręcące się wokół tęczowe robaki i po dłuższym czasie poczuł wreszcie znużenie. Wrócił do szałas, otulił się kocem i zapadł w głęboki sen.

Następnego dnia obudził się oblepiony wilgocią, która zdawała się przenikać do szpiku kości. Mgła wisiała w powietrzu przez cały dzień, tak że ledwo było widać drzewa i gęste krzaki.

Bernardo poświęcił poranek na lekturę *Porta Coeli*; zmagał się z kilkoma trudniejszymi ustępami po grecku i sycił oczy najbardziej niezwykłymi ilustracjami. Nagle do namiotu weszła Yebra, zaskakując go nad księgą.

- Naucz mnie czytać - poprosiła. Popatrzył na nią zdezorientowany.

- Brat nigdy nie chciał mnie nauczyć - przypomniała. - Mówił, że to niebezpieczne. Czy i ty tak uważasz?

- Usiądź obok mnie - brzmiała odpowiedź.

Ulokowała się na ziemi, nie odrywając oczu od księgi. Bernarda owionęła woń mięty.

- Umiem trochę po grecku... - wyjaśniła szybko - i znam rzymskie cyfry.

- Zaczniemy od łaciny... A rzymskie cyfry to jeden z najmniej praktycznych wynalazków, jaki kiedykolwiek istniał. Musisz się nauczyć arabskich.

- Wszyscy mówią, że są nieczyste...

- Litery, znaki... nie mogą być nieczyste. Nieczystymi mogą być ci, którzy ich używają w nikczemnych celach. Wiedzy, żadnej wiedzy, nie można nikomu odmawiać! Niezależnie od tego, skąd ona pochodzi...

- Jan też tak mówił...

- Tak, w Świętej Ceklinie szanują wiedzę, a jednak... jeszcze niedawno nawet nie miałem pojęcia, że w klasztorze są zakazane księgi.

Yebra wyczuła zawód w jego głosie.

- To cię rozczarowało?

Bernardo, niemal odruchowo, chciał potwierdzić. Ale przemyślał to błyskawicznie i ku własnemu zaskoczeniu odpowiedział co innego.

- Nie, oczywiście, że nie. Być może... być może nie wszyscy jesteśmy gotowi na niektóre prawdy. Na przykład ja. Wciąż nie mogę uwierzyć w istnienie tego świata.

- A więc sam widzisz... - w jej głosie znów zabrzmiała leciutka ironia.

- Ani też nie jestem gotowy, by uwierzyć w istnienie jednorożców - ciągnął dalej, nie zwracając na nią uwagi - i innych fantastycznych zwierząt w rodzaju monstrualnych gargulców. Ale rzecz nie tylko w tym. Nie rozumiem... Nie mogę pojąć, jak działają te Wrota między dwoma światami i... nie sędzę, bym kiedykolwiek to zrozumiał. Nie jestem gotów na zrozumienie tego, a jeśli ja nie jestem, to pewnie i wielu innych ludzi miałoby z tym trudności.

- Wobec tego po prostu przyjmij, że tak jest. Ten świat istnieje, Wrota działają i tyle! Nie próbuj pojąć wszystkiego.

- Ale ja nie mogę uniknąć tych pytań, Yebro. I nie znajduję żadnego wyjaśnienia.

Zdawało się, że dziewczyna chciała coś dodać, ale powstrzymała się, widząc, że Bernardo nie powiedział wszystkiego i szuka jedynie odpowiednich słów, by wyrazić swoją myśl.

- Czego się boisz? - zapytała w końcu. Bernardo odważył się spojrzeć prosto w jej ciemne
oczy.

- Boję się Boga, Yebro - powiedział bardzo poważnie. - Wierzę w Niego i całe moje życie było z Nim związane. Teraz dręczą mnie wątpliwości. - Bernardo spojrział jej w oczy. Ucieszył się, że zrzucił z duszy brzemie, które tak bardzo mu ciążyło. - Oglądam ten świat, czysty i piękny, i mam pewność, że to dzieło Boże... Nie może być dziełem Szatana. To niemoż-

liwe! - powtórzył. - A jeśli to dzieło Boże, to znaczy, że nasz świat nie jest jedyny. Ani jedyny, ani wybrany! Naprawdę, nie jestem uczonym ani teologiem, tylko zwykłym chrześcijaninem. Moja wiara zawsze była czysta i silna. Jednak teraz, kiedy zobaczyłem to wszystko, czuję, że pojawiła się na niej rysa. Poznanie, którego zawsze szukałem: prawdy, wiedzy... sprawiło, że moja wiara się zachwiała. I nie wiem... - urwał, potykając się na każdym słowie.

- Nie wiesz, czy powinniśmy o tym mówić, prawda? Boisz się, co się wydarzy tam, w naszym świecie, gdy dowiedzą się, że jest jeszcze jakiś inny...

Bernardo smutno pokiwał głową.

- Boję się śmierci Boga. Boję się, że ta wiedza Go zabije, a ja... ja po prostu Go kocham.

Oboje umilkli. Mgła zaczynała się rozpraszać. Wciąż wydawała się lepka, ale zabarwiła się na purpurowo.

- Może nie my powinniśmy o tym rozstrzygać, Bernardo. Może jesteśmy tylko narzędziami w rękę Boga, częścią boskiego planu i nie w naszej mocy decydować o czymkolwiek, bo to On o wszystkim decyduje. Wypełnimy nasze zadanie, wrócimy z księgą, zamkniemy Wrota i pozwolimy, by inni, papież czy kto tam jeszcze, zdecydowali, co począć z tym drugim światem i czy należy ukryć jego istnienie, czy też nie.

- Ale chodzi już nie tylko o istnienie tego świata i jego bogactwa, które, nie wątpię, niejeden będzie

chciał sobie przywłaszczyć. Ten świat zmienia mnie samego i to... jest najbardziej *przerażające* - powiedział, wstając gwałtownie, jakby chciał uciec przed tym, o czym mówił.

- Bernardo, poczekaj... - również się podniosła, by nie patrzył na nią z góry. - Jeżeli wstawisz kwiat do wody zabarwionej na jakiś kolor, kwiat też się zabarwi, prawda? Ale pozostaje wciąż tym samym kwiatem!... Miałam dużo czasu, by to przemyśleć, zapewniam cię. Czulałam się opętana wiedźmą, gdyż potrafię zrobić to, co podobno czynią wiedźmy. Ale przecież wiem, że nią nie jestem. Jestem... dobrym człowiekiem, stworzeniem Bożym... - W czarnych oczach Yebra pojawiły się łzy, które jednak nie wypłynęły, i Bernardo poczuł, że coś go ściska w dołku.

- Może to On wystawił mnie na próbę, byście potem wy mogli tu dotrzeć. Nie wiem, do czego Mu może być potrzebny ten świat! Ale nie jestem dziełem Szatana. Jestem tylko... tym kwiatem, który trochę zmienił kolor, bo żyłam w miejscu, które mnie zmieniło...

Yebra wbiła w niego swoje przenikliwe spojrzenie.

- Musimy się z tym pogodzić, Bernardo. Im szybciej to zrobisz, tym lepiej dla ciebie. Bo jeśli wrócimy do naszego świata, tego prawdziwego, nigdy już nie będziesz taki jak przedtem. Inaczej będziesz myślał, inaczej czuł. Możesz być tego pewien. - Nagle Yebra spoważniała jeszcze bardziej. - I będziesz się czuł do

tego stopnia inny niż wszyscy, że wreszcie zaczniesz się zastanawiać, czy rzeczywiście nie jesteś czarnoksiężnikiem lub człowiekiem opętanym przez Szatana. Ale przecież to nieprawda!

Bernardo słuchał w milczeniu. Zastanawiał się, ile to już razy i tak uznano go za czarnoksiężnika. Wtedy miał całkowitą pewność, że nim nie jest. Po prostu przestudiował dziedziny wiedzy, których inni nie znali. Teraz już nie będzie mógł powiedzieć tego samego.

Ssanie, które czuł w żołądku, nasiliło się. Wyszedł z namiotu, by rozproszyć dręczący go lęk.

Po południu, już nieco spokojniejszy, Bernardo udzielił Yebrze pierwszej prawdziwej lekcji czytania. Pokazał jej łaciński alfabet i kazał nauczyć się go na pamięć. Dziewczyna okazała się pilną uczennicą, gdyż bardzo pragnęła zrozumieć symbole, które widziała tyle razy. Próbowwała także rysować na piasku litery, które jej pokazywał. Kreśliła je patyczkiem, najpierw niezdarne, potem coraz pewniej. Odtwarzała na ziemi kształty, które położone jeden obok drugiego nabierały nowego znaczenia.

Potem zbierali co ciekawsze owoce rosnące w słońcu; były bardzo czerwone, okrągłe, wielkie jak jabłka i niezwykle delikatne. Stwierdzili, że w środku są bardzo soczyste i świeże.

Jakieś zwierzęta, przypominające gigantyczne stonogi, podchodziły do nich z zaciekawieniem, bez najmniejszych przejawów strachu. Popiskiwały przy tym cienko.

- Trzeba by je jakoś nazwać. To te, które nas budzą co rano, przychodzą stamtąd, zza horyzontu. Możemy je nazwać... *ryzonty*... Albo *dronty*!

Bernardo przyglądał się dziwnym stworzeniom. Nie miał przekonania do pomysłu z nazwami. Przypominały mu się sceny opisu stworzenia świata, Bóg nadający wszystkiemu nazwy. Nie chciał sobie uzurpować takiego prawa, choć z drugiej strony musiał przyznać, że z praktycznych względów było to użyteczne.

- Niech będzie. *Dronty* - powtórzył, jakby smakując słowo. - Brzmi nie najgorzej... *Dronty* - powtórzył.

To była pierwsza nazwa, jaką nadali. Potem powstały *misje* - tak ochrzczili myszki z niebieskimi brzuskami - i *ody*, trzmiele o świetlistych skrzydłach. Znajome kolorowe robaki, które zawieźli do Świętej Cekliny, nazwali *suwiami*. Tym sposobem stopniowo zaczęli oswajać nowy świat.

Bernardo obawiał się nadejścia nocy; już drugiej w tym świecie. Był bardzo zmęczony i przekonany, że ma wielkie wory pod oczami. Mimo wyczerpania, kiedy późną nocą owinął się wreszcie kocem, poczuł

napływ sił, jakby jakaś energia opanowała go i teraz próbowała znaleźć ujście na zewnątrz. Czuł mrowienie skóry między palcami. Chciał się rozluźnić, ale nie umiał. Szybki i głęboki oddech Yebry, który wciąż słyszał, uniemożliwiał mu sen.

Znów wyszedł na zewnątrz odetchnąć świeżym powietrzem.

Odkrył wokół nowe stworzenia, coś w rodzaju maleńkich jeży, które wzajemnie pocierały się kolcami, wytwarzając przy tym dźwięk podobny do cykania świerszczy... Świerszczy, towarzyszących mu przez całe dzieciństwo, które coraz bardziej zacierało mu się w pamięci.

Bernardo zamknął oczy i przeniósł się w przeszłość, do odległych czasów, gdy mieszkał ze swoją piastunką i matką w rodzinnym zamku. Jego ojciec zmarł tak szybko, że ledwie go pamiętał. Wuj wychował go jak własnego syna. Wpoił mu staroświecki kodeks honorowy. Brat Jacobo kształtował jego charakter, aż zrobił zeń młodzieńca ciekawego świata i miłującego naukę. Bernardo był utalentowanym i pilnym uczniem, wyróżniającym się w geometrii, logice, filozofii... Szybko prześcignął swojego nauczyciela i Jacobo mógł tylko poradzić mu, by udał się do Świętej Cekliny.

„Zakon Świętej Cekliny sławi Boga poprzez naukę, Bernardo. Nie ma lepszego miejsca dla ciebie. Napiszę do kogoś... Jesteś szlachetnie urodzony, twoja krew

jest czysta, wywodzisz się z rodu rycerskiego, który nigdy nie uprawiał ziemi, i jestem pewien, że inne zakony przyjąłby cię bez wahania", powiedział mu jego pierwszy nauczyciel. „Ale dobrze cię znam, chłopcze i wiem, że tylko w Świętej Ceklina będą umieli zaspokoić twoją żądzę wiedzy. Oni są najmądrzejsi i korzystają z takich samych prebend oraz przywilejów co inni, choć muszę cię uprzedzić, że spotkasz tam nie tyle szlachetnie urodzonych, ile raczej miłośników nauki. Jestem przekonany, że nie ma dla ciebie lepszego miejsca".

Jacobo nie pomylił się. Bernardo odnalazł swoje miejsce w murach Świętej Ceklina, we wspólnocie i w studiach. Kiedy zaś po latach wrócił do zamku, odkrył, że to już nie jest jego dom. Matka umarła, podczas gdy kształcił się w klasztorze. Jacobo przestał być tym samym nauczycielem, jakiego pamiętał: wypadek, któremu uległ, zmienił go w śliniącego się głupca. Zgryźliwy charakter wuja rozwinął się w pełni, pogrążając go w obsesyjnych sąsiedzkich sprzeczkach, które teraz, z nowej perspektywy, wydawały się Bernardowi błahe i bezużyteczne. Wszystko się zmieniło, a najbardziej on sam. Nie pasował już tam, postanowił zatem powrócić do Świętej Ceklina. Wrócił do klasztoru i spędził kilka lat, biorąc udział w misjach wojskowych, które mu powierzano, aż wreszcie przeor uznał, że to właśnie Bernardo najlepiej nadaje się do sprawowania opieki nad Gonzalem

z Almacei, i tym sposobem zamek tego ostatniego stał się nowym domem Bernarda. Lata upływały coraz szybciej, Bernardo przyzwyczyił się do swojego nowego życia... I nagle wszystko znów się zmieniło - oto trafił do innego świata, który go zarazem fascynował i przerażał.

Śpiew nocnych stworzeń, tak podobny do cykania świerszczy, ustal na chwilę i Bernardo otrząsnął się ze swoich wspomnień. Odetchnął głęboko i wrócił do szałas, zmęczony, lecz gotów stawić czoła losowi, jaki Bóg dla niego przygotował.

Wstał bardzo późno ze świeżą głową i w wesołym nastroju. Zastał Yebrę przy opraciwaniu jakiegoś zwierzęcia podobnego do królika. Obserwował ją z daleka, zastanawiając się po raz setny, jak to możliwe, że ktoś tak młody ma tyle wewnętrznej siły. Kiedy podszedł do niej, wysłała go po wodę do pobliskiego strumienia.

Bernardo zanurzył stopy w potoku i przez chwilę rozkoszował się miłym uczuciem, wywołanym przez kontakt z niemal lodowatą, wartko płynącą wodą. Napęłniło go to energią i dodało sił. Napęłnił bukłak, zarzucił go sobie na plecy i wrócił do Yebry.

- Wiesz - powiedziała - Jan skopiował kilka stron księgi. Może tam znajdziesz jakąś wskazówkę, żeby odczytać te fragmenty, których nie rozumiesz.

- I nic mi wcześniej o tym nie powiedziałaś? Yebra wstała i wytarła zakrwawione ręce w swoją

długą tunikę. Poszła do namiotu stojącego obok szałas i wyszła stamtąd z kilkoma zwojami pergaminu.

- Przejrzyj to.

Wziął je do ręki, nie kryjąc ciekawości i ostrożnie rozłożył na ziemi. Yebra zerknęła mu przez ramię. Oglądał jeden po drugim. Większość stanowiły pięknie wykonane ryciny. Bernardo musiał przyznać, że Jan był niezwykle utalentowanym artystą.

Jeden z pergaminów przykuł jego uwagę.

- Tu są jakieś zapiski twojego brata. To, hmmm... - z trudem odcyfrowywał symbole - wskazówki, jak otworzyć Wrota i... o żelazie...

Bernardo zamilkł, wpatrując się w pergamin. Czekając chwilę, nim zrozumiała, że Bernardo nie zamierza powiedzieć nic więcej.

- Wrota są już otwarte - stwierdziła. - Naszym zadaniem jest je zamknąć. Jeśli wskazówki dotyczące zamknięcia są jasne, nie ma znaczenia, jak bardzo skomplikowane było otwarcie Wrót. Musimy się skupić wyłącznie na fragmentach, które mówią o zamykaniu...

- Tak... - potwierdził Bernardo, otrząsając się z zadumy. - Masz rację, ale... - uśmiechnął się. - To jest bardzo ciekawe. Może dzięki temu zdołamy też rozszyfrować inne znaki.

- Mój brat popadł w obsesję na ich punkcie. Oby tobie się to nie przydarzyło.

- Nie mam skłonności do popadania w obsesję.

- Oczywiście! - wybuchnęła śmiechem, choć Bernardo nie bardzo rozumiał, co ją tak rozśmieszyło.

Reszta dnia minęła spokojnie. Upolowali kilkoro zwierząt, jakichś robaków podobnych do *suwii*, choć nie tak pstrokatych, i upiekli nad ogniskiem. Jedli je, początkowo z odrazą, potem łapczywie, przekonawszy się, że ich mięso było kruche i smaczne, lekko słonawe, jak u niektórych stworzeń morskich.

O zmierzchu Bernardo z niepokojem zaczął myśleć o czekającej go kolejnej długiej bezsennej nocy. Zastanawiał się, czy nie powinien udać się na porządny spacer, który by go naprawdę zmęczył i, być może, ułatwił zaśnięcie. Yebra domyśliła się, co go martwi.

- Zauważyłam, że źle sypiasz - zagaiła nieśmiało. „Tak bardzo po mnie to widać?”, miał ochotę zapytać.

- Te wory pod oczami mówią same za siebie, Bernardo. To sprawa ciała czy duszy? Mam coś, co mogłoby ci pomóc.

Sam nie wiedział, co odpowiedzieć; znał parę specyfików, które zmniejszały napięcie mięśni lub

środków uspokajających. Przede wszystkim nie umiał jednak określić, skąd bierze się problem.

- Nocą mam mnóstwo siły, która wręcz mnie rozpiera, ale z drugiej strony... jakiś nadmiar myśli. To wszystko nie daje mi spokoju...

- Rozumiem - ucięła, nie prosząc o dalsze wyjaśnienia i domyślając się, że byłyby długie i zawile. - Przyniosę ci coś, co jest dobre i dla ducha, i dla ciała.

Uśmiechnął się do niej z wdzięcznością.

Nadeszła trzecia noc. Bernardo ułożył się do snu. Wyglądało na to, że wywar, który wypił, nie skutkuje. Najpierw leżał nieruchomo, ponieważ jednak sen nie nadchodził, przewrócił się na drugi bok w nadziei, że znajdzie bardziej sprzyjającą wypoczynkowi pozycję.

W ciszy nocnej zatęsknił za cykaniem niby-świerszczy i czymś, czego brak uświadomił sobie dopiero po chwili: głębokim, rytmicznym oddechem Yebry.

Bernardo odwrócił się, by sprawdzić, czy dziewczyna śpi. Ze zdumieniem odkrył, że przygląda mu się w ciemnościach.

- Ja też nie mogę zasnąć - szepnęła Yebra głosem mrocznym jak sama noc. - Wiem, co czujesz, bo ja czuję to samo - wstała powoli i położyła się obok niego.

Bernardo słyszał wyraźnie swoje serce bijące mocno. Tuż obok jej serce kurczyło się w tym samym

rytmie. Poszukał blasku jej oczu w ciemności, a kiedy go odnalazł, zaatakowała go znowu tamta siła, która wiele miesięcy temu otworzyła w nim niemożliwą do zamknięcia szczelinę. Ta energia przełamała jego ostatnie hamulce i wreszcie pozwolił dojść do głosu emocjom, które od tak dawna w sobie tłumił.

Bardzo wolno zbliżył się do Yebry, wziął w dłonie jej twarz i pocałował. Pił z jej ust jak człowiek konający na pustyni, spragniony łyku czystej świeżej wody.

- Nie - szepnęła cichutko - nie tak.

- Przepraszam - powiedział i odsunął się.

- Nie, mówię tylko, że.... nie t a k - powtórzyła. Uśmiechnęła się do niego w ciemności. Teraz ona

przyciągnęła go do siebie i pocałowała, długo i delikatnie, ale z tą samą stanowczością, z jaką robiła wszystko. Bernardo pozwolił się prowadzić. Ponad wszystkie zapachy, smaki, odcienie i dźwięki, które go zalały, wybijał się podobny miłosnej pieśni wspólny rytm ich serc.

Bernardo wsłuchał się w swoje zmysły, by z nową intensywnością poczuć każde najlżejsze doznanie, tak bardzo zwielokrotnione i pełne, że wydawało się wręcz nierealne.

Rano obudził się, trzymając ją w objęciach. Przez chwilę leżał bez ruchu. Napawał się nowym aromatem, którego nabrała teraz jego skóra i przyglądał się

twarzy, której nigdy nie widział z tak bliska. Jego spojrzenie zatrzymało się na surowym medalionie, który miała na szyi. Spiralny symbol, który go zdobił, był taki sam jak u niego. Potarł metal i jak zawsze ten prosty gest uspokoił go.

Yebra otworzyła oczy, a gdy zobaczyła, że jej towarzysz nie śpi, wtuliła się w niego.

- Z tego, co widzę, dziś dobrze spałeś - powiedziała.

- Chyba ten wywar pomógł - zażartował.

- Myślałam... - zauważyła, przeciągając się - że ty... Ze nie interesują cię kobiety, że ich nie lubisz. Ze...

- Nigdy nie byłem na nie obojętny - przerwał jej - ale... - starannie dobierał słowa - nigdy nie poznałem żadnej, którą mógłbym uważać za tę... jedyną żadnej, która mogłaby mi dać coś więcej niż upojną noc. Zawsze szukałem kogoś, kto... by mi dorównał... kto nie byłby niżej...

Yebra poruszyła się na posłaniu.

- Niżej... Od czasu do czasu mogę być niżej...

- Mówię poważnie, Yebro.

- Ja też.

Bernardo zaśmiał się mimo woli.

Codziennie życie Bernarda zmieniło się nie do poznania. Nigdy by nie pomyślał, że kiedyś będzie

dzielił je z kobietą. A teraz mieszkał z jedną z nich, a w dodatku traktował ją jak równą sobie.

Razem badali rośliny, niektóre bardzo podobne do tych, które znali, inne tak dziwaczne, że wydawały się wybujałym tworem obłąkanej wyobraźni. Wspólnie próbowali dociec, które są jadalne, a przede wszystkim określić ich ewentualne właściwości lecznicze. Te botaniczne zajęcia stanowiły niewyczerpane źródło poznania.

Przyroda potraktowała ich życzliwie; ziemia rodziła obfite plony, o ile tylko poświęciło jej się odrobinę pracy i serca. Polubili pewne słodkie, smaczne bulwy o odcieniu pomarańczy, bezkształtne jak imbir, które okazały się wyjątkowo łatwe w uprawie, a także inne, brązowe i żółte, które mnożyły się tak szybko, że zarastały cały teren wokół i trzeba było spieszyć się ze zbiorami, jeżeli chciało się im uniemożliwić opanowanie całego warzywnika. Odkryli, że nadawały się do gotowania i że ich smak na surowo był zgoła inny, niż kiedy jedli je jako puree. Dla dwóch osób o tak żywych umysłach wypróbowywanie nowych smaków i przepisów równało się wspaniałej rozrywce.

Były też zwierzęta. W tej okolicy nie natknęli się wprawdzie na niebezpieczne gatunki; owszem, parę razy znaleźli na wpół pożarte przez jakiegoś drapieżnika zwierzęce szczątki, ale jak wynikało ze śladów, nie mogły to być duże osobniki. Zatem wszystkie

stworzenia, z którymi się bezpośrednio zetknęli, były łagodne. Domyślali się, że nawet jeśli żyły tu jakieś większe i groźniejsze zwierzęta, to unikały kontaktu z ludźmi.

Klimat był zupełnie inny niż w ich świecie. Dni stawały się coraz krótsze, kiedy jednak policzyli je, okazało się, że przebywają tu już około ośmiu miesięcy. Z trudem mogli określić pory roku. Zmiany były tak subtelne i stopniowe, że ledwie dostrzegali różnicę. Wstawali o świcie i niekiedy dni wydawały się dłuższe. Wtedy roślinność na kilka tygodni stawała się jeszcze bardziej wybujała w kolorze i formie. Przywodziło to na myśl wiosnę. Innym razem wieczorna bryza stawała się chłodniejsza niż zwykle, tak że musieli szukać czegoś, by się okryć; wówczas wydawało im się, że dni są krótsze. Jednak zmiany te były prawie niezauważalne.

Yebra opanowała sztukę czytania i pisania. Bernardo, który wielokrotnie uczył zarówno szlachetnie urodzonych, jak i ludzi z gminu, nie potrafił uniknąć porównań i podziwiał naturalną inteligencję, jaką obdarzył ją Bóg. Zrozumiał, dlaczego Jan uczynił z niej swoją uczennicę i otworzył przed nią wrota poznania. Jej żądza wiedzy była równie wielka, co pracowitość. Bernarda wciąż zaskakiwał upór, z jakim starała się zrozumieć bardziej skomplikowane zagadnienia.

Wspólnie zgłębiali dziedziny takie jak geometria i arytmetyka. Yebra nauczyła się w końcu cyfr arabs-

kich, co znacznie ułatwiło jej obliczenia, które przy użyciu rzymskiego systemu rachunków były dużo bardziej zawiłe.

Ich związek również rozwijał się powoli, jak pory roku. Stopniowo zapanowali nad pożądaniem, początkowo dzikim i nieposkromionym po zbyt wielu latach powściągliwości i ascezy. Udoskonalili sztukę miłosną, tak że stała się źródłem przyjemności, które wciąż kryło w sobie nowe niespodzianki. Powoli poznawali swoje ciała, ze śmiałością, na jaką pewnie nigdy by się nie zdobyli we własnym świecie. Myśl, że żyją w grzechu, która początkowo ich nękała, z czasem znikła, a na jej miejscu pojawiła się powtarzalność upływających dni.

Bernardo przyzwyczał się do stanu rozbudzenia zmysłów. Nie zaskakiwały go już tak bardzo otaczające go zapachy czy piski zwierząt i bzyczenie odległych owadów. Starał się natomiast uwrażliwiać na to, co działo się między nim i Yebrą. Chwilami zdawało mu się, że wie, o czym ona myśli, co czuje, co powie, miał pewność, czy się zbliża, czy oddala od niego. Wiedział, że ona odczuwała podobnie.

Na początku wprawiało go to w zakłopotanie, gdyż przypominało nadnaturalne moce Yebry, które wciąż przywodziły mu na myśl czarną magię. Potem jednak, w miarę jak stawało się to jego codziennością, uznał

swoje emocje za równie naturalne jak oddychanie czy odbieranie bodźców zapachowych lub dotykowych. Wreszcie wyzbył się wszelkich oporów związanych z tymi przeżyciami.

Pewnego wieczora studiowali *Porta Coeli*, otoczeni przez szare ślimaki, które nazwali *ostami*, podczas gdy *ody* z bzykiem krążyły wokół nich, błyskając swoimi metalicznymi skrzydełkami.

- Jan nie zostawił żadnych wskazówek do tłumaczenia tych fragmentów zapisanych dziwnymi znakami. Widzisz? - Bernardo pokazał kilka linijek. - To jego własne notatki, ale nie mogę pojąć znaczenia większości tych rozdziałów.

Yebra delikatnie przewróciła kilka stron.

- To te dotyczące otwarcia Wrót, prawda? Skinął głową.

- W takim razie, co za różnica! Powinniśmy się skupić na tym, jak je zamknąć.

- Musimy być pewni. Pełno tu przestróg... Ci, którzy zamkną Wrota, ryzykują, że utkną na zawsze w tej przerażającej strefie między dwoma światami.

Nagle *dronty* zaczęły piszczeć. Bernardo wzdrygnął się. Pomyślał o Nuńu i po raz setny zadał sobie pytanie, czy jego przyjaciel jest zdrowy i bezpieczny w ich prawdziwym świecie, czy też został wessany przez straszliwą strefę między światami.

- Ryzykujemy - pokiwał głową. - Ale musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, aby zamknąć Wrota.

Yebra obserwowała panujące tu dziwne żółtawe światło, wiecznie zielone drzewa, z których teraz sypały się białe i żółtawe pyłki, przypominające rozproszone płatki śniegu tańczące na wietrze. Ten świat był tak piękny i kojący.

Nieoczekiwanie dziewczynie wyrwało się pytanie:

- A kim my jesteśmy, Bernardo, żeby zabraniać komukolwiek wstępu do tego świata? Naprawdę uważasz za słuszne, by nikt więcej go nie poznał? Dlaczego musimy zamknąć Wrota?

Wzruszył ramionami.

- Decyzja nie zależy od nas...

- Ale to my go odkryliśmy! - przerwała mu.

- Jesteśmy odkrywcami nowego świata, to prawda. Świata bez wątplenia pięknego, ale ponadto pełnego bogactw, które niejedni chciałby sobie przywłaszczyć. - Bernardo nie chciał wracać do spraw, o których już wcześniej mówili. - Gdy wrócimy, zabierzemy ze sobą księgę i zamkniemy Wrota.

„O ile wrócimy”, usłyszał w myślach pełen zwątpienia głos.

- ...Tak, Yebro, o ile wrócimy do Świętej Cekliny. Ale jeśli tam dotrzemy, zostawimy decyzję komu innemu. Jesteśmy tylko pionkami w gigantycznej

partii boskich szachów, narzędziami w Jego rękach. Jeśli nawet dotychczas Dimas nie wysłał posłańców do papieża i króla, zrobi to zaraz po naszym powrocie.

- A nie myślisz czasem, że to miejsce jest zbyt piękne, żeby je tak po prostu ukryć i o nim zapomnieć... żeby zabronić wszystkim wstępu tutaj? - nie ustępowała.

- Wiem, Yebro, wiem.

Nie pierwszy raz spierali się o to i na pewno nie ostatni. Niekiedy, niczym liście porwane przez strumień, pozwalali się nieść swoim odmiennym poglądom i wręcz się sprzeczali. Chwilę później uświadamiali sobie, że były to bezcelowe kłótnie, bowiem mogło się jeszcze wydarzyć tyle rzeczy, przyszłość była tak nieprzewidywalna, tak niejasna, że planowanie, co zrobią po przybyciu do Świętej Cekliny, nie miało sensu. Ostateczna decyzja nie zależała od nich, tylko od woli Bożej.

Kiedy tak się spierali, zbliżały się do nich zwykle stworzenia, które szczególnie intrygowały Bernarda, bo przypominały miniaturowe smoki. Były tak czarne, że nazywali je *hebanami*. Nie miały więcej niż kilka stóp. *Hebany* niezbyt często pojawiały się w pobliżu ich obozowiska, ale tym razem para tych stworzeń krążyła nieopodal na swoich błoniastych skrzydłach. Oni tymczasem prowadzili kolejną bezużyteczną dyskusję.

- Musimy zamknąć Wrota. Sama tak mówiłaś. To nasza misja, zadanie, które nam powierzono - powtórzył.

- Twoja misja, Bernardo. Nie moja! Mnie nikt nie może zmusić, bym wróciła i je zamknęła. Czemu nie możemy pozostać tu spokojnie tylko we dwoje w naszym własnym raj? A może nie jesteś tu szczęśliwy?

Bernardo spuścił wzrok.

- Jestem szczęśliwy. Moje życie nigdy nie było tak pełne, Yebro, ale... mam zobowiązania wobec Dimasa i Świętej Ceklina. To mój Zakon, moje słowo honoru, moje ślubowanie. Nie mogę sprzeniewierzyć się temu wszystkiemu.

- Rozumiem to, przecież wiesz. Ale dostrzegam wszystko inaczej.

- W jakimś stopniu... ty też jesteś to winna Świętej Ceklina. Przecież nosisz na szyi medalion Zakonu. Jesteś to winna swojemu bratu, który poświęcił życie, by tu dotrzeć. Chodzi o to, by innym nie przydarzyło się to samo...

- Nikomu nie jestem nic winna, Bernardo - odparła smutno. - Szanuję Zakon i wszystko, czego nauczył mnie brat, ale... nie jestem przekonana, że to będzie uczciwe wobec naszego świata: pozostawić wszystkich w niewiedzy, zamknąć drogę na zawsze, odebrać innym możliwość dotarcia tutaj... Sama nie wiem, Bernardo. Niezależnie od tego, jak bardzo byłoby to niebezpieczne...

Tak właśnie wyglądał ich nieustanny spór, w który wciąż się wikłali, choć prowadził donikąd.

Yebra unikała natomiast kilku innych tematów, o których wiedziała, że mogą powodować zadrażnienia. Kiedy Bernardo mówił, że są tylko pionkami, czuła, że znaczy nawet mniej niż figura w szachach, bo zdawała sobie sprawę, że on użył jej i igrał z nią tylko po to, by znaleźć się w tym świecie. Ale potem mówiła sobie, że mimo wszystko jest tu z Bernardem szczęśliwa i nikt nigdy nie zmuszał jej do przybycia. Sama podjęła decyzję i cieszyła się z tego, bo tym sposobem trafiła do swojego własnego raju.

Któregoś dnia, gdy już zmierzchało i zaczął wiać wieczorny wietrzyk, Yebra wyznała Bernardowi:

- Chciałabym tu zostać na zawsze.

Nie odpowiedział. Nawet przed sobą nie przyznałby się, że też przemknęło mu to przez głowę. W roztargnieniu gryzł gałązkę czegoś podobnego do mięty.

- Musimy wrócić - uciał, wstając, by obrócić ruszt, na którym piekł się tutejszy daleki krewny królika.

- Pewnie... Jeśli Bóg pozwoli.

- Tak, jeśli Bóg pozwoli.

Wyjaśniała mu setki razy, że nie ma pojęcia, ile czasu upłynęło podczas jej pierwszego pobytu tutaj do pojawienia się Wrót. Zawsze wydawało jej się, że to było osiem lub dziewięć miesięcy, ale nie miała

pewności. Dlatego, kiedy od ich przybycia minęło według jej rachunków niemal dziesięć miesięcy, a wciąż jeszcze nie czuli zbliżających się Wrót, zaczęli się niepokoić. Yebra powiedziała Bernardowi, że „można poczuć” nadejście Wrót, jakby przejście przez nie w jakiś sposób łączyło z nimi człowieka na zawsze.

- Wrota nadejdą już niebawem... - mówił czasami Bernardo, udając spokój, którego w rzeczywistości nie czuł. - Jeśli Bóg pozwoli, przejdziemy przez nie, powrócimy cali i zdrowi, i uratujemy księżę.

- Bernardo, tylko pamiętaj, nie walcz z tym, pozwól się nieść - błagała Yebra. - Nie chcę znów znaleźć cię umierającego, nie zniosłabym tego.

Choć nie okazywał strachu, myśl o ponownym spotkaniu z mrocznymi siłami Wrót przerażała go. Powtarzał sobie tysiąc razy, że jeśli Yebra mogła przejść ten próg trzy razy, to i jemu się uda. Starał się zapomnieć o bólu i strachu, jakiego doznał i jak najmniej myśleć o chwili, na którą czekał i której jednocześnie się bał.

Czas mijał przy niezmiennie pięknej pogodzie, aż wreszcie nadszedł okres, który nazwali „porą deszczową”. Wieczorami zrywał się wiatr, robiło się parno, a napływające szybko ciemne chmury wyładowywały się w gwałtownych burzach. Ulewy te trwały jednak bardzo krótko i zostawiały po sobie świeże powietrze,

naładowane czystą energią, która choć byli przemoczeni do suchej nitki - napędzała ich siłą i witalnością.

Któregoś wieczoru, gdy bliska burza wisiała już w powietrzu, Yebra odwróciła się do Bernarda ze zmienioną twarzą; nie potrafiłby określić, czy malowały się na niej strach, zdumienie czy niepewność.

- Bernardo! Czujesz?

- Tak, zaraz będzie burza. Chodźmy do szałas. Położyła mu rękę na ramieniu.

- Nie, Bernardo, to nie to - odezwała się grobowym głosem. - To Wrota. Posłuchaj...

Wysilił słuch, lecz słyszał tylko nasilające się porywy wiatru, czuł wiszącą w powietrzu burzę. Yebra wzięła go za rękę i ruszyli w kierunku szałas.

- Zbliżają się... Jeszcze są daleko, ale już je czuję... Bernardo znów nadstawił ucha. Usłyszał jednak

tylko wiatr miotający liśćmi drzew, kilka odległych ptasich pisków, swoje własne kroki.

Wziął dziewczynę za rękę i wtedy uświadomił sobie, że nie ma sensu nateżać słuchu, że trzeba to poczuć. Wówczas w opuszkach palców poczuł lekkie pulsowanie, rodzaj energii, którą nazwał w myślach „niepokojem”. Było to jakieś dziwne podniecenie, jak gdyby ciało wiedziało, że coś się wydarzy i w subtelny sposób starało się przekazać tę wiadomość umysłowi.

- Czuję to - zwrócił się zaskoczony do Yebry. Ścisnęła mu dłoń i przyspieszyła kroku.

- Musimy się przygotować.

Wicher powiał mocno i ich ubrania załopotwały. Pobiegli w kierunku szałasu. Spadły pierwsze krople. W powietrze uniósł się zapach mokrej ziemi.

Deszcz lał jak z cebra. Gdy niemal bez tchu dotarli do szałasu, wiatr przenikał przez ich mokre ubrania, aż trzęśli się z zimna.

- Mamy jeszcze trochę czasu... - wykrztusiła rwącym się głosem.

Jednak pulsowanie w opuszkach Bernarda nasilało się. Palce wychwytywały ledwie wyczuwalną energię.

Yebra zebrała włosy w gruby warkocz, który teraz, nasiąknięty wodą, bardziej jej ciążył. Strużki wody spływały jej po twarzy i szyi.

Od dawna już mieli wszystko spakowane na przybycie Wrót. Kilka rzeczy, a przede wszystkim starannie owinięta księga, czekało w jego torbie.

- Wszystko gotowe - powiedział. - Mamy czas. Ujął ją za szyję i pocałował. Jej wargi wydały mu

się chłodniejsze niż zwykle. Jego ręce walczyły przez chwilę z mokrą odzieżą, która przylgnęła do skóry. Bernardo nie potrafił dłużej opierać się temu pragnieniu. Wreszcie ich ciała rozgrzały się wzajemnie.

Zmęczeni, lecz zaspokojeni, poszukali suchych ubrań, wzięli torbę i sakwę, chwycili się za ręce i ruszyli w las, nie oglądając się za siebie.

Po burzy wszędzie unosił się zapach wilgotnej ziemi, powietrze było lekkie i tak czyste, że zaczynało im niemal czegoś brakować.

Bernardo czuł coraz silniejsze mrowienie między palcami, miał przyspieszony oddech i wrażenie, że powietrze nie dociera do jego płuc.

- Czuję twój strach, Bernardo. Prawie mogę go powąchać.

Ścisnął drobną dłoń Yebry i spróbował się uspokoić. Odetchnął głęboko. Czuł szybkie pulsowanie tętna w jej ręce. Słyszał, jak mocno łomocze jej serce.

- Ty też się boisz, Yebro.

- Na Boga, Bernardo, pozwól się nieść siłom Wrót. Nie opieraj się... - błagała z niespokojnym uśmiechem na wargach.

Wokół zaczęły się tworzyć niemal niewidoczne wiry powietrzne. Na początku niewielkie, po chwili rozrosły się, wsysając wszystko, co stało im na drodze.

Bernardo najwyższym wysiłkiem woli powstrzymał się przed ucieczką, choć jego ciało, instynkt i rozsądek mówiły mu, że powinien uciekać, i to jak najdalej.

Mocno rozstawił nogi, poprawił torbę z księgą. Ścisnął Yebry za rękę i razem ruszyli szukać środka tej straszliwej siły.

Dopiero gdy poczuł, że coś nim targa, wypuścił dłoń Yebry.

Tak jak poprzednio uniósł się w powietrzu. Znów miał wrażenie, że jego ciało zaraz zostanie rozerwane na strzępy. Kiedy wypełnił go ten szarpiący ból, otworzył oczy, które wcześniej odruchowo zamknął, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, i zobaczył, że otacza go burza kolorów i kształtów, które wirują wokół z zawrotną szybkością.

Na chwilę uległ panice. Coś uderzyło go w pierś i dopiero wtedy się ocknął. Przypomniawszy sobie, że nie wolno mu stawiać oporu i z całych sił spróbował się rozluźnić, jak gdyby owiewał go tylko zwykły podmuch nieco silniejszego wiatru. Wyobraził sobie, że jest liściem wirującym na wicherze. Wtedy ból zaczął ustępować. Modlił się, nie do końca świadomy, że to robi, uchwycił się dobrze znanych modlitw, które powtarzał tyle razy; uspokoiło go to zupełnie. Teraz unosił się już z zaskakującą łagodnością, aż nagle, nieoczekiwanie, runął na kamieniste podłoże.

CZESC IV

O powrocie do Las Inviernas

Ocknął się z męczącym uczuciem niewygody. Wiedział, że coś wbija mu się w plecy i kiedy myśl ta nabrała wyrazistości, oprzytomniał.

Leżał na wznak, a spiczasty kamień uciskał mu nerki. Zmierzchało.

Kiedy przypomniał sobie, co zaszło, gwałtownie podskoczył. Najpierw upewnił się, że ma księgę przy sobie. Znalazłszy ją w torbie, odetchnął z ulgą. Potem rozejrzał się w poszukiwaniu Yebry. Znajdował się w lesie, a właściwie w małym parowie porośniętym dębami. Gąszcz janowców tonął w burzy żółtego kwiecia. Ich lepka woń niemal wwiercała mu się w umysł. Młode, intensywnie zielone krzaczki kołysały się na wietrze obok niego. Te rośliny, tak znajome, świadczyły, że jest wiosna.

Był znów w swoim świecie.

- Yebro!

Bernardo rozejrzał się wokół, ale nigdzie jej nie dostrzegł. Serce zabiło mu mocniej z niepokoju. Przeszedł kilka kroków i nieco dalej, w krzakach, zobaczył jakiś kształt. Podbiegł. Nie ruszała się. Serce w nim zamarło.

- Yebro!

Ukląkł przy niej i sprawdził puls. Poczul go wyraźnie - bił równo pod jego palcami; zarazem jednak czuł go gdzieś w głębi samego siebie. Zaskoczenie było tak duże, że znieruchomiał na chwilę. Miał pewność, że nic jej nie jest, choć nie wiedział, skąd się ona bierze.

Yebra otworzyła oczy i poruszyła się, przy czym mimowolnie wyrwał jej się z ust jęk bólu. Kiedy jednak zobaczyła nad sobą Bernarda, uśmiechnęła się.

- Och - zażartowała - mieliśmy szczęście.

- To prawda - odparł, nie w pełni jeszcze wolny od niepokoju.

Usiadła, wspierając się na jego ramieniu.

- Jestem cała potłuczona... Gdzie księga? - spytała szybko.

Wskazał torbę. Yebra odetchnęła z ulgą.

- Gdzie jesteśmy?

Bernardo rozejrzał się, próbując rozpoznać okolicę.

- Powinniśmy być w pobliżu miejsca, z którego wyruszyliśmy...

Yebra wstała i wspięła się na stok parowu, by mieć lepszy widok. Wskazała wzgórze w oddali. Rozpoznała charakterystyczny kształt skał.

- Patrz! Tam powinna być droga do Las Inviernas. Jesteśmy bardzo blisko! - krzyknęła z radością.

Bernardo też czuł się wspaniale. Byli znowu we własnym świecie. Udało im się! Mieli księgę. Musieli tylko dotrzeć do Świętej Cekliny i przekazać ją Dimasowi. A droga przed nimi nie była już zbyt długa.

„Jeszcze się nie ciesz, Bernardo”, pomyślała Yebra, domyślając się, co mu chodzi po głowie.

Odwrócił się zaskoczony, bo uświadomił sobie, że nie wypowiedziała ani słowa, a jednak dokładnie usłyszał we własnej głowie jej głos ostrzegający go przed przedwczesną radością.

- Yebro! - krzyknął przestraszony.

- Czułam, że tak będzie, Bernardo, czułam to. Mówiłam ci, że tamten świat cię zmieni, ale nie sądziłam, że...

„Bóg jeden wie, co z nami zrobił tamten świat”, myśl Bernarda sama wniknęła do umysłu Yebry, jakby powiedział to na głos. Oboje się wzdrygnęli.

- Nie mam pojęcia, jak to zrobiłem! - rzucił Bernardo.

- To tak, jakbyśmy... rozmawiali bez słów. Mój Boże...

- Spalą nas za to na stosie, Yebro. Nieoczekiwanie uśmiechnęła się.

- Nie, dopóki nie zaczniesz wszystkim opowiadać o tym, co czujesz i co możesz zrobić, Bernardo. O mnie mówili, że jestem wiedźmą i czarownicą. A przecież zawsze ukrywałam moje niezwykle zdolności...

„Będziemy ostrożni”.

- Znowu! - wykrzyknął, czując ją tak blisko, dokładnie w środku własnej głowy.

- Tak, będziemy ostrożni, Bernardo - powiedziała zmieszana na głos.

Srebrzyste światło zmierzchu spowijało niebieskawą poświatą dolinę, do której się kierowali. Początkowo szli przez las, a potem, kiedy już znaleźli ścieżkę, trzymali się jej tak, by nie tracić z oczu Las Inviernas.

„Coś jest nie tak, Bernardo!”

Jej słowa wdarły się do jego umysłu ze śmiałością młodego ciekawskiego kota.

- Czujesz dym?

Bernardo skupił się na zapachach. Rzeczywiście, kiedy powiew wiatru owiał mu twarz, poczuł w nim lekki zapach spalenizny.

- To ogień - potwierdził.

Yebra pokiwała głową. Przez chwilę wciągali powietrze w nozdrza.

- Coś się stało w Las Inviernas. Jestem pewna. „Jakiś dziwny niepokój, poczucie, że coś jest nie tak...”.

- Chodźmy! - Yebra przyspieszyła kroku, nie przestając spoglądać w kierunku doliny, w której powinien znajdować się klasztor Las Inviernas.

Wraz ze swądem spalenizny wiatr przyniósł im zapach grupy ludzi. Musieli znajdować się gdzieś w pobliżu klasztoru. I na pewno coś było nie tak. Kiedy pokonali ostatnie wzgórze, robiło się już ciemno. Wtedy usłyszeli dźwięki.

- To żołnierze? - zapytała szeptem Yebra.

- Chyba tak... Nie wiem zresztą - szepnął Bernardo. - Są za daleko.

Nie panował nad swoimi odczuciami. Z jednej strony zapach obozowiska, ogień i dym. Z drugiej niejasne przeczucie, że dzieje się coś złego, coś, co kojarzyło mu się z przemocą, krwią, strachem, śmiercią.

- Chodźmy tędy - zdecydowała Yebra cicho. Ruszyli bardzo wąską ścieżką wijącą się po stoku

w górę doliny. Szli pod wiatr. Gęsty dębowy las wydawał im się dziwnie znajomy. Gdy głosy ludzi stały się wyraźniejsze, przykucnęli w krzakach, nasłuchując i próbując zrozumieć coś więcej.

Głosy przypominały chrząkanie i mieszały się ze sobą.

Zbliżyli się o parę kroków i wreszcie ujrzeli grupę mężczyzn kręcących się wokół ogniska płonącego nieopodal bramy klasztoru Las Inviernas.

W Bernardzie obudził się stary żołnierski instynkt. Pomyślał, że gdyby to byli jego ludzie, nigdy nie pozwoliliby na taki bałagan.

Wszyscy mieli noże u pasa, niektórzy zaś miecze. Część broni leżała porozrzucana byle jak przy jukach. Nad ogniem dopiekała się niewielka sztuka zwierzyny, zapewne warchlak. Kilku żołnierzy przekrzykiwało się przy ognisku. Inni śmiali się głośno, stojąc obok łuku głównej bramy klasztoru. Jeden żołnierz pogryzał kawałek sera. Inny urywał sobie wielką pajdę chleba. Nikt nie stał na straży.

Słowa przynoszone przez wiatr stopniowo zaczęły nabierać sensu.

- Dlaczego jeszcze nie wchodzimy? Spalmy wreszcie tę bramę!

- Mamy czekać na rozkaz Dalmaua.

Na dźwięk tego imienia Bernardo drgnął, jednak nie potrafił przypomnieć sobie, gdzie je słyszał.

- Tam w środku siedzą kobitki. - Tym słowom towarzyszyło cmoknięcie. - Kobitki, które na nas czekają! Nie chcę, żeby przyszedł ktoś inny i zmiotł nam deser sprzed nosa.

- Kazał czekać, więc poczekamy!

Jego rozmówca mruknął coś niechętnie. Wiatr porwał jego słowa i przyniósł inne.

- Poprzednio zostawili nam jakieś ochłapy. Tym razem nie mam ochoty dzielić się z innymi. Jest nas mało i czekają na nas wszystkie bogactwa Las Inviernas...

- To mały klasztor, dla kobiet podłego rodu. W kościele będzie jakaś relikwia i kupa tanich świecidełek. To jedyne, czego możemy się tu spodziewać... Tamtym się lepiej trafiło. Święta Ceklina to co innego... Mnóstwo soli i przypraw... Złoto, klejnoty... a, i jeszcze wizerunek Świętego Mikołaja zdobiony rubinami wielkości pięści...

- Na Matkę Boską z Carmen! Tego nie tknę! Jestem chrześcijaninem!

- Jasne, do tego to jesteś chrześcijanin, ale nie widzisz przeszkód, żeby przelecieć mniszki i wziąć ich majątek.

- Zamknij się, bezbożniku! Są rzeczy, które szanuję. Nie tak jak ty, co własną matkę masz gdzieś...

- Ta dzicz... - szepnęła Yebra - chce zaatakować Las Inviernas.

„Święta Ceklina też jest w niebezpieczeństwie”, usłyszała jego myśl tak wyraźnie, jakby ją wyrazić na głos.

„Musimy im pomóc”, zabrzmiała mu w głowie odpowiedź Yebry.

Bernardo nic nie odrzekł, ale w pierwszym odruchu miał ochotę wyciągnąć z za pasa miecz, choć od dawna już go tam nie nosił.

Są źle zorganizowani. Nie wystawili straży. Ale jest ich zbyt wielu, ocenił w myślach.

Poczuł na sobie pełne potępienia spojrzenie Yebry.

„Nie aż tak wielu... Damy radę”.

- Nie wiem, jak to się robi, Yebro! - sprzeciwił się zduszonym szeptem.

Położyła mu palec na ustach.

- Będiesz wiedział jak - szepnęła cichutko. - Musisz tylko chcieć.

Nie pozostawiła mu czasu na sprzeciw czy dyskusję. Wstała i ruszyła pędem ku gromadzie mężczyzn. Bernardo poszedł w jej ślady kilka sekund później.

Stała naprzeciw żołnierzy. Spojrzeli na nią zdumieni. Wyglądała jak białowłosa zjawa z zaciętą twarzą.

Jeden z mężczyzn zbliżył się do niej z bochenkiem chleba pod pachą, unosząc drugą rękę niczym szpon, jakby chciał tym gestem odegnąć koszmarną wizję.

- Ki czort...?

Nie zdążył dokończyć. Powietrze wokół stężało.

Tym razem Bernardo poczuł to inaczej niż poprzednio: jakby dziwny ciepły wiatr owiał go i stał się częścią jego ciała.

Yebra uniosła ramiona, a mężczyzna skamieniał. Bochenek upadł i potoczył się absurdalnie po ziemi. Kilku najbliższych stojących mężczyzn również zamarło.

Bernardo stanął obok Yebry. Powietrze wokół niej wibrowało.

Pozostali żołnierze w osłupieniu obserwowali scenę z dala. Wreszcie dwóch z nich chwyciło za broń i ruszyło na przybyszów. Bernardo odruchowo podniósł z ziemi okazałą gałąź. Kiedy przeciwnik zamach-

nał się na niego, zablokował cios gałęzią. Nie usłyszał trzasku drewna, dźwięki były wyciszone. Cisnął drągiem w napastnika. Ciosowi towarzyszył powiew. Wydawało się, że pęd powietrza popchnął tamtego kilka kroków do tyłu. Zaskoczyło to Bernarda nie mniej niż jego przeciwnika. Ze zdumieniem zobaczył, że tamten upada. Nie miał jednak czasu, by się nad tym zastanawiać, bo natychmiast zaatakował go kolejny. Cień miecza przemknął ze świstem tuż obok jego głowy. Ledwo uskoczył. Podniósł gałąź, by uniemożliwić przeciwnikowi kolejny atak. Jego pragnienie powstrzymania go przeistoczyło się w falę gęstego powietrza, która uwięziła tamtego w bezruchu, podobnie jak kropla sosnowej żywicy więzi nieostrożne owady.

Umiał zatem bronić się zupełnie nowymi metodami. Zwykła wola powstrzymania wrogów wystarczyła, by znieruchomieli. Popatrzył na nich i poczuł, że ich słabe umysły muszą się podporządkować sile jego spojrzenia. Tak więc pozostawił ich spętanych niczym muchy w pajęczej sieci. Od początku walki minęło zaledwie kilka sekund.

Zaskoczony odwrócił się do Yebry.

- To zaraz minie, przecież wiesz. Bernardo wzruszył ramionami. „Jak to...? Co...?”

- Nadal nie wiem, jak to działa, Bernardo - odparła na głos dziewczyna. - Mówiłam ci już, po prostu

chcę, żeby stanęli, i stają! Myślę, że gdybym to wszystko gruntownie przemyślała, już bym nie potrafiła... A czy ty wiesz, kiedy mrugasz?

Bernardo zamrugał. Wciąż jeszcze czuł wokół efekty działania tej niepojętej siły, tworzącej zbroję z gęstego powietrza, zdolną do powstrzymywania wrogów za sprawą prostego życzenia.

„I... co teraz?”

- Wejdźmy do środka.

Nie zdawali sobie sprawy, że używali do komunikacji na przemian myśli i głosu. „Jak to wejdźmy?! Którędy? Jak?”

- Zapukamy?

- Kpisz sobie? Trwa oblężenie, a ty chcesz pukać do drzwi!

- A dlaczego nie?

Bernardo przełknął ślinę. Najpierw pomyślał, że to absurdalny pomysł, lecz chwilę później zmienił zdanie.

- Dobrze. Spróbujmy...

Podeszli do kamiennego łuku zdobionego surowymi figurami, w którym osadzone były dwa potężne drewniane skrzydła bramy. Yebra uderzyła kołatką, która wydała głuchy suchy dźwięk.

Bernardo rozejrzał się nieufnie po ludzkich posągach, które skamieniałe i przerażone śledziły ich wzrokiem. Yebra zapukała ponownie. Zamknęła oczy. Usłyszała ich myśli równie wyraźnie, co szum wody w górskim strumieniu.

„Matko przełożona, matko Cristino... to ja, Yebra. Otwórz mi bramę... Matko, to ja, Yebra", powtórzyła.

Bernardo wątpił, by ktoś poza nim mógł usłyszeć to nieme wołanie, które szukało po omacku drogi do umysłu przełożonej.

„Ona tam jest, czuję ją”.

Bernardo skupił się na delikatnym przeczuciu Yebry i ujrzał ciepłe spojrzenie błękitnych oczu i szczerą, dobrotliwą duszę. To musiała być matka przełożona. Wzmocnił więc przekaz Yebry w nadziei, że w jakiś sposób zwiększy jego zasięg.

„Matko..., to ja, Yebra... Stoimy przed bramą...”

Bernardo mocniej uderzył kołatką.

Nagle poczuł pewność, że ich usłyszano i że ktoś nadchodzi. Odwrócił się i spojrzał na Yebrę.

- Idą. - Uśmiechnęła się do niego i w jednej chwili rozwiąła wszelkie jego wątpliwości.

Bernardo raz jeszcze spojrzał na skamieniałych żołdaków. Musiał się upewnić, że nadal stoją jak słupy soli i że nie zaatakują.

- Mój Boże! - Przeciągnął ręką po czole, nie było na nim wcale potu.

Potem odwrócił się do bramy, która tymczasem nagle się uchyliła. Dwie postacie wyjrzały ostrożnie przez szparę.

- Matko! - krzyknęła Yebra. - To ja! Wcisnęła się do środka, a Bernardo za nią. Brama zamknęła się, ale nie wiedział, jak ani kto ją zamknął.

Stanął bowiem jak wryty na widok matki przełożonej.

Zobaczył jej błękitne oczy, jasne i wyblakłe, jej dobrotliwe spojrzenie i wysoką postać. Stała przed nim ta sama kobieta, którą poznał ledwie rok wcześniej. Jednak jej blada twarz przeorana była głębokimi zmarszczkami, których dawniej nie było. Przeorysza przygarbiła się pod ciężarem lat. Podbródek jej obwisł. Dłonie pokrywała wysuszona, pomarszczona skóra, poznaczona plamkami wątrobowymi. Były to dłonie staruszki.

Bo kobieta, która przyjęła ich w Las Inviernas, była teraz staruszką.

Bernardo poczuł ciarki na plecach, gdy zrozumiał, że ten rok, który spędzili w innym świecie, tutaj trwał wiele lat.

O niebezpieczeństwie zagrażającym Las Inviernas i sekretnym przejściu

Bernardo poczuł, że kręci mu się w głowie. Była wiosna i dobiegał go zapach janowca, ziemi, wiatru niosącego kwiatowe pyłki. Ileż to czasu minęło od poprzedniego przejścia przez Wrota?

- Yebra? - Oczy matki Cristiny wbiły się w twarz białowłosej dziewczyny i rozpoznały rysy, które czas niemal wymazał jej z pamięci. -I... I Ber... Bernardo? - spośród zakurzonych wspomnień udało jej się wydobyć także jego imię. - To... niemożliwe. Ile to już lat?

Bernardo sam miał zapytać: „Właśnie, ile lat minęło, od kiedy widziała nas matka po raz ostatni?”, jednak ugryzł się w język i czekał cierpliwie, aż staruszka znajdzie słowa.

- Dwanaście lat, tak, to już dwanaście lat... Dimas czasem mi o tym przypomina.

Myśl Yebry dotarła do niego jednocześnie z jej zduszonym okrzykiem: „Wiedziałam, że czas tu i tam płynie inaczej, ale... dwanaście lat!”

Wyjechali z Las Inviernas dwanaście lat temu. Dwanaście lat od chwili, gdy przekroczyli tamten straszliwy próg? Bruzdy na twarzy matki przełożonej nie kłamały. Upływ czasu odcisnął ślad w każdej nowej zmarszczce. Bernardo wpatrywał się w nią, nie mogąc w to uwierzyć. Spędzili dwanaście długich lat w swoim własnym raju. Dla nich upłynął ledwie rok.

Nagle przypomniały mu się baśnie o księżniczkach, które przez setki lat leżały pogrążone w podobnym do śmierci letargu, póki jakiś urodziwy książę nie obudził ich pocałunkiem prawdziwej miłości.

Szli po kamiennej ścieżce z niepokojem i zdumieniem w duszy. Brama Las Inviernas zamknęła się już za ich plecami. Matka Cristina nie zauważyła bezruchu strażników; w ogóle nie dostrzegła obecności mężczyzn zastygłych w posągi. Po prostu otworzyła szybko i ostrożnie bramę i wpuściła przybyszów.

- Dimas zawsze mi powtarzał, że w końcu wrócicie. Potem, z upływem lat, coraz rzadziej o tym wspominał...

Matka przełożona przyglądała im się bacznie. Młodziężca cera Yebry, otoczona grzywą białych włosów, miała w sobie coś niepokojącego.

- Nic się nie zmieniliście.

Yebara zdobyła się na wymuszony uśmiech.

- Na zewnątrz są ludzie, którzy chcą napaść na klasztor - skonstatowała oczywisty fakt, żeby przerwać rozważania matki Cristiny na temat dwóch twarzy, które wcale się nie postarzały przez dwanaście lat.

- Oblegają nas od tygodnia. Czekają na rozkaz do ataku. Nie wiem, jak udało się wam przejść. Mój Boże!... Ludzie Dalmaua niczego nie uszanują. Myślę, że czekają, aż Święta Ceklina wystąpi w naszej obronie, wtedy łatwiej im będzie ją zaatakować... Wysłałyśmy do Dimasa posłańca z prośbą o pomoc, ale do tej pory nie dostałyśmy odpowiedzi...

Bernardo próbował ułożyć sobie słowa przełożonej w logiczną całość.

A zatem od tygodnia mniszki były obleżone. Dalmau, władca księstwa, nie pozwalał nikomu wjechać do Las Inviernas ani wyjechać stamtąd. Mniszki wysłały do Świętej Cekliny posłańca z prośbą o pomoc. Nie wiedziały nawet, czy dotarł do celu. Modliły się więc i czekały, co los im zgotuje. Matka przełożona podejrzewała, że Dalmau liczy na to, że Święta Ceklina przyjdzie im z odsieczą, przez co osłabi się obrona w klasztorze Dimasa i wzrośnie szansa na zwycięstwo.

- Ale oczywiście - mówiła dalej - nie jestem pewna. Może to tylko spekulacje biednej staruszki. Nie jestem pewna - powtórzyła. - Miałam przez te dni dużo

czasu, by to przemyśleć - spojrzała na nich swoimi niewinnymi oczami. - Co dzień modliłyśmy się do Boga o pomoc, jakkolwiek! I teraz nadeszliście wy! To odpowiedź na nasze modlitwy! Usłyszałam... głos Ducha Świętego, który kazał mi iść do bramy i otworzyć. Dzięki Ci, Panie!

Bernardo wymienił z Yebrą porozumiewawcze spojrzenie. Dochodzili właśnie do kapitułarza. Gdy już się w nim znaleźli, matka Cristina wskazała im miejsce na kamiennych ławach.

- My... ehm... - zająknął się Bernardo. - Nie przychodzimy ze Świętej Cekliny. To tylko... - ostrożnie szukał odpowiedniego słowa - przypadek, że przybyliśmy teraz do Las Inviernas.

- Wobec tego to wola Boża - słodki uśmiech rozlał się na twarzy matki przełożonej. - To On nam was przysłał na pomoc. Możliwe - dodała, jakby nagle uświadomiła sobie coś innego - że posłaniec nigdy nie dotarł do Świętej Cekliny. Tak, mogło być i tak... Albo Dimas ma własne zmartwienia, poważniejsze od naszych.

Bernardo wzdrygnął się, słysząc o tych „poważniejszych zmartwieniach”.

- Co się dzieje w klasztorze, matko?

Poczuł, jak narasta w nim głuchy niepokój. Coś boleśnie ścisnęło go w żołądku, kiedy pomyślał o Dimasie i Zakonie. Napięcie wydawało się tak wielkie, jakby za chwilę miało wybuchnąć.

Matce Cristinie wyrwało się westchnienie podobne do jęku.

- Nic nie wiecie?

Wyraźnie usłyszeli jej myśl: „Gdzieście się ostatnio podziewali?” Jednak nie powiedziała tego na głos.

- Ojciec święty rozwiązał Zakon...

- Ojciec święty?! - wykrzyknął zupełnie zaskoczony Bernardo.

Wiedział, że papież był zawsze oddanym obrońcą stanowiącej misję Świętej Ceklidy idei upowszechniania wiedzy. Zawsze wspierał zarówno Dimasa, jak i poprzedniego przeora, Lucasa. Powierzał im pewne zadania, w których waleczni mnisi odnieśli niejedno zwycięstwo, okazywał więc im swoją wdzięczność. Zwracał się do nich, gdy miał jakiś problem, którego ze względów politycznych, bliżej nieznanych Bernardowi, nie chciał powierzać ludziom ze swojego bliskiego otoczenia. W nagrodę wielokrotnie nadawał im prebendy.

- Nowy papież - dodała matka przełożona, jakby mówiła o czymś oczywistym.

Bernardo przełknął ślinę, starając się, by jego kompletna ignorancja nie wyszła na jaw.

- Już jako biskup nie znosił waszego Zakonu, a teraz... Od kiedy został wybrany, Dimasowi wciąż przybywa problemów. Papież nie spocznie, póki nie skończy z Zakonem Świętej Ceklidy. Dalmau po prostu skorzystał z okazji i przypuszczam, że użył nas jako przynęty. Niech Bóg ma nas w opiece!

„Nigdy nie interesowała mnie polityka...”. Usłyszał myśl matki Cristiny, wpływającą w jego myśli niczym strumień między kamieniami.

- Niech Bóg ma nas w opiece - powtórzyła. Powoli uświadamiał sobie, ile czasu minęło, jakie przyniosło to konsekwencje i jak bardzo zmieniła się sytuacja obu klasztorów.

- Bóg przysłał was tu w samą porę - dodała przeorysza.

Napięcie, które od dłuższej chwili wzbierało w Bernardzie, w końcu znalazło ujście, a fragmenty wielkiej, niezrozumiałej dotąd układanki wreszcie wskoczyły na swoje miejsce; nagle wszystko nabrało sensu.

- Jesteśmy narzędziami w ręku Boga. Przybyliśmy we właściwym momencie - stwierdził Bernardo. - Zrobimy, co w naszej mocy, by uratować Świętą Cerkiew - dodał stanowczo.

Po raz pierwszy w życiu naprawdę poczuł się częścią wielkiego Boskiego planu, elementem, który pozwalał się nieść w różne strony, aż wreszcie poznał jasno swoje właściwe przeznaczenie, swoją od dawna określoną rolę, z której nie zdawał sobie wcześniej sprawy. Zrozumiał, że niepojęte zdarzenia, których uczestnikiem stał się ostatnio, miały tylko jeden cel: sprawić, by uratował to, co najbardziej kochał na tej ziemi - Świętą Cerkiew. On, tylko on, mógł tego teraz dokonać.

„Bernardo!”, Yebra odwróciła się ku niemu w całkowitym milczeniu, z oczami zasnutymi rozpaczą.

- Jesteśmy tylko narzędziami w ręku Boga - powtórzył na głos. - Musimy dostać się do Świętej Cekliny.

Słońce zachodziło, góry wypełniły się niebieskawo-fioletowymi cieniami.

Bernardo, Yebra, matka przełożona i dwie stare zakonnice, które nie brały udziału w rozmowie, wciąż siedzieli na prostych kamiennych ławkach. W Las Inviernas kapitułarz był dużo mniejszy niż w Świętej Ceklince, urządzone go skromniej, a przecież i tak miał w sobie wiele urody. Ornamentyka przedstawiała scenę Stworzenia. Rzeźbione w kamieniu zwierzęta i rośliny skręcały się wokół kolumn podtrzymujących konstrukcję. Na honorowym miejscu stała figurka Najświętszej Pani, która królowała nad pomieszczeniem. Posągi Adama i Ewy patrzyły na przybyszów poważnie ślepych oczami.

Przez arkady widać było wypielegnowany ogród i klasztorną studnię. Chłodne nocne powietrze sprawiło, że zrobiło im się zimno.

- Nie dotrzecie do Świętej Cekliny żywi - pokręciła głową matka Cristina.

- Dotrzemy - oświadczył Bernardo z przekonaniem umocnionym przez wiarę.

- Nie możemy wyjechać z Las Inviernas i zostawić sióstr na pastwę losu... - wtrąciła Yebra.

- Nie obawiaj się. Wkrótce sprowadzimy posiłki.

„Bernardo, nie wiemy, jak wygląda sytuacja w Świętej Ceklinie; jeśli do tej pory nie przybyli na pomoc, to pewnie dlatego, że nie mogą”.

„Albo dlatego, że posłaniec nigdy do nich nie dotarł”.

„Możliwe... Ale nie możemy zostawić ich samych...”

Ta bezgłośna wymiana myśli zaabsorbowała ich tak bardzo, że nie zauważyli, jak jedna ze starych sióstr szepce coś na ucho przełożonej. Na twarzy przeoryszy odmalowało się zaskoczenie.

- Może... - wymamrotała niepewnie - byłoby jedno wyjście.

Bernardo i Yebra jednocześnie spojrzeli na nią jak poruszeni tą samą sprężyną. Znowu poczuli rosnące napięcie.

Przełożona wskazała na staruszkę.

- Matka Agustina, moja zastępczyni, spędziła całe życie w Las Inviernas.

Była to niziutka, bardzo drobna i lekko zgarbiona kobieta. W jej podłużnej twarzy zwracały uwagę oczy o zamglonym wejrzeniu. Kości policzkowe i broda układały się w nieco ptasi profil. Cała jej postać pozostawiała wrażenie kruchości, a kiedy mówiła, wydawało się, że nawleka słowa na swój cieniutki głosik niczym korale na nitkę.

- Kiedy byłam bardzo młoda, widziałam, jak zamurowano przejście. Jest... było tu przejście prowa-

dzące z naszego magazynu do Świętej Cekliny. Może... może dałoby się je jeszcze wykorzystać.

- Słyszałem o tym - powiedział Bernardo. - Przejście łączące Świętą Ceklina i Las Inviernas... Ale myślałem, że to tylko legenda!

- Przyznaję, że ja też o tym słyszałam. Ale nigdy nie wierzyłam, że ono istnieje - szepnęła matka przełożona.

- No właśnie, klasyczna legenda o połączonych klasztorach, prawda? - powiedziała matka Agustina głosem cichym, lecz pewnym. - Męski i żeński klasztor i tajny tunel między nimi... Tymczasem to prawda! Bywały ciężkie dni, w których oba klasztory znajdowały się w trudnym położeniu. Coś takiego samo się nasuwało. W razie najazdu można łatwo było wezwać pomoc z drugiego klasztoru. Potem nadeszły spokojniejsze czasy i tunelu przestano używać. A kiedy byłam dziewczynką, przejście zamknięto...

Yebra przypominała sobie podziurawione licznymi jaskiniami ściany Świętej Cekliny. Którędy mógł prowadzić tunel?

- Od tamtej pory upłynęło oczywiście wiele lat, ale kto wie? - zakończyła staruszka.

Matka przełożona postanowiła to sprawdzić. Siostra Agustina zaprowadziła wszystkich do jednego z magazynów; dobrze pamiętała, gdzie zaczyna się przejście. O tej porze było już ciemno i musieli wziąć ze sobą kilka ogarków. Siostry doskonale znały bruko-

waną dróżkę, która prowadziła do składu, ale Bernardo i Yebra niemal nic nie widzieli i jedynie instynkt pozwalał im nie potykać się na każdym kroku.

Gdy druga z sióstr, matka Consuela, otworzyła kłódkę na drzwiach spiżarni, siostra Agustina przestrzegła ich:

- Ostrożnie z lampami, na podłodze jest słoma. Zakonnice skierowały się w głąb pomieszczenia

i Bernardo z Yebra na chwilę pozostali w całkowitym mroku. Podeszła do niego, szukając ciepła, którego nie czuła już od tak dawna.

„Naprawdę sądzisz, że to ty zostałeś wybrany, by ocalić Świętą Ceklina?”, zapytała bez słów.

- Nigdy tak wyraźnie nie czułem, że całe moje życie prowadziło mnie do tej chwili. Święta Ceklina jest w niebezpieczeństwie, czuję to bardzo wyraźnie - odparł Bernardo poważnym głosem, jakiego nigdy u niego nie słyszała. - Jeśli jest coś, za co warto oddać życie, to właśnie Zakon. A teraz... właśnie teraz, te... te dziwne moce mogą okazać się bardzo użyteczne. Jeśli Bóg mnie nimi obdarzył, to właśnie po to, bym uratował Świętą Ceklina.

Yebra przez chwilę stała w milczeniu ze spuszczonego wzrokiem.

- Ja też wiem, że klasztor jest w niebezpieczeństwie. "Wiem to nie gorzej niż ty - nie pozwoliła, by jej przerwał. - Ale z drugiej strony, przeraża mnie to. Zawsze przerażali mnie ludzie, którzy

czują się bożymi wysłannikami i sądzą, że wypełniają misję... Po prostu jesteśmy tu i teraz, i robimy, co do nas należy... Może to rzeczywiście Bóg sprawił, że znaleźliśmy się tutaj we właściwym momencie, by wesprzeć Zakon. Być może właśnie po to mamy moce, których inni nie mają. Być może, Bernardo, tylko „być może”. Nie potrafię być o tym przekonana tak głęboko jak ty.

„Nie czujesz tego? Nie masz wiary?”

Bernardo przesłał jej żar swojego serca, bijącego szybko i z ogromną siłą. Yebra otoczył obłok mocy, ciemnoczerwony i błyszczący jak gęsta krew. Poczwała, że coś zbliża się nieubłaganie.

„Czuję twoje podniecenie, Bernardo. Podniecenie żołnierza szykującego się do walki... Ale nic ponad to, żadnej misji do wykonania”.

Bernardo podszedł do niej z grymasem żalu na twarzy i objął ją. Oparła się na jego silnych ramionach. Poczwała znajomy zapach jego skóry, ciepło jego ciała. Przytuliła się doń, starając się nie zwracać uwagi na pulsującą w nim energię, która przenikała go od stóp do głów i sprawiała, że wydawał się jej czerwony jak krew.

Wtem do ich uszu doszły głosy:

- Yebra? Bernardo?

Odsunęli się i weszli do magazynu.

- Tędy...

Matka Consuelo przytrzymała klapę w podłodze. Gdy podeszli bliżej, pokazała im drewniane schody.

Ostrożnie zaczęli pokonywać kolejne stopnie. Znaleźli się w małym pomieszczeniu, które niekiedy pełniło funkcję spiżarni. Kilka bukłaków i pęt kielbas zwisało z haków pod sufitem. Olbrzymie gliniane dzbany stały na wpół wmurowane w ścianę. Wzdłuż murów ciągnęły się półki. Pachniało wilgocią, tłuszczem i oliwą.

Matka przełożona i matka Agustina badały jedną ze ścian, oświetlając ją. Bernardo podszedł, by również obejrzeć ją z bliska. Zapukał w cegły. Odpowiedział mu pusty dźwięk, zupełnie jakby ścianka była gruba ledwie na palec.

Przełożona bez słowa podała swoją lampkę matce Agustinie. Znalazła deskę, która zapewne dawniej służyła za półkę i wręczyła ją Bernardowi gestem, który zdawał się być zachętą do uderzenia w mur.

- Przydałoby się coś mocniejszego - stwierdziła matka Agustina swoim dziecięcym głosem.

Bernardo zawahał się.

„Zrób to, Bernardo, musisz po prostu tego chcieć”, przemówiła do niego w myślach Yebra.

- Spróbuję - powiedział bez przekonania. Chwycił deskę, jakby to był taran i uderzył nią z całej siły w ścianę. Niestety odłupał jedynie kilka kawałków tynku.

Zakonnice spojrzały po sobie, a na ich twarzach odmalowało się rozczarowanie. Bernardo westchnął.

„Musisz tego chcieć”.

Krwistoczerwona energia mrowiła go od środka. Powietrze wokół nabrało tej dziwnej lepkiej konsystencji, którą tylko oni czuli; stało się gęste jak oliwa.

Bernardo poczuł moc bijącą z tego powietrza i napełnił nim płuca. Jeszcze raz uderzył w ścianę. Tym razem, ku zdumieniu mniszek, drewno z suchym trzaskiem przebiło mur. Powstał w nim wyłom wielkości dłoni. Ściana miała zaledwie dwa palce grubości.

Matka Agustina, z właściwą sobie nieśmiałością, zbliżyła lampkę do otworu, jednak wilgotny powiew z ciemnej czeluści zgasił płomień.

Bernardo odsunął je delikatnym gestem i znów uderzył. Nie przerywał pracy, póki nie wyrąbał otworu, przez który spokojnie mogło przejść każde z nich.

- Nie mogę wprost w to uwierzyć - powiedziała ledwie widoczna w półmroku matka przełożona.

- Zawsze myślałam, że to tylko legenda. Znajdowali się w naturalnej jaskini, poszerzonej nieco ludzką ręką.

- Legendy zawsze zawierają w sobie ziarno prawdy

- oświadczyła wesoło matka Agustina. - Podobno dawało się wtedy przejechać nawet konno - dodała, obserwując pokaźne rozmiary tunelu, do którego weszli.

Grota w wapiennej skale miała wydłużony kształt, a jej kraniec ginał w mroku. Na chropowatych ścianach miejscami były widoczne stare ślady prymi-

tywnych narzędzi, którymi obrobiono ściany i sklepienie. Pachniało wilgocią, zaduchem i czymś bliżej nieokreślonym, co przywodziło na myśl śmierć i ostateczny spokój.

- Czy jest tu przejście?... Czy to w ogóle możliwe?

- zapytała na głos matka Cristina.

- Podobno prowadzi aż do Świętej Cekliny. Ale...

- Jeśli przejście zostało zamurowane z tej strony, na pewno zrobili to samo z drugiej.

Dawno temu, w czasach, gdy Bernardo był jeszcze uczniem, też słyszał legendę o tajemnym przejściu do Las Inviernas, ale nigdy w nią nie wierzył. Teraz nie miał pojęcia, w którym miejscu mógł kończyć się tunel.

- Kiedy zrobiliśmy pierwszy otwór - oświadczyła matka Consuelo - powiew wiatru zgasił płomień lampki. Musi prowadzić na zewnątrz.

- Nie sądzę - odparła Yebra. - Ta stęchlizna w powietrzu...

Wyczulone zmysły mówiły Bernardowi, że tunel prowadzi donikąd i że na jego drugim końcu znajduje się ściana. Być może kiedyś wiódł do Świętej Cekliny, ale teraz z pewnością przejście jest ślepe. Zamknięte murem.

- Sprawdzę to - oświadczył stanowczo Bernardo.

- Yebro, zostań z nimi.

„Jeśli zaatakują, pomożesz im. Ja poszukam pomocy w Świętej Ceklinie”.

Yebrze mało serce nie wyskoczyło z piersi. „Tu nie ma przejścia!”, krzyknęła do niego rozpaczliwie w myślach.

- Znajdę wyjście - powiedział na głos z przekonaniem.

- To samobójstwo - mruknęła Yebra.

- Niech Bóg ma nas w swojej opiece! - Matka Consuelo wbiła swoje szare oczy w ciemność, jakby chciała przeniknąć ją siłą spojrzenia.

- Idę. Znajdę drugie wyjście - powtórzył. - Dotrę do Świętej Cekliny. Sprowadzę pomoc... Zanim tamci zaatakują.

Płomienie lamp zadrżały i przez chwilę mieli wrażenie, że wszystkie zgasną. Yebra pokręciła głową.

- Bernardo, nawet nie wiesz, w jakiej sytuacji znajduje się klasztor.

- Zrobię to - w jego głosie zabrzmiała niezbita pewność.

- Nigdzie nie pójdziesz w takim stanie, mój synu - matka przełożona przejęła inicjatywę ze stanowczością, której się po niej nie spodziewali. - Musisz odpocząć... Przynajmniej kilka godzin. Damy ci trochę jedzenia, przygotujemy pochodnie - jedno spojrzenie wystarczyło, by zleciła to zadanie matce Agustinie. - Do Świętej Cekliny jest godzina drogi, ale kto wie, ile czasu zajmie ci przeprawa tym korytarzem. Nie wiemy również, co cię czeka po

drugiej stronie, czy uda ci się tam wyjść. Powinieneś mieć światło, jakąś broń...

Wzrok Yebry utonął w ciemnościach. A zatem decyzja zapadła. Wiedziała, że nic nie powstrzyma Bernarda. Szron zmroził jej serce.

Mężczyzna odwrócił się ku niej ze zdumieniem, nagle porażony jej złymi przeczuciami.

- Uda mi się.

Przekonanie, z którym to powiedział, roztopiło ów szron. Yebra poszukała wzrokiem miodowych oczu Bernarda, po czym zaczęła chłonać jego niezłomną wiarę, jego pewność.

- Zostanę tu z nimi - powiedziała z mniejszym przekonaniem, niż by sobie tego życzyła.

„Jeśli zaatakują przed twoim powrotem, pomogę bronić Las Inviernas”.

Yebra modliła się w duchu, by Bernardo wrócił cały i zdrowy.

„A jeśli nie wrócisz, pójdę cię poszukać, przysięgam na wszystkie świętości”.

- Wrócę - powiedział na głos.

Bernardo zagłębił się w ciemnościach tunelu. Zostawił za sobą Yebrę i przeoryszę. Wciąż miał w uszach ich ostatnie słowa: „Wracaj szybko!”

Przed tą wyprawą odpoczął kilka godzin, jak mu to radziła matka Cristina, i poczuł, że jest pełen energii.

Niósł pochodnię, która rozświetlała ciemności. Po przejściu kilku kroków zorientował się, że tunel się zwęża. Światło płomienia nie było wystarczająco mocne, by mógł iść pewnie i tak szybko, jakby tego pragnął, ale wnet nauczył się kierować swoimi wyostrzonymi zmysłami. Dzięki nim wiedział, że podłoże jest śliskie i wilgotne, zanim to zobaczył.

W tej części korytarza woda przesączała się przez ściany i sklepienie, a podłoże, po którym szedł, stanowiła mokra, śliska skała. Musiał iść z najwyższą ostrożnością.

Przed wyruszeniem w drogę zastanawiał się, czy nie wziąć ze sobą księgi dla Dimasa, ale Yebra przekonała go, że u niej będzie bezpieczniejsza. Nie wiedzieli, jaka jest sytuacja w Świętej Ceklinie, a oboje czuli pulsujący niepokój na myśl o klasztorze. Dlatego zabrał jedynie swoją torbę, trochę żywności i dwie pochodnie, które dostał od przełożonej. Cieszył się, że księga została pod opieką Yebry. W ciemnościach, gdy szedł po tak śliskiej nawierzchni, byłaby ona tylko przeszkodą dodatkowo opóźniającą marsz.

Teraz, starannie odmierzając każdy krok po śliskim podłożu, cieszył się też, że zdążył się zdrzemnąć kilka godzin. Powitał świt w klasztorze, gdzie usiłowano utrzymać zwykły rytm dnia, bez względu na oblężenie, które przecież wcześniej czy później, o ile nikt temu nie przeszkodzi, musiało zakończyć się bezpośrednim atakiem.

Bernardo czuł w sobie nowe siły. Nadal wierzył, że w jakiś sposób przedostanie się do Świętej Ceklina. Był przekonany, że jego zadanie sprowadza się właśnie do tego: musi tam dotrzeć.

Nagle poczuł, że coś nowego znajduje się przed nim. Powietrze pachniało inaczej, inaczej się poruszało. Rozmiary korytarza znów się zmieniły; zanim jeszcze się tam ujrzał, wiedział, że zbliża się do czegoś w rodzaju ogromnej sali. Światło pochodni nie sięgało sklepienia ani ścian.

Znajdował się w rozległym pomieszczeniu, które jedynie natura mogła stworzyć. Z podłóża sterczały skały o kapryśnych formach, z sufitu zaś zwieszały się stożkowate twory, które niepewny płomień pochodni pozwalał mu jedynie przeczuć.

Droga, która otwierała się przed nim, wydawała się prosta. Przebiegała po wygładzonej posadzce, zupełnie innej niż wznoszące się po obu stronach nieregularne powierzchnie skalne.

Nagle coś przyciągnęło jego uwagę - jakiś nienaturalny kształt obok szlaku. Przybliżył doń pochodnię i ujrzał prymitywny drewniany krzyż wbity w ziemię: grób.

Zszedł z drogi i oświetlił pobliski teren. Nie była to jedyna mogiła. W sali znajdowało się około trzydziestu krzyży. Niektóre lepiej niż inne oparły się upływowi czasu i wilgoci, kilka robiło wrażenie bardzo starych. Poczuł, że włosy jeżą mu się na całym ciele.

Nigdy nie był strachliwy. Umiał racjonalnie ocenić każdą sytuację. Teraz jednak, gdy tak stał w podziemiach, otoczony grobami, nie wiedząc, gdzie właściwie się znajduje, bez pewności, że dotrze dokądkolwiek, nie wiedząc nawet, czy uda mu się znaleźć drogę powrotną... Poczul, jak żołądek mu się zaciska, jak na plecach zaczyna się perlić lepki pot. Ogarniała go panika.

Zatrzymał się przed jednym z grobów. Mogiła była niewielka. Musiało upłynąć wiele lat od czasu, gdy ją tu wykopano. Westchnął głęboko i niemal odruchowo zaczął się modlić.

- *Jesu amor noster, Jesu Deus pacis, Jesu autor vitae, Jesu exemplar virtutum, Jesu delator animarum...*

Łacińskie słowa same cisnęły mu się na usta. Wypowiedzenie ich przyniosło mu nieco spokoju.

Westchnął głęboko i zaczął szukać w sobie pewności, którą czuł jeszcze tak niedawno. Fala zapału powróciła i ogarnęła go na nowo, strach minął bez śladu.

Niemal z obojętnością obrzucił wzrokiem pozostałe groby i ruszył dalej z większą determinacją niż dotąd.

W ciemności stracił poczucie czasu. Święta Ceklina oddalona była od Las Inviernas jedynie o godzinę drogi. Jak długo już szedł? Właśnie godzinę? A może tylko pół?... A może dużo dłużej? Zaskoczyło go, że

nie miał pojęcia, jak odpowiedzieć sobie na te pytania. Pochodnia nadal się paliła; matka przełożona powiedziała mu, że powinna wystarczyć na kilka godzin. Na wszelki wypadek miał zresztą drugą.

W pewnej chwili blask płomienia nieco się zmienił. Na mokrych murach widać było dziwne refleksy.

Droga ponownie się zwężyła. Po ścianach znów ściekała wilgoć, a podłogę pokrywała kilkucentymetrowa warstwa wody. Buty przemiekle mu niemal zupełnie.

Przeszedł jeszcze kilkaset metrów i nagle zatrzymał się w miejscu. Czuł, że wyrosła przed nim jakaś przeszkoda. Nabrał głęboko powietrza. Zastanawiał się, co to takiego. W jego świadomości pojawiła się wizja muru, czegoś, co zagrażało mu drogę. Płomień pochodni zatańczył niespokojnie. Powietrze. Z głębi korytarza napływało świeże powietrze.

Ruszył przed siebie, chroniąc dłonią płomień. Wiedział, co zobaczy, zanim rzeczywiście to ujrzał. Przed nim znajdowało się osuwisko.

Kiedyś, dawno temu, część sklepienia i jedna ze ścian musiały się zawalić, zamykając drogę. Przejścia nie było. Bernardo wyciągnął przed siebie pochodnię, szukając tego, co przeczuwał: gdzieś w tym zwalisku znajdowała się szczelina, wystarczająco szeroka, by przechodziło przez nią powietrze.

I rzeczywiście! Była tam!

Wspiął się po gruzach i ziemi aż do otworu. Dziura miała szerokość niemal jednego łokcia.

Ostrożnie odłożył pochodnię na ziemię i zdjął torbę, by swobodniej się poruszać. Zaczął odgarniać kamienie. Nie była to lekka praca, niektóre głazy były naprawdę ciężkie. Poranił sobie skórę na dłoniach i ramionach, ale nie przestał pracować, dopóki wystarczająco nie powiększył otworu. Wtedy wsunął weń pochodnię i zajął na drugą stronę.

Płomień zadrżał. Korytarz ciągnął się dalej. Bernardo zarzucił torbę na ramię i ostrożnie przecisnął się przez otwór.

Po drugiej stronie skała wyglądała inaczej. Jaskinia powstała w żółtawym wapieniu, w którym gdzieś przebiegały różowe żyłki. Bernardo rozpoznałby ten kamień na końcu świata. To jego właśnie używano w Świętej Ceklinie.

Cel musiał zatem znajdować się już niedaleko. Ożywiony tą świadomością szedł jeszcze przez kilka minut.

Tunel stał się szerszy, podłoga równiejsza. Ostatni odcinek przejścia wyłożony był kamiennymi płytami. W ścianach zamontowano metalowe pierścienie.

Nagle wyrosła przed nim ściana. Dotarł do końca korytarza.

Przybliżył pochodnię do muru i zobaczył znak spirali nakreślony węglem. Delikatnie uderzył w ścianę palcami. Była równie cienka jak ta, którą przebił przy wejściu w magazynie Las Inviernas. Cofnął się o kilka kroków, szukając kamienia, którym mógłby rozbić

ścianę. Znalazł odpowiedni odłamek skały wśród wielu innych rozrzuconych u podnóży osuwiska i wrócił, by zlikwidować ostatnią przeszkodę dzielącą go od Świętej Cekliny. Zamocował pochodnię w jednym z pierścieni. Ujął kamień w ręce. Nabrał rozpędu. Zaczerpnął głęboko powietrza, myśląc o tamtym gęstym powietrzu, które powinno mu pomóc w zebraniu sił. I kiedy miał już uderzyć... ściana nagle sama na niego spadła! Odskoczył do tyłu zdumiony.

Gdy kurz opadł, zobaczył otwór. Po drugiej stronie płonęło światło. Światło, które w pierwszej chwili go oślepiło. Zamrugał i wtedy zobaczył przed sobą jakąś postać.

Człowiek po drugiej stronie ściany trzymał coś w rodzaju oszczepu i szykował się do kolejnego ciosu.

- Nuńo! - krzyknął.

- Bernardo!

O ucieczce ze Świętej Cekliny

Bracie! Nuño wyraźnie się postarzał. Jego włosy były siwe i przerzedzone.

- Mój Boże! Nic się nie zmieniłeś... Bernardo przedostał się na drugą stronę otworu. Od razu zaatakowało go mnóstwo bodźców: zapach pleśni, wilgoci i dymu unoszący się wokół, wrażenie grożącego niebezpieczeństwa, oślepiające światło słoneczne...

- Wiedziałem, że wrócisz, Bernardo! - Nuño uściskał go serdecznie.

Pachniał potem, pracą i czymś, co Bernardo zidentyfikował jako swoisty zapach skóry.

- Od kiedy... od tamtej pory mam dziwne przeczucia... - powiedział pośpiesznie. - Wiedziałem, że wrócisz, bo od dwóch dni czułem, że jesteś blisko, a dziś, dziś dotarło do mnie, że powinienem tu przyjść i że będziesz po drugiej stronie ściany.

- „Od tamtej pory”? - Bernardo zamrugnął, zdumiony.

Wpatrywał się w Nuña, znajomego i obcego zarazem, który mamrotał coś nie w pełni zrozumiale. Trubadur westchnął.

- Wrota do drugiego świata. Nie zdołałem ich przekroczyć, odrzuciły mnie... Wtedy coś się ze mną stało... Naznaczyło mnie to. Od czasu, gdy byłem w tym strasznym miejscu, mam czasami... niepojęte wizje. I właśnie dwa dni temu poczułem, że... jesteś blisko. A potem - dodał jak ktoś, kto powierza tajemnicę - ogarnęła mnie pewność, że pojawisz się tutaj, w jednej z jaskiń...

W tym momencie Bernardo pojął, gdzie się znajduje - w „składziku” czy też „jaskini”, w jednej z naturalnych grot, których pełno było w ścianach Świętej Cekliny. Ta była wyjątkowo mała i z tego, co zauważył, znajdowała się tuż koło drogi wiodącej pod skalną ścianą.

Bernardo poczuł całe zdumienie, ekscytację, a zwłaszcza życzliwość, które wypełniały niespokojną duszę Nuña, i uściskał przyjaciela.

- Dotarłeś do tamtego świata, prawda? - zapytał pieśniarz, po czym ciągnął dalej, nie czekając na

odpowiedź. - Musiało się wam udać... - Przyjrzał się uważnie swojemu dawnemu towarzyszowi. - Mój Boże! Nic się nie zmieniłeś! - powtórzył.

- Czas w tamtym świecie płynie inaczej, mój przyjacielu. Dopiero co stamtąd wróciliśmy - odparł z szerokim uśmiechem.

Ñuño zamyślił się na moment, jakby zaakceptowanie tych słów przychodziło mu z trudem.

- A Yebra? - zapytał w końcu.

- Nic jej nie jest, Ñuño. Została w Las Inviernas. - Gdy wspomniał o drugim klasztorze, uświadomił sobie, że nie ma czasu do stracenia. - A Dimas? Ñuño! Muszę natychmiast się z nim widzieć! Las Inviernas jest w niebezpieczeństwie!

Ñuño zamarł, zaskoczony.

- O mój Boże! - jęknął. - Tak, poszukajmy Dimasa. Bernardo, przyjacielu!... Przybywasz w strasznej chwili, Święta Ceklina jest o krok od zagłady. To już koniec!

Zeszli po schodach wykutych w skale. Jego stary przyjaciel wspierał się - jak na lasce - na oszczepie, którego użył do zrobienia wyłomu w ścianie. Bernardo zauważył, że ten starszy o kilka lat Ñuño stracił wiele ze swojej dawnej zwinności.

Gdy ruszyli drogą biegnącą koło warsztatów, składów, olejarni i tłoczni win, Bernardo oniemiał ze

zdumienia. Zapach dymu, który poczuł wcześniej, pochodził z ognisk płonących wokół klasztoru. Santa Ceklina była otoczona przez regularne wojsko. W oblężeniu Las Inviernas brało udział ledwie trzydziestu ludzi; tutaj zobaczył całą dobrze zorganizowaną armię. Tuzin wież oblężniczych czekał pod murami klasztoru. Jakieś stworzenia rodem z drugiego świata krążyły po Świętej Ceklinie; wokół wież kłębiły się purpurowe obłoki.

- To kwestia godzin. Wkrótce będą w środku. Dolna brama już padła. - Ñuño miał na myśli główne wejście, które u podnóża góry wieńczyło początek drogi na jej szczyt.

Wtedy Bernardo zauważył oznaki świadczące o upadku klasztoru. Płyty dziedzińca porastał mech. W szparach między kamieniami plewiły się chwasty, a gęsta, dzika roślinność próbowała wdrzeć się na coraz większy teren. Przeszli obok warzywnika, który z taką troskliwością pielęgnował Jeremías z innymi zakonnikami. Teraz był to kawałek rozkopanej ziemi, z której z rzadka sterczały jakieś warzywa. Na kupie gruzu leżało kilka porzuconych narzędzi.

Zmiany, jakie zaszły w Świętej Ceklinie pod jego nieobecność, która przecież zdawała mu się tak krótka, przeistoczyły jego ukochany klasztor w obraz zupełnego upadku.

Obok warzywnika rozciągały się zaniedbane zagrody dla zwierząt. Nad ich głowami rozpoznał stado

mertów, latających, rozdętych jak baloniki stworów. Kilka zasuszonych mioteł z janowca opierało się o furtkę. Pomyślał, że w na wpół zrujnowanych zagrodach nie mieszka już żadne zwierzę.

- A jednorożec? - zapytał Bernardo, przypominając sobie swoją ostatnią wizytę w stajniach. - Co się stało z jednorożcem? - powtórzył.

Ñuño w pierwszym momencie nie zrozumiał pytania. Po chwili namysłu odparł:

- Zdechł. Już w kilka dni po tym, jak wyruszyliśmy na poszukiwanie innego świata.

Duszę Bernarda ścisnął gorzki żal. Ñuño spróbował przypomnieć sobie jeszcze kilka szczegółów.

- Robaki i brzuchate myszy przeżyły. Wypuściliśmy je w końcu. Wkrótce pojawiło się więcej tych zwierząt. Nasz świat jest coraz bardziej zanieczyszczony... ale niewielu to widzi... - Ñuño pokazał mu *merty*. - Krążą nad nami jak sępy, chciałyby się pożywić naszą rozpaczą.

Bernardo był zaskoczony. Poczul bowiem, że słowa przyjaciela to coś więcej niż zwykła przenośnia.

- Pożywić się naszą rozpaczą? - powtórzył.

- Żywią się naszymi uczuciami, Bernardo. Nie wiedziałeś? ... Tamte latające baloniki szukają bólu; inne strachu, smutku lub szczęścia... Spójrz na te purpurowe mgiełki przy murze. Żywią się naszym smutkiem i melancholią.

I Nuño popatrzył na niego jak na głupca, który nie zauważył czegoś, co było przecież oczywiste.

Wtedy zrozumiał; przez głowę przeleciały mu wspomnienia, które przechowywał w sercu niczym największe skarby. Nagle wszystkie elementy układanki ułożyły się w spójną całość; *osty*, *ody* i *dronty* kręciły się wokół nich w pierwszych tygodniach ich namiętności i niepohamowanego uczucia; *suwie*, z nastroszonymi włoskami, pojawiały się zawsze, gdy coś ich zaskoczyło lub zdenerwowało. Albo *hebany!* Zawsze musiały być w pobliżu, gdy się kłócili! Te czarne smoki żywiły się ich gniewem i irytacją. A gdy robiło im się smutno, dziwnym trafem zawsze kręciły się obok te same purpurowe mgiełki, których teraz było pełno w klasztorze.

- Zbadaliśmy je. Dimas poświęcił im wiele czasu. Zwłaszcza na początku, w pierwszych latach, gdy dopiero zaczęły się pojawiać. Ale już dawno temu daliśmy sobie z tym spokój. Mamy teraz pilniejsze sprawy.

Bernardo milczał. Czuł się jak głupiec. Nie mógł uwierzyć, że wcześniej tego nie zauważył - stworzenia, które żywią się ludzkimi uczuciami. Och! Musi o tym powiedzieć Yebrze!

- Nuño, ja... nie wiedziałem o tym. Mamy sobie tyle do opowiedzenia.

Szli przez dziedziniec. Minęła ich grupa zakonników, w większości starców; biegli w kierunku muru.

Jeden z nich miał na sobie o wiele za dużą kolczugę. Dyszał. Druga grupa wychodziła z magazynu, dźwigając kusze i kołczany wypchane strzałami.

Inni mnisi, trzydzieści metrów dalej, z trudem pchali katapultę, by ustawić ją naprzeciw jednej z wież oblężniczych. Maszynę oblażyły szare ślimaki, oblepiając ją jak małże - kadłub rybackiego kutra.

Wówczas Bernardo pojął, że wprowadzali w życie plan obrony klasztoru, plan, który wszyscy znali, ale o którym nigdy nie sądził, że zostanie kiedyś wprowadzony w czyn.

Jednak do wykonania planu brakowało szeregów łuczników, pocisków do katapult, zbrojnych ludzi na murze, zasieków ochronnych...

Wszystko to wydało mu się parodią prawdziwej obrony.

- Na Boga, Nuño, gdzie są żołnierze? Gdzie zdolni do walki mężczyźni? Przecież to sami starcy!

Przyjaciel zatrzymał się w pół kroku. Utkwił w Bernardzie ponure spojrzenie. Tamten, zanim jeszcze usłyszał odpowiedź, poczuł ukłucie w sercu.

- Nie żyją, Bernardo. Wszyscy zginęli... Roznieśli nas.

Owiewał ich nieprzystający do sytuacji wiosenny wietrzyk, pachnący kwiatami i świeżą trawą.

- To były straszne lata. Najpierw rozproszyli nasze siły, wysyłając je w jakieś bezsensowne misje... Aby

zdobyć zaufanie nowego papieża, Dimas wysyłał naszych ludzi tam, gdzie tylko Ojciec Święty sobie zażyczył. Choć nie mieliśmy o tym pojęcia, już wtedy byliśmy zgubieni, bo wszystko to było częścią planu. Nasze ambasady likwidowano jedną po drugiej.

Bernardo poczuł echo tamtego bólu tak mocno, jakby sam był świadkiem zagłady.

- Docierały do nas wiadomości, w które nie mogliśmy uwierzyć. Mój Boże, straciliśmy pięciuset ludzi w niecałe trzy miesiące!

Ñuño odwrócił wzrok i szybkim krokiem ruszył dalej.

- Potem zaczęła się otwarta wojna. Stało się jasne, że chcą z nami skończyć; papież odbierał nam stopniowo prawa i prebendy, z których korzystaliśmy dziesiątki lat. Potem nadeszły bezpośrednie ataki na nasz Zakon; straciliśmy enklawy na Sycylii, Sardynii i w Antiochii. Zaczęli w najbardziej odległych miejscach, potem... zbliżali się coraz bardziej.

Ñuño zatrzymał się na chwilę, jakby mimo woli przypomniało mu się coś, o czym wolał nie myśleć.

- Otoczyli nas, wycięli w pień... Dimas wysłał kolejnych braci do walki, myślał, że jest jeszcze szansa w Neapolu... - Westchnął ciężko, a oczy zaszyły mu mgłą.

Potem potoczył wzrokiem, jakby szukał kogoś w pobliżu kościoła. Nie zobaczył nikogo, odwrócił się więc w kierunku klasztoru.

- Wreszcie papież sprzymierzył się z naszymi miejscowymi nieprzyjaciółmi. To już było prawdziwe, regularne wojsko, które za jedyny cel stawiało sobie zniszczenie wszystkich enklaw, a potem każdego brata ze Świętej Cekliny. Bernardo, nawet sobie tego nie wyobrażasz! Nauczyciele, myśliciele, podróżnicy... wszyscy rozproszeni po świecie bracia ze Świętej Cekliny byli ścigani i mordowani. Teraz nie pozostał już nikt.

Bernardo z trudem przyjmował do wiadomości pełne bólu słowa Nuña. Spróbował sobie wyobrazić to zawzięte prześladowanie jego przyjaciół. Co by się stało z nim, gdyby został w zamku w Almacei? Znaleźliby go? Uratowałyby się?... A może wolałyby uciec, porzucić swojego pana Rafaela i szukać schronienia, podróżując incognito? Ilu braci ze Świętej Cekliny przeżyło podobne rozterki?

Bolała go każda ta śmierć z osobna i wszystkie razem. Ból rozlał się po nim niczym gęsta żywica, a czerwony gniew, który w nim zawrzał, łapczywie nasycił się tym cierpieniem. Spostrzegł kilka robaków o segmentowanym, spłaszczonym ciele, czołgających się u jego stóp. Racjonalna część jego jestestwa zastanawiała się, czy żywiły się jego bólem i wściekłością.

- Wytlukli nas jak szczury - ciągnął dalej Nuño. - Nikogo nie oszczędzili. Dimas zarządził powrót ze wszystkich misji. Mieliśmy się schronić w Świętej

Ceklinie! Wrócić do korzeni! Wysłał posłańców na wszystkie strony... Ale było już za późno... - głos odmówił mu posłuszeństwa. - Wiesz, ilu wróciło, Bernardzie?... Mniej niż dwudziestu! Nawet dwudziestu dzielnym braciom nie udało się ująć przed tym prześladowaniem, tak systematycznym i zajadłym, że trudno to sobie nawet wyobrazić...

Bernardo otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zaraz je zamknął; nie znalazł słów, by wyrazić to, co działo się w jego sercu.

- A ty pytasz, gdzie są mężczyźni? Rozejrzyj się wokół, tu są wszyscy, którzy przetrwali - setka starców i garstka silnych młodych mężczyzn. Przybyłeś, by zobaczyć nasz koniec, przyjacielu. Kiedy Dalmau zaatakuje, Święta Ceklina zniknie na zawsze.

Bernardo nie mógł wprost w to uwierzyć. Łzy stanęły mu w oczach, ale nie zdążyły spłynąć, bo nagle wyrósł przed nim Dimas. Razem z nim nadeszło dwóch młodych braci.

Kiedy przeor zobaczył Bernarda, stanął jak wryty.

- Bernardo! Na Boga!... Bernardo! - szepnął. - Nuño miał rację. Wróciłeś w końcu...

Wtedy uświadomił sobie, że twarz Bernarda nic się nie zmieniła przez te wszystkie lata. Zanim jednak zdążył coś powiedzieć, Bernardo, niepomny na szacunek, jaki należy się przeorowi, i na przyjęte formy, uściskał go mocno. Bowiem Dimas, niegdyś okaz siły, przeor, mistrz, prawdziwy ojciec każdego z braci

w Świętej Ceklinie, zmienił się w zgarbionego starca o niebieskich oczach, osadzonych w sieci zmarszczek. Przez te niewielkie szczelinki w pomarszczonej skórze nie sposób było zobaczyć choćby połowy jego dawnej żywotności.

- Dimas! - szepnął Bernardo.

- Dotarłeś tam? - zapytał cicho przeor, wysuwając się z jego objęć.

Bernardo przytaknął.

- Zdobyłem księgę. Wykonałem zadanie - powiedział głosem pełnym emocji. - Wróciłem najszybciej, jak się dało... Czas płynie tam inaczej niż tu - wyjaśnił krótko.

Oczy Dimasa rozbłysły na chwilę, ale wnet znów przygasły.

- Księga! *Porta Coeli!*... - Na chwilę ogarnęły go wspomnienia. - Teraz już na nic się nam nie przyda

- dodał.

I rozłożył ramiona, jakby tym gestem chciał pokazać ogrom problemów, które spadły na braci.

W oddali rozległ się jakiś łomot. Dimas spojrział z niepokojem w tamtym kierunku.

- Musimy skończyć przygotowania do obrony. Przyda nam się kilka dodatkowych rąk do pracy

- powiedział stanowczo. - Bernardo, idziesz na północny mur. Weź broń i...

Do Bernarda nie dotarły jego ostatnie słowa, bo w duszy wybuchła mu ta sama czerwona pewność,

która upoiła go w Las Inviernas. Jego zmysły wyostrzyły się, a fala wściekłości i gorąca oblała go od stóp do głów. Powietrze wokół zgęstniało. Poczł zapach wilgoci z podziemnego przejścia, którym tu dotarł. Wydało mu się, że wciąż jest tam, na dole, i trzyma pochodnię. Niemal czuł ją w ręku.

Odetchnął głęboko, żeby się uspokoić, wrócił do rzeczywistości i odezwał się, usiłując zachować spokój.

- Mamy pochodnie? - zapytał przeora.

Dimasa zaskoczyło to pytanie, ale powaga na tak dobrze znanej twarzy współbrata kazała mu odpowiedzieć.

- Oczywiście...

- Ojcie Dimasie - powiedział Bernardo bardzo wolno, pragnąc, by każde jego słowo zostało dobrze zrozumiane - jest pewne wyjście. Możemy uratować Świętą Cerkiew. Istnieje podziemny korytarz, jaskinia, która prowadzi wprost do Las Inviernas. To nie więcej niż godzina drogi... Właśnie tamtędy przyszedłem. Możemy uciec! Nie wszystko stracone!

Błękitne oczy przeora rozbłysły na chwilę, gdy rozważał tę możliwość.

- Potrzebujemy pochodni... Jest tam gruzowisko, przez które będziemy musieli się przedrzeć... Grupa młodych przodem. Druga grupa jako straż tylna. Ja... pójdę na końcu...

Dimas pokręcił głową.

- Nie porzucę klasztoru.

- Święta Ceklina jest stracona - wtrącił Ñuño - już jej nie uratujemy...

Myśli Dimasa zaczęły krążyć po bezdrożach przyszłości, która jeszcze się nie wydarzyła, ale którą uważał za nieuniknioną: zgliszczą spalonej biblioteki, ograbiony kościół, trupy porozrzucane po całym terenie klasztoru...

- Święta Ceklina jest w nas - powiedział Bernardo z przekonaniem, przerywając ponure rozmyślenia przeora. - Nie w murach! Jeszcze nas nie pokonali!

Dimas wahał się.

- W Las Inviernas jest ledwie trzydziestu najemników. Bez trudu się z nimi uporamy.

- Zostaniemy tylko my - stwierdził nagle Dimas, lecz Bernardo nie do końca zrozumiał, o co mu chodzi. - To wszystko - przeor zatoczył łuk ręką - tego wszystkiego już nie ma. To ostatnia bitwa, przegrana, i żaden z nas jej nie przeżyje. To samo zrobili na Sycylii czy w Antiochii. Zniszczą wszystko: bibliotekę, naszą bibliotekę z niepowtarzalnymi księgami, które gromadziliśmy po całym świecie i w których opisany jest umysłowy dorobek ludzkości; relikwie Świętej Cekli-ny... Delikatne flakony z dmuchanego szkła, sól, przyprawy, jedwabie, szlachetne kamienie naszych świętych... Boże w niebiesiech! - wykrzyknął.

- Tego wszystkiego nie możemy uratować, to prawda, ale my, my wszyscy mamy szansę! - krzyknął Bernardo.

Dimas błędził wzrokiem po zabudowaniach klasztoru.

Bernardo poczuł, jak coś zaciska mu się w żołądku, wtedy zrozumiał, że przeor podjął decyzję.

- Victor! - zawołał.

Jeden z młodych mnichów, którzy posłusznie czekali przy wejściu, podszedł bliżej.

Bernardo ze zdumieniem odkrył, że znał tego człowieka. Z mroków przeszłości wyłowił wspomnienie młodego brata, który powitał ich w Świętej Ceklinie, kiedy przed laty przybyli tu z Yebrą. Tamten blondynek, niemal chłopiec, zmienił się w mężczyznę w kwiecie wieku. Jego niebieskie oczy patrzyły chłodno, była z nich stanowczość bożego żołnierza, gotowego na śmierć w obronie słusznej sprawy i honoru.

- Poszukaj Ricarda - polecił Dimas. - Jest na murach, po północnej stronie. Powiedz, żeby zebrał ludzi na dziedzińcu, wszystkich! Powiedz mu, że... - przełknął ślinę - że opuszczamy Świętą Ceklinę. Pospiesz się!

Dimas znów był tym stanowczym człowiekiem, którego Bernardo pożegnał rok temu.

- Idź już! A ty - zwrócił się do drugiego młodzieńca - idź do Jacoba, powiedz mu to samo. Obejdź też całą zachodnią część. Musimy wyprowadzić stąd wszystkich!

Nuńo, Dimas i Bernardo zostali sami.

- A wy dwaj, bracia, chodźcie ze mną...

Dimas ruszył w kierunku kościoła. Jego kroki odbiły się echem w kamiennych podcieniach. Z oddali dobiegały głuche dźwięki uderzeń.

- Próbuja wyważyć bramę - skonstatował przeor, jakby sam sobie chciał wyjaśnić te odgłosy.

Potem pochylił się i podniósł z ziemi kamień.

Inaczej niż zwykle o tej porze drzwi kościoła były szeroko otwarte.

Dimas podszedł wprost do ołtarza Świętej Cekliny. Zatrzymał się na chwilę przed zawierającą kości świętej urną z kryształu i drewna. Nie była wprawdzie ciężka, ale za to nieporęczna i bardzo delikatna. Bernardo nie raz był świadkiem, jak pielęgnowano urnę; czyszczono ją starannie, siostry z Las Inviernas co roku haftowały nową kape, którą ją przykrywano. Od wieków szczątki świętej spoczywały w klasztorze, który zawdzięczał jej swoje imię.

Dlatego też, kiedy Dimas rozejrzał się wokół, przeżegnał się, uniósł w górę podniesiony wcześniej z ziemi kamień i ze słowami „uwaga na szkło!” cisnął go w urnę, Bernardo oniemiał ze zdumienia.

Przeor natomiast, gestem pełnym szacunku i czci, wziął kape, która pokrywała urnę, i owinął w nią szczątki świętej.

- Strzeż jej - powiedział do Nuña. - To nasz największy skarb.

Stary przyjaciel ujął zawiniątko z tym samym wyrazem głupawego zaskoczenia na twarzy, który musiał malować się także na obliczu Bernarda.

- Na resztę nie ma czasu - mruknął Dimas i nie oglądając się za siebie, wyszedł z kościoła.

Bernardo ruszył za nim, jednak przechodząc koło swojej ulubionej figury, posągu Świętego Łukasza, poczuł na sobie jego smutne spojrzenie. Kierując się jakimś niezrozumiałym impulsem, wziął ze sobą posążek, po czym opuścił świątynię.

Bernardo był świadkiem smutnego spektaklu. Stał u stóp wykutych w skale schodów i patrzył, jak bracia Świętej Ceklidy opuszczają klasztor: długi szereg smutnych, zmizerniałych twarzy. Niektóre wydawały mu się znajome. Czasami któryś z nich rzucał za siebie ostatnie spojrzenie na miejsce, które było jego domem i sensem życia, a potem wspinał się dalej po schodach i znikał w jaskini, która miała zaprowadzić ich do Las Inviernas.

Młodszy pomagali starszym wchodzić po stromych schodach. Niektórzy posuwali się do przodu niezmiernie wolno. Wielu niosło broń. Razem tworzyli dziwaczny obraz, szczególnie starcy, z trudem dźwigający na sobie siatkowe kolczugi, miecze i szable.

Bernardo też wdział na siebie kolczugę i ochraniacze, a na wierzch założył tunikę. Początkowo kontakt

z chłodnym metalem i ciężar małych śliskich oczek kolczugi, którego nie czuł od tak dawna, wydał mu się niemal obcy. Dali mu sztylet, miecz, a do niego niewygodną skórzaną pochwę. Miecz nie mógł się równać z jego własnym, straconym, ale wykonano go z dobrze hartowanej stali i był naprawdę ostry. Bernardo znów poczuł się rycerzem Świętej Cekliny i choć z jednej strony odzwyczaił się już od tego, z drugiej odpowiadało to jakiejś części jego natury, której tak bliski był wojowniczy nastrój, w jakim się teraz znajdował.

Długi szereg uciekinierów posuwał się tymczasem powoli do przodu.

Ñuño stał przy wejściu do jaskini i pomagał pokonać ostatnie stopnie najstarszym zakonnikom. Gdy zobaczył Bernarda, zszedł do niego.

- Zdobyli bramę - poinformował go. - Dimas wysłał najmłodszych braci. Mają załatać wyłom i zyskać choć kilka minut, by reszta zdążyła uciec...

Nie musiał kończyć, Bernardo zrozumiał natychmiast, co naprawdę znaczą jego słowa: „Zaraz tu będą”. Jego spojrzenie omiotło długi szereg mnichów.

- Idę tam, Ñuño. Może uda mi się im pomóc. Przypilnuj, żeby weszli jak najszybciej - pokazał gestem braci. - Jeśli dopadną nas w jaskini, przejście zamieni się w pułapkę.

Miał wrażenie, że przyjaciel chce mu coś powiedzieć, ale w końcu poprosił jedynie:

- Wracaj szybko.

I pobiegł na swoje miejsce przy wejściu do groty.

Bernardo energicznie ruszył ku bramie. Minął składy, spichlerz, warsztaty, wreszcie na wpół zrujnowany warzywnik. Tuż za nim unosiły się purpurowe mgiełki. Z każdym krokiem jego gniew wzbierał.

Gdy dotarł na dziedziniec, spotkał kilku braci, którzy usiłowali jak najszybciej dostać się do jaskini. Powietrze wokół drżało. Czerwony gniew sprawiał, że krew się w nim gotowała, od trzewi aż po koniuszki palców. Wściekłość szukała ujścia, musiał tylko dać jej upust.

Już z daleka zobaczył braci, którzy starali się powstrzymać atak wroga. Ich białe tuniki falowały na wietrze. Ludzie Dalmaua wdzierali się do środka przez wyłom w bramie głównej, obrońcy próbowali im to uniemożliwić.

Przyspieszył kroku. Poczul, jak powietrze nabrało nagle tej nieokreślonej gęstości. Wyciągnął miecz i ruszył, gotowy do ataku na najbliższego przeciwnika. Jednak nie musiał zadać nawet jednego ciosu. Cały jego impet i żądza krwi przeistoczyły się w potężny powiew, który pchnął przeciwnika do tyłu, tak że ten upadł i potoczył się dobre dwadzieścia kroków wstecz.

Bernardo nie miał nawet czasu się zdziwić; skupił uwagę na napastnikach, którzy walczyli z jego dwoma współbraćmi. Poruszył mieczem, by zmusić ich do

oddalenia się od muru. Obaj, pchnięci niewidzialną siłą, w jednej chwili polecieeli do tyłu.

Zakonnicy Świętej Cekliny patrzyli na tę scenę w osłupieniu.

Bernardo uświadomił sobie wtedy, że jeden z nich to młody Victor, który przed chwilą towarzyszył Dimasowi.

- Uciekaj, Victor! - krzyknął stanowczo. - Zabierz wszystkich do jaskini!

Widząc, że jego współbrat skamieniał wręcz ze zdumienia, Bernardo powtórzył:

- Szybko! Zabierz naszych! Ja zatrzymam tamtych przez kilka chwil... akurat tyle, ile trzeba, żebyście się uratowali - skończył wolno i dobitnie, aby tamten wszystko dokładnie zrozumiał.

Młody zakonnik rozejrzał się wokół. Ludzie Dalmaua już się podnosili i znów zbliżali do wyłomu w murze. Spojrzał na rozpaloną twarz Bernarda, a potem na swoich dwóch współbraci, którzy razem z nim bronili przejścia.

- Ty! - złapał jednego z zakonników za ramię.

- Dopilnuj, by dotarli cali i zdrowi do jaskini.

- Spojrzał na pozostałych i wrzasnął: - Oooo-odwrót!

Ruchem miecza wskazał im dziedziniec i ścieżkę prowadzącą do jaskini.

- Zabierz ich do groty! - powtórzył. - Ja zostaję z Bernardem.

Wydawało się, że bracia otrząsnęli się już z pierwszego zaskoczenia. Zobaczyli w twarzy Victora coś takiego, że nie odważyli się zaprotestować i pobiegli we wskazanym kierunku.

Bernardo stanął zdyszany obok ostatniego obrońcy Świętej Cekliny.

- Nie musiałeś zostawać. Sam sobie z nimi poradzę. Victor uśmiechnął się.

- Właśnie tego nie mogłem przegapić. Za nic w świecie, Bernardo.

Ludzie Dalmaua ponowili atak, dodając sobie animuszu dzikimi wrzaskami.

Bernardo czuł, jak rośnie w nim pewność, że wykona zadanie. Wyciągnął miecz przed siebie, a kiedy przeciwnicy byli już blisko, po prostu wykonał potężne pchnięcie. Wzbudziło ono gęsty, zwarty podmuch, który zmienił się w małe tornado. Wszyscy przewrócili się na ziemię.

Victor stał obok i obserwował to ze spokojem, gotów bronić się lub atakować w zależności od sytuacji. W dłoniach dzierżył ciężki miecz.

Bernardo zdawał sobie sprawę z tego, co dzieje się w odległości kilkuset kroków, zupełnie jakby sam brał w tym udział. Czuł się częścią klasztoru.

- Zrobili drugi wyłom - wyciągnął rękę w prawo. Victor nie pytał go, skąd o tym wie. Rzucił tylko dla pewności szybkie spojrzenie we wskazanym kierunku.

Bernardo zobaczył, że ludzie Dalmaua podnieśli się, by znów zaatakować. Powietrze zgęstniało tak, że można by je pokroić na kawałki. Jego uwagę przykuł groźnie wyglądający napastnik w czarnych pludrach. Serce waliło Bernardowi jak oszalałe. Czuł rosnącą wściekłość, ową czerwoną energię... Wciągnął w nozdrza gęste powietrze i rzucił we wrogów swą siłę woli, swoje stanowcze życzenie. Nie chciał, by najemnicy Dalmaua posuwali się do przodu.

Napastnicy w promieniu trzydziestu kroków zastygli w bezruchu. Bernardo słyszał we własnej głowie bicie ich serc. Gdyby zechciał, mógłby je spowolnić, mógł nawet zabić tych ludzi!

Wzdrygnął się na myśl o ogromnej władzy, którą dysponował, czystej energii, wprawiającej go w drżenie od stóp do głów.

Nagle usłyszał pełen zdumienia okrzyk Victora.

Bernardo czuł granicę, subtelną niczym pajęcza sieć, między powietrzem, w którym ugrzęźli najemnicy, a tym, które otaczało ich obu.

Ujął młodego zakonnika za ramię i powiedział:

- Chodźmy stąd. To potrwa tylko chwilę.

Bernardo skręcił w prawo w poszukiwaniu drugiej dziury w murze. Wiedział, że musi być gdzieś w pobliżu. Victor posłusznie szedł za nim. Czuł jego konsternację i nieufność, tak wyraźnie jak woń kwitnącego janowca, który rósł gęsto wzdłuż murów.

Kilka metrów dalej, z wieży obłązniczej, wysunięto drewnianą drabinę i oparto ją o najniższą część muru. Tą właśnie drogą przedzierali się do wewnątrz ludzie Dalmaua.

Bernardo zamknął oczy, skoncentrował myśli na jaskini i ujrzał szereg maszerujących mnichów Świętej Cekliny, jakby stał tuż obok nich. Brakowało jeszcze tylko kilku, a młodzi, których odesłał spod murów, też już nadchodzili.

Gdy otworzył oczy, wokół niego z melodyjnym bzykiem krążyły *ody*. Ich trzepoczące skrzydełka zostawiały za sobą w powietrzu nikle tęczę. Bernarda nadal przepełniała dzika energia, która przyciągała do siebie te wygłodniałe stworzenia. Spojrzał na wieżę i znów zobaczył bijące przyspieszonym rytmem serca najeźdźców. Pełen wściekłości, cisnął w nich gęstym powietrzem, chcąc zarzucić na nich obezwładniającą sieć. Ci, którzy stali u szczytu drabiny, pospadali z niej niczym kukielki.

Bernardo wiedział od razu, co ich spotkało: ktoś złamał nogę, sktoś miał komplikowane otwarte złamanie z przemieszczeniem kości, ktoś inny wywichnięty staw barkowy lub skrecony nadgarstek... Gdyby byli w pobliżu, wiedziałby, jak ich leczyć; widział wnętrza ich ciał równie dokładnie, jak ich twarze zmienione przez strach i zaskoczenie.

Czuł jednak żądzę krwi. Chciał zobaczyć krew tych niegodziwców, którzy mieli czelność zaatakować

Świątą Ceklą. Pragnął rozszarpać ich słabe ciała. Usłyszeć chrzęst łamanych kości, krzyki przerażenia... Chciał...

- Ale jak...?

Victor stał obok niego niczym żywe ucieleśnienie czystego osłupienia, nie był nawet w stanie ubrać swego zdumienia w słowa.

- Mój Boże! Bernardo! Co to...? Co u licha...? Wiatr targał jego białym habitem. Bernardo spojrział

na medalion Świętej Cekliny, który zwieszał mu się na piersi. Dotknął identycznego medalionu na swojej. Wyczuł pod palcami znajomy kształt spirali. Ten gest w jakiś sposób wyciszył jego gniew.

Odetchnął, napełniając płuca powietrzem przesyconym wonią janowca i wiosny.

- Victor - powiedział ze spokojem - później ci to wyjaśnię... Zyskaliśmy kilka cennych minut. Szybko, chodźmy!

Ruszył biegiem, ciągnąc go za sobą.

Ich pospieszne kroki rozbrzmiały zwielokrotnionym echem w ciszy dziedzińca i podcieniach kościoła. Z szybkością huraganu przemknęli obok warzywnika i składów, aż dotarli do kamiennej ściany podziurawionej dziesiątkami naturalnych jaskiń.

Kilku braci czekało jeszcze w kolejce do wejścia. Obok stał Ñuño i pomagał im przejść jak najszybciej.

Bernardo popchnął Victora w kierunku wykutych w skale schodków. Obaj weszli pospiesznie, przy-

trzymując miecze, by nie przeszkadzały im we wspinaczce. Gdy stanęli przy wejściu, Ñuño wpuścił Victora.

- Wszyscy weszli? - zapytał Bernardo. Ñuño skinął głową.

Bernardo zajrzał do wnętrza jaskini. Dimas, z pochodnią w dłoni, prowadził wszystkich w głąb korytarza. Z wąskiego występu Bernardo obrócił się, by po raz ostatni spojrzeć na Świętą Ceklina. Wzdłuż murów unosiły się słupy dymu. Z niektórych wież oblężniczych wyrzucono już drabiny. Dziedziniec, kościół, stajnie... wszystko było nienaturalnie opustoszałe.

W tym momencie wyłowił spośród innych dźwięków szum wody, szum klasztornych wodospadów. I nagle zrozumiał, że to jest jego pożegnanie z tym, co najbardziej kochał, że nigdy więcej nie zobaczy Świętej Ceklina i że obraz ukochanego klasztoru będzie mu towarzyszył aż po kres jego dni. Odetchnął głęboko, by zabrać ze sobą również niepowtarzalny, niesprecyzowany zapach swojej maleńkiej ojczyzny.

A dzień ów, tak cudowny, z niewyobrażalnie błękitnym, bezchmurnym niebem, pachniał słodko janowcem, wiosną, świeżą trawą, mokrą ziemią i wapieniem ze Świętej Ceklina. Bernardo nie umiał pogodzić się z tym, że wszystko to było tak piękne, a przecież jego duszę ogarniały najczarniejszy mrok i rozpacz.

O dalszych losach braci
ze Świętej Cekliny
i sióstr z Las Inviernas

Dimas, Victor, matka przełożona, Yebra, Ñuño i Bernardo zebrali się w kapitularku Las Inviernas. Habity zakonników, którzy właśnie wyszli z tunelu, pokryte były kurzem i błotem.

Gdy pierwsi mnisi ze Świętej Cekliny dotarli do Las Inviernas, powitano ich z radością. Siostry myślały, że to oddział, który ma ich bronić przed nieuchronnie zbliżającym się atakiem. Potem z zaskoczeniem dowiedziały się o porzuceniu klasztoru i o tym, że przybysze są uchodźcami uciekającymi przed niebezpieczeństwem gorszym niż to, które zagraża im samym.

Przejście podziemnym korytarzem poszło mnichom dość gładko. Jedynie na gruzowisku, które niemal

całkowicie zagraadzało drogę, młodszy musieli pomagać najstarszym.

Bernardo wszedł do jaskini jako ostatni i wraz z Nuńem oraz Victorem zamykał pochód. Gdy pokonał wyłom, który sam zrobił w zwalisku, postanowił na nowo zasypać przejście: to, co dotychczas stanowiło przeszkodę, teraz mogło zadziałać na ich korzyść.

- Jeśli pójdą za nami - powiedział Bernardo - wymordują nas wszystkich w tym korytarzu. Ale jeżeli go zasypujemy, nie przejdą dalej.

Teraz był już spokojniejszy, dlatego z trudem przychodziło mu wytworzenie zagęszczonego powietrza, które miało spowodować nowe osunięcie głązów. Musiał przypomnieć sobie chwile, gdy ludzie Dalmaua próbowali wdrzeć się do Świętej Ceklidy. Na to wspomnienie gniew w nim odżył i Bernardo poczuł, że atmosfera wokół tężeje. Kazał Nuńowi i Victorowi odsunąć się na bezpieczną odległość i pchnął głązy samą siłą woli. Skały osunęły się z rumorem i zasypały otwór tak pracowicie wygrzebany przez niego kilka godzin wcześniej. Uciekinierzy pokryli się drobnym białym pyłem, który przyprawił ich o atak kaszlu. Losy podziemnego przejścia zostały przesądzone.

Matka Cristina nie raz udowodniła już swoje talenty organizacyjne i zdolność improwizacji; teraz, w związku z przybyciem braci, przydzielała siostronom nowe zadania.

Bernardo stanął w progu kapitularki. Był wyczerpany. Raz jeszcze przyjrzał się kolumnom zdobnym

w reliefy przedstawiające liście bluszczu, potem przebiegł wzrokiem klasztorny ogród. Mniszki z Las Inviernas dbały o niego bardzo i o tej porze roku, na wiosnę, wybuchał burzą kolorów i najróżniejszych kształtów.

- Prędzej czy później i tak się dowiedzą, że tu jesteśmy... - powiedział Dimas.

- Plotka o podziemnych tunelach między klasztorami jest dobrze znana wśród miejscowych - dorzuciła matka Cristina - na pewno się domyślą...

Yebra przyglądała się pokrytemu kurzem i błotem Bernardowi. Pomyślała, że to cud, iż ma go znów przed sobą, całego i zdrowego. Gdy go nie było, przez cały czas czuła jakieś dziwne mrowienie.

- ...a wtedy będziemy tu mieli na głowie całe wojsko.

Bernardo mógł sobie wyobrazić zaskoczenie Dalmaua i jego ludzi, kiedy odkryją, że w klasztorze nikogo nie ma. Wiedział, że wtargną do Świętej Cekliny i wszystko zagrabią. Może właśnie w tej chwili ich podłe ręce brukają kościół, bibliotekę, magazyny...

Żaden z nich nie miał pojęcia, czy tamci dostrzegli szereg ludzi wchodzących do jaskini, a jeśli tak, to czy przyjrzeni się dokładnie, do której spośród dziesiątek innych grot weszli. Być może Dalmau pomyśli, że czekają zaczajeni w magazynach, spichlerzu lub jaskiniach... Pewnie stracą jakiś czas na poszukiwaniach,

ale potem... Prędzej czy później, gdy zrozumieją, że klasztor został opuszczony, przyjdą do Las Inviernas. To tylko kwestia czasu. Godzin lub w najlepszym razie dni. Ale bez wątpienia wkrótce pojawi się tu całe wojsko żołdaków wściekłych, że nie zaspokoili swojej żądzy krwi w Świętej Ceklinie.

- Stawimy im czoło? - W oczach matki przełożonej błysnęła nadzieja.

Dimas odwrócił wzrok, gdy jej odpowiadał:

- Jakiej twierdzy mamy bronić? Las Inviernas? Święta Ceklina była fortem niemal nie do zdobycia, a jednak nic nie mogliśmy zrobić. Jest nas za mało. Nie jesteśmy przygotowani. Nie mamy dość ludzi ani broni.

Bernardo patrzył na Yebrę i myślał o tym, czego był w stanie dokonać. Sam jeden. Bez niczyjej pomocy.

Dziewczyna zdrętwiała. Przed jej oczami stanęły obrazy walki, pełne jeszcze bojowego gniewu Bernarda, zupełnie jakby towarzyszyła mu cały czas.

„Razem moglibyśmy coś zdziałać...”, usłyszała jego bezgłośną myśl.

„Walczyć z całym wojskiem? To samobójstwo! Najlepsze, co możemy zrobić, to zyskać na czasie, aby reszta zdążyła uciec... Tamtych jest za dużo. To nierealne”.

Bernardowi przypomniało się zdanie, które kiedyś usłyszał z ust Lucasa, nauczyciela Dimasa, i które bardzo mu się spodobało: „Czasami mówimy, że coś

jest niemożliwe, ale tak naprawdę chcemy tylko powiedzieć, że sprawia nam ogromną trudność". Teraz jednak było inaczej; wiedział, że Yebra ma rację, że dwie samotne osoby nie zdołają zatrzymać wojsk Dalmaua.

- Zyskaliśmy cenne minuty - podsumował Dimas.

- Ale to zbyt mało. Musimy dalej uciekać, wykorzystać tę niewielką przewagę, którą mamy nad nimi... a wy, siostry, powinnyście pójść z nami. Jeśli ktoś tu zostanie, cała wściekłość tych żołdaków, którzy w Świętej Ceklinie obeszli się smakiem, spadnie na niego.

Echo jego słów zdawało się trwać w powietrzu. Kamiennie posągi Adama i Ewy swoimi ślepych oczami przyglądały się tej scenie. Decyzja, która miała tu zapaść, mogła oznaczać koniec Las Inviernas.

- I dokąd pójdziemy? - zapytała przełożona łamiącym się głosem.

Dimas niemal zapadł się w ławkę. Poza pełną rezygnacji i rozpaczki zmieniła go w bezradnego, kruchego starca.

- Nasz los jest przesądzony... Możemy uciekać, bez końca, ale wreszcie dopadną nas ludzie Dalmaua, ktoś z tych, którzy nas ścigali, albo sam papież. Wy

- podniósł wzrok na matkę przełożoną - macie szansę. O ile schronicie się w którymś z pobliskich żeńskich klasztorów.

- Gniew Dalmaua dosięgnie nas prędzej czy później - westchnęła matka Cristina. - Inne klasztory nie odmówią nam schronienia, jestem o tym przekonana, ale wkrótce zaczną się mnożyć problemy i... Nie, nie chcę nikogo narażać na niebezpieczeństwo.

Yebrą przebiegła wzrokiem po reliefach sali. Na kapitelach kolumn fantastyczne zwierzęta dzieliły miejsce w raju z roślinami i kwiatami zrodzonymi w wyobraźni jakiegoś sprawnego rzemieślnika. Adam i Ewa stali na centralnym miejscu, obok Najświętszej Panienki wyrzeźbionej w drewnie pomalowanym na połyskliwe kolory.

Swoimi wyostrzonymi zmysłami czuła, co dzieje się z jej towarzyszami: Bernardo wciąż wrzał wewnątrz. Jego dusza nadal pełna była gniewu i żądzę krwi, chwilowo uspionych, lecz w każdym momencie gotowych wybuchnąć. Ten gniew nabrzmiewał zaś tępym, dojmującym bólem spowodowanym stratą Świętej Ceklidy.

Dimas był cieniem samego siebie. Przygniatała go odpowiedzialność za braci.

W niebieskich oczach Victora czaił się strach, ale też zadziorna gotowość. Dziewczyna wciąż mogła w nim dojrzeć resztki konsternacji, w jaką wprowadziło go to, co zrobił przy nim Bernardo.

Matka Cristina z kolei uważała, że Las Inviernas jest już stracone, i zastanawiała się, dokąd mniszki

mogłyby się skierować, by nie sprawiać nikomu zbyt wielu kłopotów.

Yebra poczuła, że jej własne serce bije nienaturalnie mocno. Zimny medalion brata spoczywał na jej piersi. Oparła się na kamiennej ławie, zaczerpnęła powietrza, napełniła płuca nową energią. Nagle uświadomiła sobie, że już wie, co robić.

Wstała. Oczy wszystkich zwróciły się na nią.

- Jest jedno wyjście - powiedziała z zaskakującą pewnością. Ogarnął ją absolutny spokój.

Bernardo wpatrywał się w nią bez jednego mrugnięcia. Nieruchomy, jakby znów go zniewoliła, wiedział bowiem, co teraz powie.

„Nie!” - krzyknął do niej w myślach.

Zignorowała go i zwróciła się wprost do Dimasa. Przeszyła go spojrzeniem swoich ciemnych oczu, starając się mówić wprost do jego duszy:

- Niedaleko stąd są otwarte Wrota... Bernardo poczuł mrowienie w opuszkach palców.

- To Wrota do innego świata.

Dimas zamarł z otwartymi ze zdumienia ustami. Nuńo zamrugał kilkakrotnie, jakby jeszcze nie zrozumiał, co chciała powiedzieć.

- Możecie wybrać, czy chcecie dalej uciekać... Błąkać się po świecie, aż was wyłapią i wymordują, jak to zrobili z innymi braćmi ze Świętej Cekliny... Lub schronić się w miejscu, do którego ani Dalmau, ani papież, ani nikt nigdy nie zdoła dotrzeć.

Słowa Yebry spadły na Dimasa i Bernarda niczym ciężka zasłona. Matka przełożona i Victor nie bardzo rozumieli, o czym mowa.

- ...W tamtym świecie będziecie mogli wybudować nową Świętą Ceklina i dalej pracować nad tym, co zawsze było waszym głównym celem: nad poszukiwaniem Boga, pogłębianiem wiedzy, poznaniem dostępnym dla wszystkich...

Yebra rozpędzała się, w miarę jak dostrzegała kolejne aspekty swego planu.

- To miejsce, gdzie rozum i nauka wytyczą nowe ścieżki. Z czasem znajdziecie nowych uczniów. W ten sposób duch Świętej Ceklina nigdy nie zginie.

W sali zapadła cisza. Dimas wygładził sobie habit na kolanach.

Nienaturalnie rozgorączkowane oczy Bernarda znów zagubiły się w roślinnych freskach kapitulacza.

- Tamten świat was zmieni - powiedziała ze wzrokiem wbitym w zieleń ogrodu, głosem tak oschłym, że ich zmroziło.

- Spójrz na nas, ojcie Dimasie... Chcesz być taki jak my?

Dimas przyjrzał się młodej twarzy Yebry. Twarzy dorosłej przecież kobiety, która bardziej przypominała dziewczynę. Pamiętał doskonale to, o czym mówił mu Ñuño: że potrafiła sprawić, iż ludzie zastygali w bezruchu, że była w stanie w pojedynkę stawić czoła dziesięciu mężczyznom. Z kolei Bernardo przez ostatnie dziesięć lat prawie się nie zmienił.
Victor

opowiedział też przeorowi, co wydarzyło się na murach. Starzec westchnął. Spojrzał na kolumnę za plecami Yebry. Kamienny Szatan z drwiną podawał owoc kamiennej Ewie.

Ciężar decyzji przygniatał duszę przeora niczym wielki głaz.

- Chcesz umrzeć wraz ze swymi współbraćmi? Chcesz wziąć na swoje sumienie ich śmierć? I koniec Świętej Cekliny? - zapytała Yebra. - Czyż nie mówiliście, że chcecie ją ocalić? - zwróciła się teraz do Bernarda.

Znów zapadła trudna do zniesienia cisza. Przerwał ją Victor.

- Ale... To znaczy, że jest jakieś miejsce, w którym możemy znaleźć schronienie?

Tylko Ñuño odważył się mu odpowiedzieć.

- Owszem - powiedział stanowczo. - Ale to... to właściwie nie jest miejsce... To...

Yebra przerwała mu.

- Bernardo i ja przez wszystkie te lata byliśmy w miejscu, gdzie czas płynie inaczej... Tam upłynął ledwie rok, a tu dwanaście lat. Dimas zlecił nam tę misję...

Bernardo wstał i dodał:

- Matko Cristino, Victorze, tym miejscem jest... inna rzeczywistość, drugi świat. Świat, który odmienił nas na zawsze...

Dimas poczuł przebiegające mu po plecach ciarki.

Bernardo opowiedział im, co zrobił, i co może zrobić. Yebra stała w milczeniu u jego boku. Nuño wspominał o męczarniach, jakie przeżył, próbując przekroczyć Wrota, o potwornym bólu. Bernardo wyjaśnił, że przejście nie musi być tak straszne, jeśli tylko pozwolić się nieść tamtym siłom. Matka przełożona słuchała ich, nie mogąc uwierzyć własnym uszom.

Victor widział walkę Bernarda przy murach i wciąż miał jeszcze przed oczami tamte sceny, które wstrząsnęły nim do głębi. Niezwykłe nowiny, które teraz słyszał, w niczym nie ułatwiały mu zrozumienia sytuacji.

- Niech Bóg ma nas w opiece! Chcesz powiedzieć, że jeśli uciekniemy do tamtego drugiego świata, zmienimy się w... - zapytał Victor, pełen konsternacji.

- Nie dopuszczę do tego - uciał stanowczo przeor.

- Do czego, ojcie przeorze? Jak myślisz, kim my jesteśmy?

Cisza, która teraz zapadła, była bardzo wymowna. Bardziej niż jakiegokolwiek słowa.

- Myślisz, że jesteśmy przekłeci, prawda? - ciągnęła Yebra głosem dużo słodszy niż jej zwykły surowy ton, lecz zabarwionym głębokim smutkiem. - Boisz się, że zakonnicy Świętej Ceklidy zmienią się w prawdziwych „mnichów-czarowników"... Ze to, o co tyle razy was oskarżano, stanie się prawdą?

Bernardo opadł na ławę, gdy uświadomił sobie, jakie myśli krążą po głowie przeora.

- Uważasz, że ja i Yebra jesteśmy czarownikami, wytworami świata stworzonego przez Szatana.

Matka Cristina patrzyła na nich uważnie.

- Nie ma w nich nic demonicznego, Dimasie

- powiedziała. - Jeśli tego nie widzisz, to chyba istotnie coś cię zaślepia...

- To nie oni... To tamten świat...

Dopiero Victor przerwał długą ciszę, w której krzyżowały się jedynie ich spojrzenia.

- Wybaczcie, ale chciałbym też wyrazić moje zdanie

- zaczął niepewnie. - W obecnej sytuacji, tak czy inaczej jesteśmy zgubieni. Jeśli to nasza jedyna szansa... czemu jej nie wykorzystać?

- Tamten świat, bracie, zmieni cię w kogoś innego, obdarzonego pewnymi zdolnościami... mocami... To niezgodne z naturą - przerwał mu Dimas drżącym głosem.

Oczyrna wyobraźni Yebra zobaczyła wojsko złożone z walecznych mędrców obdarzonych nadzwyczajnymi właściwościami. Wzdrygnęła się, sama nie wiedząc, czy bardziej ze strachu, czy też olśniona wspaniałością tej wizji.

Bernardo poszukał wzrokiem jej spojrzenia i zdała sobie sprawę, że on również miał to przed oczyma. Oboje poczuli ucisk w trzewiach.

- Jeśli Bóg postanowił, że pora, byśmy pożegnali się z życiem, nie będziemy walczyć przeciw Jego woli - podsumował Dimas. - Śmierć to tylko ostatni krok

w drodze do Niego. Jeśli takie jest nasze przeznaczenie, powinniśmy je przyjąć z wdzięcznością.

Yebra chciała coś powiedzieć, ale uprzedził ją Victor.

- Nie boję się śmierci. Jednak... nie chciałbym patrzeć na koniec najlepszej rzeczy, jaką poznałem na tym świecie. Święta Ceklina jest dla mnie... wszystkim! Jeśli ona przepadnie, jeśli zostanie zmieciona z powierzchni ziemi, gdzie podzięją się rozum i wiedza?... Pójdą w zapomnienie aż do czasu, gdy miłość wiedzy, nauki i poznania odrodzą się, być może, wieki później. Wszystkie nasze wysiłki, cała nasza praca, poświęcenie braci, którzy żyli tu przed nami... To wszystko nie może tak po prostu zniknąć! - Victorowi błyszczały oczy. - Ojcie Dimasie, błagam cię, nie myśl tylko o naszych nieśmiertelnych duszach; nasze ciała wcześniej czy później umrą i jesteśmy na to gotowi. Ale trzeba pomyśleć też o czymś więcej: o przyszłości, o postępie, o niedokończonych badaniach, przerwanych bezlitośnie na Sycylii, Sardynii i Majorce... Ojcie - powtórzył - nie chodzi o nas, chodzi o przyszłość...

Yebra poczuła, niemal fizycznie, wahanie, które ogarnęło duszę Dimasa. Decyzja dojrzewała w nim i pęczniała niczym egzotyczny owoc.

- Przed wielu laty - zaczął wreszcie chrapliwym głosem przeor - muzułmański mędrzec, któremu daliśmy schronienie w klasztorze na kilka miesięcy,

opowiedział mi pewną historię - westchnął. - Mówiła ona o młodzieńcu, który wiele w życiu wycierpiał, nie miał nikogo, więc, ogarnięty rozpaczą, postanowił popełnić najgorszy z grzechów: chciał targnąć się na własne życie. - Dimas ze znużeniem zamknął oczy. - W tym celu wszedł w morskie fale. Szedł coraz dalej i dalej. Nagle w oddali, na horyzoncie, zobaczył łódź. Łódź owa pełna była ludzi...

Przeor nabrał tchu, po czym ciągnął dalej: - W miarę jak szedł, łódź coraz bardziej się przybliżała. A kiedy woda sięgała mu już do szyi, łódź podpłynęła do niego. „Co robisz?” - zapytali go płynący nią ludzie. „Chcę skończyć ze sobą”, odpowiedział im młodzieniec. „Dlaczego?” Opowiedział im o wszystkich nieszczęściach, jakie go spotkały, i wyjaśnił, że jego życie, tak pełne cierpienia, nie zasługuje na to, by trwało dalej. Kiedy skończył, najstarszy z podróżnych spojrzął mu w oczy i rzekł: „Jesteśmy twoimi przodkami, chłopcze. Przybyliśmy, by cię odszukać. Pokonaliśmy wiele przeciwności losu, cierpieliśmy, poświęciliśmy wszystko dla naszych dzieci, a nasze dzieci poświęciły wszystko dla swoich, w niekończącym się łańcuchu pokoleń. Jeśli odbierzesz sobie teraz życie, zamordujesz nie tylko siebie samego. Zabijesz nas wszystkich razem i każdego z osobna, nas, którzy poświęciliśmy wszystko dla ciebie, choć wcale cię nie znaliśmy”. Młodzieniec, widząc smutne spojrzenia swoich przodków, zadumał się, a potem bardzo powoli wrócił na brzeg.

Dimas podniósł wzrok i dopiero wtedy odważył się spojrzeć im prosto w twarz.

- Być może byłem o krok od popełnienia najbardziej nikczemnego z grzechów - samobójstwa. I zabiłbym nie tylko siebie, lecz także moich braci i wszystkich mnichów, którzy żyli tu wcześniej... i tych, którzy przyjdą później! - Jego głos nabrał nowej mocy. - Pójdziemy do tamtego świata, schronimy się w nim, a jeśli nas zmieni, niech Bóg ma nas w opiece i niech ześle nam wiarę i rozum, byśmy mogli godnie prowadzić Jego dzieło! Zabierzemy ze sobą nasze umiłowanie wiedzy i mądrości. Chodźmy, jest wiele do zrobienia...

Dimas wstał.

Yebara usłyszała przyspieszony oddech Bernarda i Nuña.

Jedna samotna łza spłynęła po policzku Victora.

W kilka godzin postanowili o losie braci i siostr ze Świętej Cekliny i Las Inviernas. Matka Cristina zawiadomiła mniszki, że wkrótce opuszczą klasztor. Spakowano to, co najniezbędniejsze, sporządzono nosze dla najstarszych zakonnic. Bracia ze Świętej Cekliny byli już gotowi na dalszy ciąg swojej tułaczki.

Powiedzieli wszystkim tylko część prawdy: że muszą uciekać przed nieuchronnym atakiem ludzi Dalmaua

i że w pobliżu jest bezpieczne miejsce, w którym będą mogli się schronić.

Ustalili, że nie zdradzą nic więcej, póki nie znajdą się w pobliżu Wrót.

- Gdzie są Wrota? - zapytał Dimas, nim wyruszyli w drogę.

Bernardo czuł dziwne mrowienie w końcach palców.

- Są już blisko - odparła Yebra. - Jakieś dwie, trzy godziny na wschód...

Bernardo nie potrafiłby odpowiedzieć z taką precyzją. Czuł jednak, że są niedaleko, że da się tam szybko dotrzeć oraz że powinni ich szukać w kierunku wskazanym przez Yebrę. Czuł się jak metal przyciągany przez biegun magnetyczny.

- Musimy tam dotrzeć przed zmrokiem - oświadczył przeor.

Yebra i Bernardo zostali wreszcie przez chwilę sam na sam. Wcześniej byli zbyt zajęci: najpierw naradą w kapitularku, a następnie przygotowaniami do ucieczki. Dlatego kiedy wpadli na siebie tuż przed opuszczeniem Las Inviernas, w drodze do bramy głównej, z Victorem uzbrojonym po zęby i matką Agustina drepczącą krok w krok za nimi, Yebra skorzystała z okazji, by powiedzieć do niego bez słów: „Nie wszyscy przeżyją przejście przez Wrota. Choć oczywiście-

cie ostrzeżemy ich, że trzeba dać się nieść tej mocy, że nie można z nią walczyć". Bernardo pokiwał głową.

„Wiem. Ale jak sądzisz, ilu by przeżyło, gdybyśmy tu zostali i walczyli z wojskami Dalmaua?" Yebra spuściła wzrok.

Przeszli jeszcze kilka kroków i wtedy odważyła się sformułować myśl, która musiała od jakiegoś czasu ją niepokoić.

„Już nigdy więcej nie odnajdziemy tam naszego własnego raj, Bernardo..."

Spojrzał w jej ciemne oczy.

„To był przecież twój pomysł. Dzięki tobie Święta Ceklina ma teraz szansę... Yebro, to będzie nowy świat, który narodzi się dzięki ludzkiej wiedzy".

„Jan... Jan zrobiłby wszystko, żeby Święta Ceklina przetrwała".

„Dziękuję, Yebro".

Bernardo uśmiechnął się.

W miarę jak zbliżali się do bramy klasztoru, poczucie zagrożenia stawało się coraz silniejsze, mrowienie przebiegało przez całe ich ciała. Nie czuł już wcześniejszej wściekłości i napięcia, ale miał świadomość, że za murami czyha na nich niebezpieczeństwo.

Gdy stanęli przed bramą, matka Agustina i Victor w milczeniu zaczęli ją otwierać. Jakieś pięćdziesiąt kroków dalej, jeszcze pod osłoną murów, wszyscy bracia i siostry czekali bez ruchu, pełni niepokoju,

który Yebra i Bernardo widzieli w postaci niewyraźnej purpurowej chmury. U ich stóp przeczołgało się kilka *suwii*, pierwszych stworzeń tamtego świata, jakie poznali, robaków o jaskrawych barwach i nastroszonej sierści.

Yebra zamknęła oczy. Przeczynała, że po drugiej stronie muru czai się kolejna zgraja żołdaków i że jest ich więcej, niż kiedy przybyli tu ledwie dwa dni temu.

„Jest ich dużo”.

„To prawda... Ja też to czuję. Ale uda nam się”. „Na pewno”, przytaknęła.

Matka Agustina z pomocą Victora otworzyła drzwi.

Yebra utkwiała swoje mroczne spojrzenie w miodowych oczach Bernarda. Uśmiechnęła się i wybiegła na zewnątrz, zostawiając go za sobą, zaskoczonego. Wyszedł za nią, gotowy na wszystko.

CZESC V

Porta Coeli

Był dzień targowy i stragany zajmowały cały plac Barco, tworząc mieszaninę barw, zapachów i kształtów. Nagrzany piasek oddawał całe ciepło skumulowane w ten gorący letni poranek. Dzieci biegały między kolumnami portyku. Na rogu, pod kamiennymi arkadami, trubadur napawał się chłodem w cieniu. Siedział na ławce, otoczony przez dzieci i dorosłych. Kończył właśnie długą pieśń, od czasu do czasu trącając struny cytry, na której sobie akompaniował.

Bracia i siostry opuścili klasztory, Porzucili swe cele, ruszyli przez bory. Uciekali przed widmem cierpienia,

*We Wrotach szukali schronienia,
Lecz na ich drodze wyrosły oddziały
Spragnione ich krwi, niepomne złej chwały.
Nikczemny ten atak, niczym dzielna lwica,
Odparła Yebra, waleczna dziewica.
Wraz z nią do walki Bernardo stanął,
Miotał w nich siłą stu huraganów.
W wir bitwy się rzucili z pasją zakonnicy,
Szczęk oręża rozbrzmiewał długo w nocnej ciszy.
Wróg jeden za drugim padał na ziemię,
Lecz wciąż się odradzało to nikczemne plemię.
Yebra już wiedziała, że zbliża się koniec:
„Idźcie, uciekajcie, ja im drogę zasłonię”
„Wiesz dobrze” - rzekł Bernardo -
„Nie pójdę bez ciebie,
A jeśli tu zginę, spotkamy się w niebie!”
„Zginą wszyscy, jeśli tu ze mną zostaniesz,
Przejdź z braćmi przez Wrota, to twoje zadanie!”
Wbrew własnej woli poprowadził zatem
Braci swych na spotkanie z tamtym innym światem.
Przeszli Wrota, przeżyli i na nowej ziemi
Powstał zakon mądrości, śmiałej myśli, idei.*

Trubadur zakończył pieśń, pozwolił, by wybrzmiały ostatnie dźwięki cytry i uśmiechnął się, patrząc błyszczącymi oczyma na swoją publiczność.

Szczupły, może dziesięcioletni chłopaczek, krzyknął do niego:

- Och, to znaczy, że jest gdzieś jakiś drugi świat? Że ci ze Świętej Cekliny są teraz w innym świecie?

- Cóż, to tylko poemat, opowieść. Legenda, niekoniecznie prawdziwa... - powiedział mężczyzna, chowając cytrę.

- Ale... ale... - Mała blondyneczka podeszła bliżej i zapytała cichutko: - Co z Yebra? Co się z nią stało potem?

- Chciałabyś wiedzieć?

Dziewczynka nie miała odwagi odpowiedzieć. Skinęła tylko głową, wpatrując się w niego pytająco swoimi czarnymi oczkami.

Trubadur poderwał się gwałtownie z energią, o którą nikt by nie posądzał kogoś w jego wieku.

- Yebra została sama na polu bitwy - zaczął opowiadać pośpiesznie, wymachując rękoma. - Tylko kilku braci ze Świętej Cekliny, tych najmłodszych, najlepiej uzbrojonych, zostało przy niej, by osłaniać odwrót pozostałych. A ona wprawiła w bezruch kilkunastu ludzi Dalmaua. Dzięki temu bracia mogli się bronić. Tworzyła fale powietrza, które rzucała we wrogów. O tak... bum! bum! - mężczyzna machał rękami, jakby odpychał niewidzialnych wrogów. - Dzięki jej mocy udało się zyskać na czasie, tak że bracia ze Świętej Cekliny i mniszki z Las Inviernas mogli uciec i znaleźć Wrota do tamtego świata...

- Ñuño! - przerwało mu wołanie. - Daj spokój tym fantastycznym historiom i częściej gadaniu! Zaśpiewaj

nam lepiej pieśń o jaskółkach! - kobiecy głos nabrał proszącego tonu. - Tę o miłości, o jaskółkach, które wracają co roku w miejsce, gdzie straciły swoją parę.

Zona mistrza Pedra zawsze dawała mu monety, a ponadto bardzo szanowano ją we wsi. Jej poparcie było dla Nuña ważne; wyciągnął więc znów cytrę i zaintonował pierwsze nuty *Powrotu jaskółek*. Echa smutnej miłosnej ballady odbiły się od kamiennej kolumnady rynku, a kiedy skończył, w oczach żony mistrza Pedra lśniły łzy, którym pozwoliła płynąć, nie starając się ich ukryć.

- O, tak! - powiedziała, szukając w torebce jakiejś monety. - To dopiero jest prawdziwa pieśń. A nie jak tamte dziwaczne, pełne zmyślonych i głupich historii, którymi mieszasz w głowach dzieciom.

- A mnie się podobają - wtrąciła nieśmiało ciemno-oka dziewczynka.

- Jak dorośniesz - zaśmiała się kobieta - zmienisz zdanie, panienko.

Dziewczynka skrzywiła się z niechęcią.

Zona mistrza Pedra odeszła, a reszta publiczności, widząc, że trubadur nie ma zamiaru kontynuować występu, poszła w jej ślady.

Została tylko dziewczynka i kościsty chłopaczek.

- Co się stało z Yebrą i Bernardem? - powtórzyła dziewczynka błagalnym głosem.

- O, widzę, że łatwo się nie poddajesz!

- Co się z nimi stało? - nalegała.

Ñuño zrobił teatralną przerwę dla większego efektu dramatycznego.

- Naprawdę chcesz wiedzieć? - I nie czekając na odpowiedź, ciągnął dalej: - Jesteś ciekawa?

- Ja też chcę wiedzieć... - wtrącił chłopiec.

- Dobrze, wobec tego opowiem wam!... - Ñuño wstał i zaczął mówić ponownie, ubarwiając gestami swoją opowieść. - Walka była niezwykle ciężka.

Yebra została sama z kilkoma braćmi. Jednak wszyscy walczyli bardzo dzielnie. Ona mocami, oni zwykłą bronią... Zdobyli cenne minuty, które Bernardo wykorzystał, by uratować wszystkich pozostałych i zabrać ich do drugiego świata. Ostrzegł ich o niebezpieczeństwach, jakie na nich czekają podczas przejścia.

Bracia i siostry zdołali przedostać się przez Wrota, jedni poobijani, inni cali i zdrowi. Ale wszyscy przeszli, a Bernardo wraz z nimi...

Na twarzy Nuña odmalował się głęboki smutek:

- A kiedy chciał wrócić do naszego świata i stanąć u boku Yebry, okazało się, że nikogo już tam nie było! Wojska Dalmaua zniknęły! Nikt się nie ostał!

Dzieci wpatrywały się w niego oczami wielkimi jak spodki. Nie chciały uronić ani jednego słowa z opowieści Nuña, który zdawał się na nowo budzić do ' życia tamte odległe wydarzenia.

- Czas w każdym ze światów upływał inaczej. Bernardo zrozumiał, że bitwa stała się już tylko odległym wspomnieniem w pamięci okolicznych chłopów. Nikt

nie pamiętał, co się stało z białowłosą wiedźmą i braćmi, którzy walczyli u jej boku przeciwko całemu wojsku. Jedni mówili, że nagle zniknęli, inni, że polegli, a ich ciała porzucono w lesie. I mówią... Och, moje dzieci!... Mówią, że Bernardo poświęcił resztę życia na poszukiwanie kobiety, którą kochał... Ze nigdy nie pogodził się z jej śmiercią, że wierzył, iż spotka ją w którymś ze światów... - Ñuño rozejrzał się wokół, jakby chciał zdradzić im tajemnicę. - I legenda mówi, że nadal jej szuka, błędząc po świecie w poszukiwaniu utraconej miłości... Tak, dzieci, jeśli będziecie czujni, któregoś dnia możecie go spotkać i zobaczycie, że nadal jej szuka.

- Nie wierzę! - niemal krzyknęła dziewczynka. - Ze swoimi mocami od razu by ją znalazł...

- Masz rację!... Na pewno było mu łatwiej szukać z takimi mocami.

- Na pewno już ją odnalazł - zdecydował chłopiec. Nagle dziewczynka zapytała:

- Ale zaraz... a ty nie wiesz, czy ją znalazł?

- Ojoj, cóż może wiedzieć biedny trubadur!... Zresztą powiem wam. - Ñuño znów nachylił się do nich tajemniczo. - Lubię tak myśleć. Chciałbym wierzyć, że Bernardo ją odnalazł i że teraz żyją razem szczęśliwie... Kto wie gdzie?

- Może w tym drugim świecie!

- Czemu nie? Możliwe!

Ñuño schylił się, by podnieść cytrę i torbę, która leżała oparta o kamienną kolumnę.

- Co to? - zapytała dziewczynka ze śmiałością, o którą nikt by jej nie podejrzewał. - Co to? - powtórzyła, wyciągając rączkę ku szyi Nuña.

Trubadur podniósł rękę do rzemyka z medalionem, który dziewczynka musiała zauważyć, gdy się pochylał.

- To medalion ze spiralą! Medalion ze Świętej Cekliny! - krzyknęła z przejęciem.

- Jak w pieśni! - dodał chłopczyk.

- To ty! Ty jesteś śpiewakiem z legendy!

Ñuño uśmiechnął się do nich i położył palec na ustach.

- Sprytne z was dzieciaki - powiedział cicho. - Dochowacie tajemnicy?

Oboje z przejęciem pokiwali głowami. Ñuño spojrział na kościste kolana chłopca, na jego szczupłe ramiona, na wystające obojczyki dziewczynki, źle okryte wielokrotnie cerowaną zieloną sukieneczną. Jej czarne oczy patrzyły spod długich rzęs, identycznych jak u chłopca.

- Jesteście rodzeństwem? - zapytał. Pokiwali głowami.

- Ilu was jest?

- Dziewięcioro...

- Dziewięcioro! Proszę!... - Ñuño odetchnął głęboko; oprócz smrodu nadgniłych owoców z pobliskiego straganu poczuł zapach mięsa i nagrzanego piasku. Przede wszystkim jednak dostrzegł chłonne

umysły dzieci stojących przed nim niczym dwa dzikie pędy, łaknące troskliwej ręki ogrodnika, który by je pielęgnował.

- Jak się nazywacie? - zapytał łagodnie.

- Ja Isabel, a on Yago.

Dziewczynka odpowiadała szybciej niż jej starszy brat.

- Ach tak... A gdzie mieszkacie?

- Z psami - odparł chłopiec, jakby to wszystko wyjaśniało.

- Z psami?

- Z psami!... W sforze don Rodriga.

Dopiero wtedy Nuño zrozumiał. Psy myśliwskie były często traktowane lepiej niż dzieci i zdarzało się, że jakiś maluch spał z nimi, żeby nocą pilnować w sforze porządku.

- Rozumiem - powtórzył, czując, że znalazł to, czego szukał.

- Isabel, Yago, słuchajcie! Myślę, że jesteście mądrymi dziećmi, dlatego powierzę wam sekret - powiedział, pochylając się ku nim. - Pokażę wam coś, co was na pewno zainteresuje.

Nuño otworzył torbę i wyciągnął z niej małą drewnianą klatkę.

- I co myślicie?

Dzieci milczały przez chwilę.

- Co to jest? - zapytała z przejęciem dziewczynka. Jej brat Yago mrużył oczy, jakby nie widział dokładnie zawartości klatki.

- Co o tym myślicie? - zapytał Nuño.

- Różowo-żółte włochate gąsiennice! - krzyknęła dziewczynka. - Strasznie dziwne!

- To... to tylko cień... Nie widzę ich dobrze... To chyba... chyba jakieś robale!

Nuño uśmiechnął się, usatysfakcjonowany wynikiem próby. Wypełnił swoje zadanie. Znalazł dwoje potencjalnych uczniów.

- Świetnie... - powiedział po prostu, chowając klatkę z powrotem do torby. - Isabel, Yago, zaprowadźcie mnie proszę do waszego ojca. Chyba mam z nim do pomówienia...

Wszedłszy do chałupy, Nuño poczuł się, jakby ktoś uderzył go obuchem. Do jego uszu doszło echo wrzasków kobiety i dzieci bitych częściej, niż było to przyjęte.

Przekonanie ojca, by powierzył dwoje dzieci pod jego opiekę, okazało się nader łatwe. Pieniądze, które mu wręczył, mogły wystarczyć na wykarmienie pozostałych dzieciaków przez z górą rok.

Perspektywa świetlanej przyszłości, jaką roztoczył przed ojcem, wizja jego dobrze odżywionych dzieci, zadbanych i wykształconych przez zamożną rodzinę arystokratów, zaważyła na jego decyzji dużo mniej niż brzęczące monety.

Dwójka rodzeństwa też nie wyglądała na zmartwioną swoim nagłym wyjazdem. Uścisnęli sobie ręce,

gdy zrozumieli, że opuszczają na zawsze miejsce, które przez jakiś czas było ich domem.

Nuño z ulgą wyszedł z chałupy przepelnionej cierpieniem i nędzą. Cieszył się, że zabiera stamtąd tych dwoje. Wziął ich za ręce i zaprowadził do zajazdu. Czekał tam na nich piękny koń rasy arabskiej.

- Jesteś bogaty? - zapytali na ten widok.

- Niezupełnie...

- Zamieszkamy w zamku? Takim jak zamek don Rodriga? - zapytali, używając tego porównania, gdyż niczego wspanialszego w swoim dotychczasowym życiu nie widzieli.

Nuño podsadził ich na koński zad.

- Nie, dzieci, nie. Nie jedziemy do zamku. Jedziemy dużo dalej. Do miejsca, w którym na pewno nikt was nigdy nie uderzy, gdzie dowiecie się wszystkiego, o czym zawsze pragnęliście wiedzieć...

Nuño dosiadł wierzchowca i ujął lejce w dłonie.

Ruszyli drogą w kierunku Santa Maria, potem Nuño skręcił na rozstajach. Węszył w powietrzu niczym zwierzę.

- Już jadą - powiedział do dzieci.

Nie zdążyli zapytać, co miał na myśli. Spomiędzy drzew wyłoniły się dwa konie. Jeden - czarny arab, najpiękniejszy, jakiego kiedykolwiek widzieli. Trzymając się jeźdźca, jechała na nim dziewczynka, najwyżej trzyletnia. Na drugim rumaku, wysokim, smukłym kasztanie, siedziała kobieta, niemal całkiem

okryta peleryną. Wiozła ze sobą chłopca, mniej więcej dziesięcioletniego, który trzymał ją w pasie.

Trzy konie podbiegły do siebie, jakby dobrze się znały.

- Udany połów - powiedział Nuño do jeźdźca na czarnym koniu.

- Isabel i Yago - przedstawił dzieci. - Rodzeństwo. Ciekawscy jak diabli. Oboje widzą stwory - wyjaśnił trubadur.

Dziewczynka spojrzała w miodowe oczy mężczyzny na karym arabie. Spodobał jej się jego uśmiech.

Kobieta zrzuciła kaptur, ukazując warkocz spleciony z włosów białych jak śnieg. Jej spokojny uśmiech ośmielił dziewczynkę:

- Jedziemy do drugiego świata? - zapytała. - Do Świętej Cekliny?

- Wierzysz, że istnieje?... - kobieta odpowiedziała jej pytaniem. - Jakichże to historii musiał ci naopowiadać ten trubadur?

- Wszystko możliwe, prawda? - zapytał Yago.

- Tak, tak, wszystko możliwe... - zanucił Nuño, podczas gdy ruszyli wąską ścieżką.

- I... zobaczymy księgę? - zapytała nagle Isabel. Nuño aż podskoczył.

- Jaką księgę?

- Tę z opowieści, *Porta Coeli*, tak? Naturalność, z jaką uwierzyli w słowa pieśni, ich

dosłowność, sprawiły, że trubadur się roześmiał.

- Tak, zobaczcie ją. Zobaczycie i przeczytacie.
- Przeczytamy? Ja? Przecież jestem dziewczynką...
- Zobaczysz ją i przeczytasz. Bo tam, gdzie jedziemy, nauczysz się czytać i pisać. Po hiszpańsku, po łacinie, po grecku... - tym razem odezwała się białowłosa kobieta. - A kto wie, może nawet w przyszłości sama ukończysz pisanie księgi... Bo *Porta Coeli* nie jest dziełem skończonym. Teraz historia Zakonu Świętej Cekliny stanowi kolejny z jej rozdziałów i wy sami stajecie się częścią historii!

Yago mocno uchwycił się Nuña. Zmysły trubadura wyczuły ekscytację dzieci, nadzieję, którą emanowały, a która przypominała delikatną poświatę. Zawsze tak było, wciąż ten sam niepokój i emocje towarzyszyły nowym uczniom, którzy wyruszali na spotkanie nieznannej przyszłości.

Nuño odetchnął głęboko, napełniając płuca świeżym powietrzem i ekscytacją dzieci.

Trzy konie opuściły na dobre ścieżkę i weszły w zarośla, zagłębiając się w las. Ich jeźdźcy doskonale wiedzieli, dokąd jadą, gdyż miejsce to przyciągało ich krew i dusze niczym niewidzialny magnes.

KONIEC